Low. Prayer of Name Premium.
5513 D

Tow. Przyjaciół Nauk w Przemyślu.

5513 D

Tow. Przyjaciół nauk w Poznaniu.
5513 D

WINOWAJCA.

FRANCISZEK COPPÉE.

WINOWAJCA.

POWIEŚĆ.

Władysława Rudzińska

WARSZAWA
Nakł. i druk Tow. Akc. S. Orgelbranda S-ów
Skład główny w księgarni E. WENDE i S-ka.
1907.

A-18248

BIBLIOTEKA
UMCS
LUBLIN

K:1160/56/942

I.

Częste i uporczywe bywają deszcze w Calvados; jesienią zwłaszcza nietylko mieszkańcy, ale i strzeliste wieżyczki pięknych kościołów w Caen, skarżą się na to chmurnemu niebu, po którem wschodni wiatr gna ołowiane, ciężkie obłoki. Ale nikt chyba bardziej od Krystyana Lescuyer nie odczuwał tego braku jaśniejszej, słonecznej atmosfery, cała bowiem młodość, aż do pełnoletności, przeszła biednemu chłopcu tak ponuro i smutnie, iż zdawało się, że na horyzoncie jego życia nie błysnął ani razu żaden z rzadkich uśmiechów przyrody normandzkiej.

Siedziba, w której jako syn wielce szanownego radcy sądu kryminalnego, zstąpił na ten padół płaczu nieświadomie i bezwłasnowolnie, zbudowaną była jeszcze przy końcu panowania Ludwika XV, i należała do rzędu najposępniejszych domów arystokratycznej dzielnicy miasta. Nawet w czasie kanikuły letnich mie-

sięcy bruki chodników nie osychają tam z wilgoci, a od grubych, szarych murów idzie przykra woń stęchlizny i zimna. Sam widok tej archeologicznej spuścizny przyprawić może najmniej wrażliwego przechodnia o dreszcz i uczucie wstrętu. A jednak na drugim końcu Caen, mianowicie w dnie targowe, wre wesołość, barwią się białe czepeczki i niebieskie bluzy włościan okolicznych, uwijają się żywo rybacy o lnianych brodach, w jaskrawem przybraniu, którzy zwożą do portu moc desek z sosnowego, żywicą pachnącego drzewa. Ruch, gwar, praca nieprzerwana.

O tem wszystkiem wszakże wiedzieć nie chcą rezydencye pańskie z ulicy Karmelitów; gardzą one gminem, pospolitą robotą, wesołością w złym smaku plebejuszów, zawsze na straży swoich szlacheckich przywilejów i stanowej odrębności pozostając.

Posiadłość pana Lescuyer—ojca, w niczem nie ustępowała sąsiednim domom. Oddzielona od świata kamienną wysoką ścianą, podobną była do więzienia, nie tyle z kształtów architektonicznych, co z przerażającej pustki i iście grobowej ciszy, jakie w niej od niepamiętnych lat panowały. Bramy wjazdowej, którą rdza wieku pokryła, nie otwierano nigdy, a goście, nader nieliczni zresztą, wchodzili przez obracającą się na skrzypiących zawiasach furtkę. Kilka

schodków z żelazną poręczą prowadziło na wązkie, ciemne podwórze okolone dwiema oficynami bocznemi i głównym korpusem frontowym po którym, jak gadziny, pełzały przywiędłe, żałobne bluszcze. A ktokolwiek by zajrzał do głębokiej, ze zmurszałem ocembrowaniem studni, mógłby przypuścić, że woda w niej jest zatruta.

We wnętrzu tego osowiałego gmachu było stokroć jeszcze gorzej. Zewsząd wyzierały nuda, chciwość i inne cechy zawodowe właściciela. I już w sieniach wydawało ci się, niebaczny przychodniu, że ci narzucają lodowaty płaszcz na ramiona. Widmo bronchitu snuło się groźne po wielkiej sali jadalnej.

Ponieważ pan radca, Lescuyer, wcześnie straciwszy żonę, przyjmował u siebie tylko towarzystwo męzkie kolegów sądowych, i to zaledwie parę razy do roku, pokoje nie były opalane przez zimę. Portrety przodków, surowe postacie w sędziowskich togach, do nagich ścian galeryi zdawały się przymarzać. W temperaturze o jeden stopień powyżej zera, zaproszeni goście wystraszonym wzrokiem spoglądali na swego gospodarza, który do chłodnej uprzejmości dołączał zwykle wejrzenie inkwizytorskie, śledcze. Mimowoli czytało się w jego stalowej barwy oczach pytanie: „Obwiniony, twoje imię i nazwisko?“.

A kiedy zmuszony kwestyą życia lub śmier-

ci, biedny klijent przestąpił pragi gabinetu nieposzlakowanej opinii urzędnika, skóra na nim cierpła odrazu. Olbrzymie, z czarnego dębu półki uginały się pod ciężarem niezliczonej ilości ksiąg prawnych. Zacząwszy od zbiorów średniowiecza, aż do kodeksu Napoleona—cały szereg woluminów, które przypominać się zdawały tę niezbitą prawdę, że od kolebki dziejów aż po dzisiejszą dobę, ludzie zadawali sobie moc bezpożytecznego trudu, aby zwalczać za pomocą martwej litery prawa zarówno samą wzniosłą ideę Sprawiedliwości, jak dzikie instynkty człowieka pierwotnego. Ale z drugiej strony przychodziło też na myśl na widok tych starych foliałów przypuszczenie tym, którym nieobce były kruczki dzisiejszej procedury karnej, że może w tych nawet zapleśniałych księgach mniej było srogości, aniżeli w owym małym o złoconych brzegach tomiku, mieszczącym zwięzłe paragrafy szafunku kar dla tych, którzy raz weszli na drogę nieporozumień z prawem obowiązującem.

W takim poważnym przybytku, w którym nieraz topniały fortuny i ścierały się sumienia ludzkie, wśród tylokrotnych, drukiem stwierdzonych świadectw bezsilności człowieka wobec tajemniczych nagabywań jego znieprawionej duszy, siadywał przy wspaniałym biurze pan radca Lescuyer, urzędnik wzorowy, sędzia nieu-

błagany, nieodstępujący od rutyny, od paragrafów i obowiązujących reguł dla żadnych względów boskich i ziemskich. Zaciekły legitymista z wyraźnym, klerykalnym odcieniem, w pięćdziesiątym roku życia nie doczekał się jeszcze upragnionego odznaczenia: wstążeczki Legii, i wyższego stanowiska. Cierpiał nad tem skrycie, i to może dawało jego zawiędłej fizyognomii i ostrym rysom wyraz tłumionej nienawiści, dumy i uporu. Żółte, wilcze zęby ukazywały się niekiedy w zaciśniętych ustach przy uśmiechu—rzadkim objawie dobrego humoru u pana radcy. Gdyby nie biały krawat, jakby wykrojony w dziewiczych śniegach bieguna północnego, i nie złote hafty na zniszczonym mundurze, możnaby było wziąć pana Lescuyer równie dobrze za prezydenta Trybunału rewolucyjnego terorystów francuzkich, jak i członka świętej Inkwizycyi hiszpańskiej, tyle było srogości w tem oschłem sercu i ciasnym umyśle. Zresztą surowa powierzchowność licowała najzupełniej z głębią charakteru tego odpychającego indywiduum.

Smutnie upływały lata dziecinne młodemu Krystynowi; przy boku surowego ojca, który żadnem innem uczuciem, oprócz uczucia trwogi i szacunku, nie natchnął jedynaka. I żeby nie stara, na wpół idyotyczna niańka, witająca zawsze sierotę, gdy powracał ze szkoły, serdecznem mianem i uściskiem, chłopiec nie wiedziałby

nawet, że ktoś się nim żywiej interesuje, że ma prawo do miłości rodzicielskiej. Matka odumarła go niemowlęciem, a podobizny jej na pamiątkę dziecku nawet nie pozostawiono. A ojciec? Ileż to razy Krystyn wyrzucał sobie, że jest synem złym i niewdzięcznym, że za starania, czysto materyalnej natury zresztą, nie odpłaca się temu ojcu przywiązaniem i ufnością. Niestety! wychowanie, oparte na systemie dyscyplinarnym, bezdusznym, wytworzyło między nimi niezgłębioną przepaść, mimo braku różnic w obu tych temperamentach, z refleksyi, chłodu i pewnego rodzaju apatyi złożonych.

Nigdy nie przyszła do tkliwszej wymiany myśli między starym Lescuyer a Krystynem; nigdy ten ostatni nie zaznał nietylko pieszczoty, tak niezbędnej dla serc dziecięcych, ale łagodniejszego obejścia, lub zachęty życzliwej ze strony tego naturalnego opiekuna, któremu Bóg. ukształtowanie i rozwój czystego ducha na wzór i podobieństwo swoje powierzył.

Po pierwszej komunii nie wolno już było chłopcu odzywać się do ojca po imieniu, wedle obyczaju francuzkiego; zniknął z porządku dziennego martwy pocałunek, składany na czole syna każdego ranka; nie męzką bowiem rzeczą było, zdaniem pana radcy, bawić się w sentymenty, a wszelkie niebezpieczne poufałości, re-

zultat zbytecznej swobody, uwłaczały jakoby stanowisku starszych względem młodzieży. Posłuszeństwo i rygor stały tu na pierwszym planie, a za dokładne wypełnianie obowiązków, za szybkie postępy w naukach nie należała się żadna, choćby w formie słownej, nagroda.

Z natury nieśmiały i zamknięty w sobie, nawykły tłumić każdy gorętszy poryw, Krystyn, nawet w czasie przebywania w gimnazyum, nie zawarł ściślejszej przyjaźni z żadnym z kolegów, równych mu wiekiem i urodzeniem. Przyjaźń, to szlachetne, bezinteresowne uczucie, nie opromieniła swoim urokiem epoki jego młodości. Jednakże, ponieważ sympatye powstają zazwyczaj na gruncie absolutnych przeciwieństw, zdarzyło się, że ten uczeń pierwszy zawsze w klasie, któremu zazdroszczono promocyi, pochwał, medali, zapłonął szczególnym afektem do małego urwisa paryżanina, posiadającego stypendium z powodu zasług swego ojca, kapitana, zabitego pod Solferino. Tak jest—wszystko mu się podobało w tym Franku Donadieu, inteligentnym, ale leniwym i zuchwałym uczniaku, który przy lekcyi, zamiast odpowiadać na pytania profesora, rysował jego karykaturę, znosił wszelkie prywacye i nagany ze wzgardliwą obojętnością, potrząsając swoją rudą, kędzierzawą głową, niby bohaterski rebelizant, miażdżący gradem kamieni regularny atak wojska

ze szczytu barykady. Jego odwaga i awanturnicze usposobienie imponowały spokojnemu i poważnemu Krystynowi. Zbliżyli się też do siebie i wkrótce byli nieroździelni, ku wyraźnemu niezadowoleniu zwierzchności szkolnej, a paryżanin rad był wielce, że, jakkolwiek zagrożony wyrzuceniem ze szkoły, znalazł przecież opiekę i poparcie najlepszego ucznia z całego gimnazyum. Na jednym punkcie tylko się oba druchy nie zgadzały. Starszy ostrożnie i delikatnie przedstawiał konieczność przykładania się do nauk, z uwagi na przyszłą karyerę, młodszego łacina pognębiała, matematyka nużyła, atrament mdłości nabawiał. Jego marzeniem była sztuka; z ołówkiem w ręku czuł się jedynie szczęśliwym.

— Słuchaj — mówił często do swego protektora — dosyć mam martwej natury, gipsu i kredy, mnie trzeba studyować żywe modele, tracę czas napróżno. Bam ztąd nogę, rzucę te więzy i pójdę w świat, do Paryża! Przygarnie mię może jaki rzeźbiarz, a ja mu za to chętnie pracownię uprzątnę, a nawet i buty oczyszczę.

Ale cóż, kiedy biedak był bez grosza w kalecie. Egzystowała gdzieś jakaś jego ciotka, stara panna, posiadająca małą czytelnię na przedmieściu stolicy. U niej to spędzał coroczne wakacye. Wcale nie świetnie, nie! Mieszkał w iz-

debce, na poddaszu, zamiast wina pijał lurę z rodzynków, domowego wyrobu.

Zacna kobiecina lubiła szczerze swego siostrzeńca, i napewno nie zamierzała pozostawić go własnemu losowi. Ale kiedy młokos opisywał jej swój wstręt do pracy systematycznej, swoją gwałtowną chęć oddania się rzeźbiarstwu, ciotka zaklinała go, aby wytrwał do końca, a później upragniony zawód sobie obierze. Ach! gdyby nie obawa zmartwienia poczciwej staruszki! Franek szamotał się jak ryba w sieci. Ani sposobu dostać zkądkolwiek choćby grudki gliny!

W drzemiącej duszy melancholicznego Krystyna nie było gruntu do walki. Przed nim rysowała się przyszłość jasna, utarta i gładka droga. Skończy kursa prawne, odbędzie praktykę adwokacką, i jak jego dziadowie, przywdzieje togę i beret magistralny. Ojciec tak postanowił, a wiadomo było, że od takiego wyroku nie ma apelacyi. Zresztą do zawodu obranego Krystyn nie czuł wstrętu; przeciwnie, godził się nań chętnie, z właściwym sobie spokojem, co mu nie przeszkadzało doznawać dla towarzysza, pomiatającego wszelką powagą i władzą, mimowolnego uwielbienia.

Dziwna ta, na kontrastach oparta, zażyłość między dwoma chłopcami została nagle przerwaną. Skompromitowany w zwadzie ko-

leżeńskiej, która skończyła się bójką zażartą i nadwyrężeniem oka jakiemuś przeciwnikowi, Franek Donadieu, lubo najmniejszy ze wszystkich winowajca, musiał raz na zawsze opuścić progi gmachu szkolnego. Wyjechał do Paryża i zginął bez wieści. Żadne wspomnienie w nierozbudzonem sercu nie trwa długo. To też i u Krystyna zacierała się zwolna, stopniowo pamięć o tym wesołym hultaju, który ożywiał, śmiechem i żartami rekreacyjne chwile, i zdobił na złość pedelom, ściany refektarza ptaszkami, ulepionymi z okruszyn chleba. Zapadło to wszystko w przeszłość, bez echa.

Ale teraz w szarej, przeraźliwie jednostajnej egzystencyi młodego Lescuyer, zabrakło jaśniejszego promyka i odrobiny swobodnego nastroju.

Mimo znacznych dochodów, pan radca nie uznawał za stosowne dawać swemu dorosłemu synowi więcej nad pięć franków tygodniowo na jego osobiste, i wyjątkowe potrzeby. Rozumie się, że koledzy uniwersyteccy, dowiedziawszy się o tej szczodrobliwości rodzicielskiej, wyciągnęli razu pewnego Krystyna na jakąś niezbyt budującą zabawę studencką, która nie tylko szczupły zasób, ale i kilkanaście zapożyczonych luidorów pochłonęła. Trzeba się było do tych miłych złego początków i końca żałosnego przyznać ze wstydem ojcu, a i do zaciąg-

niętego długu także, co stary skąpiec przyjął do wiadomości z tak wielkiem oburzeniem, jakby, co najmniej, szło o bezczelny rabunek cudzej kasy.

Odtąd upokorzony i do żywego dotknięty młodzieniec unikał nadmiernych wydatków i towarzystwa hulaszczego, jak ognia. Niewypowiedzianą odrazą nabawiały go i dom rodzinny, ze swymi oślizgłymi od wilgoci murami, brudną, czarną fasadą, i tą pełną grozy studnią w kącie podwórza, której mętna woda służyć mogła do utopienia się jakiemuś desperatowi, a sznury, mocno skręcone, zadzierzgnąć na hak dla wisielca—te obiady proszone, na których w gronie zasuszonych mumii prezydował pan radca, również, jak one, sztywny i nieruchomy, i ta lodowa atmosfera otoczenia, tamująca oddech w piersiach. Niekiedy Krystyn pytał siebie z trwogą i rozpaczą, czy nielitościwa Opatrzność skazała go istotnie na zagładę? Czy cały żywot ma mu przejść w tym grobie? Czyż żadna siła ludzka lub nadprzyrodzona z kaźni go nie wyrwie?

Co druga niedziela regularnie, obaj panowie Lescuyer szli popołudniu w odwiedziny do pani Taburet, właścicielki pięknej willi po za miastem. Dama ta, obecnie wdowa, była żoną dawnego kolegi ze szkół i karyery sądowniczej pana radcy. Razem od pierwszej klasy

zbijali bruki Caen, w wolnych od przymusowego nauczania godzinach płatali wspólnie różne psoty i figle swoim przełożonym, zarówno jak straganiarkom i przedstawicielom porządku publicznego, jak przystało na potrzebującą się wyszumieć młodość, co jasno dowodzi, że i surowy sędzia czynów i słabości ludzkich, zanim, niby mamut przedpotowy, stężał w lodowcu swojego śnieżnego krawata, dopuszczał się lekkomyślności i drobnych wykroczeń.

Ale to były rzeczy bardzo odległe, epoka pogrzebana. Każdy z nas wreszcie musi w pewnej fazie życia przejść taką zaraźliwą gorączkę.

Nasi przyjaciele ustatkowali się rychlej od innych, bo wraz z pełnoletnością dostały im się posady i żony. Pan Taburet, niegdyś większy swawolnik, zaślubił nawet niewiastę leciwą, ale z ogromnym posagiem.

Po dwudziestu pięciu latach daremnego zmagania się z nieprzezwyciężoną sennością, która go zazwyczaj na posiedzeniach urzędowych napadała, szanowny sędzia zszedł nagle i bezpotomnie ze świata. Wdowa, z początku niepocieszona, urządziła sobie później życie nader wygodnie i dostatnio, przybrawszy, w charakterze wnuczki, do towarzystwa młodą panienkę, Kamillę Letourneur, która po najdłuższych latach opiekunki miała, jako dziedziczka

całego jej majątku, stanowić jedną z najpożądańszych partyj w Calvados.

Złośliwe języki parafiańskich plotkarzy przytaczały dużo anegdot, świadczących jako sędziwa pani Taburet należała do rzędu Harpagonów w spódnicy, że była z tego powodu pośmiewiskiem kółka swoich znajomych i celem szyderczych pocisków młodszego pokolenia. Te słabe strony charakteru wdowy – istna bagatela w porównaniu z olbrzymią fortuną — nie były w stanie odstręczyć pana Lescuyer senior. Dwa razy na miesiąc prowadził tam syna, aby mu utorować drogę do tytułu luminarza i wykierować go na ozdobę tego czysto mieszczańskiego zgromadzenia. Czy miał na widoku inne jeszcze poważniejsze przyczyny,—o tem dowiemy się poniżej.

Od czasu włożenia pierwszego mundurka, nie biorąc nigdy udziału w żadnej rozmowie, Krystyn znudzonym i roztargnionym wzrokiem wodził po jednych i tych samych przedmiotach i osobach, słuchał cierpliwie, w milczeniu, banalnych, pospolitych sprzeczek, obgadywania, niby dyskretnego nieobecnych, zawsze jednakowych uwag nad niefortunnemi zmianami pogody, które fatalnie na zbiór wina oddziaływają, i nigdy nie przyszła mu do głowy myśl ucieczki, choćby w mysią jamę, z tej ogłupiającej

atmosfery. Czasem tylko, w nader rzadkich odstępach, zamieniali z panną Kamillą obojętny wzrok lub parę słów bez znaczenia, zyskując sobie tym sposobem pochlebną opinię dwojga dobrze wychowanych ludzi.

Wnuczka p. Taburet było to szesnastoletnie dziecko, nieśmiałe, bez urody, ale nie bez pewnego wdzięku w modrych, jak niezabudki, oczach i pełnym naiwności uśmiechu. Dla niej jednej miał Krystyn cokolwiek sympatyi, jakkolwiek niczem nie starał się tego okazać jawnie i bezpośrednio. To też gdy pewnego wieczoru, w powrocie z owych odwiedzin, ojciec wyłożył mu swoje, dawno widać układane plany, tyczące się związku między nim a panną Kamillą, przyjemne wzruszenie ogarnęło go mimowoli.

— Czy wiesz — mówił z powagą zwykłą pan radca — że ta panienka — no, Letourneur, będzie miała prędzej czy później ośmnaście tysięcy franków dochodu rocznego z samej ziemi?... A ciotka życzy sobie dla niej męża ze sfery sądowniczej. Prezes Trybunału cywilnego chciał by synowi swemu ten kąsek zachować — to wszystkim wiadomo; ale Jerzy jest głupcem i nieukiem, już po raz trzeci zdaje egzamin prawny, i zawsze mu odmawiają dyplomu... Ty, po napisaniu rozprawy, zostaniesz doktorem prawa, najwyżej za dwa lata. Chociaż nie posiadam wiele stosunków w Paryżu, pozostało

mi tam kilku przyjaciół, za których wpływem możesz być wkrótce mianowanym sędzią. Dostrzegłem już, że panna Kamilla dosyć ci się podoba, możesz zatem bez żadnych skrupułów starać się o jej rękę, bo lubo po matce dostanie ci się bardzo mała fortunka, więcej niż drugie tyle odziedziczysz po mnie. Oboje jesteście jeszcze za młodzi, abym miał robić przedwstępne rokowania z panią Taburet, ale to kobieta z głową, i nam osobliwie przychylna. Wreszcie... nastąpi to, co Bóg da. A ty rozważ sobie moje projekty, powoli. bez uprzedzeń...

Te słowa, w których po raz pierwszy przejawił się lekki odcień ojcowskiej troskliwości o los dziecka, spadły na duszę Krystyna, jak ożywcza rosa niebieska. Nic go nie obchodziła karyera z góry wytknięta, jeszcze mniej posag przyszłej żony—młodość bywa zwykle bezinteresowną—ale pozwolono mu kogoś kochać; jego życie, opromienione wzajemnem uczuciem, nabierało wyższej wartości, jakichś cech dodatnich. I widział się już w myśli narzeczonym panny Kamilli, i zaczął snuć niewinną sielankę, w której tkliwe spojrzenia, przysięgi wiernej miłości, ukradkowy uścisk dłoni przy księżycowym blasku — boć chyba pozwolą im niekiedy na samotne przechadzki po ogrodzie — grały główną rolę.

Władysława Rudzińska

Wkrótce potem pan Lescuyer kazał wezwać syna do swego gabinetu i tak się do niego odezwał:

— Mój synu! Powziąłem co do ciebie postanowienie niezłomne. Chcę, abyś bezwarunkowo słuchał wykładów, i złożył ostateczne egzaminy w paryzkim Fakultecie. Pensyę otrzymasz skromną, ale aż nadto wystarczającą. Jestto kwestya dwuletniego pobytu w stolicy, jeżeli nb. będziesz pracował gorliwie. Nie obce mi są niebezpieczeństwa i pokusy, jakie na cię z twoją miękką, nieodporną naturą czychają w tak wielkiem mieście. Jednakże nie waham się dłużej z wysłaniem cię do Paryża, ze względu na korzyści przyszłego twojego zawodu. Pamiętaj, że jeśli drażliwy i surowy okazywałem się na małe usterki i wybryki młodzieńcze, będę bez litości, gdy rozminiesz się z uczciwością i honorem. Daleki od zmiany moich poprzednich planów, o których ci parę dni temu napomknąłem, zachowam przyjazny stosunek z paniami Taburet, w czasie twojej nieobecności, abyś, gdy *chwalebnie* ukończysz nauki, miał grunt przygotowany do zawarcia małżeństwa, ze wszech miar odpowiedniego dla twojej osoby i pozycyi w świecie. Listopad za pasem; od jutra zaczynamy składać wizyty pożegnalne, a w wigilię Wszystkich Świętych ztąd wyjedziesz, ponieważ w początku przyszłego mie-

siąca kursa zostaną otwarte. Dam ci listy polecające do kilku wyższych sądowych figur, mianowicie do pana Lherbager, sędziego śledczego, który ci udzieli rad i wskazówek nader pożytecznych. Możesz nawet zbliżyć się poufalej z jego dwoma synami; są to podobno chłopcy porządni i religijni. Mimo sąsiedztwa z quartier Latin, siedliskiem zepsucia, wypadnie ci poszukać mieszkania w tej samej dzielnicy. Co miesiąc przyślę ci sto pięćdziesiąt franków; to powinno na utrzymanie twoje wystarczyć. Ja niegdyś poprzestawałem na daleko mniejszej pensyi. No, to i ułożyliśmy już wszystko. Podziękowań żadnych nie wymagam od ciebie. Gotuj się do drogi z tem przeświadczeniem, że najlepszy dowód wdzięczności dasz mi wtedy, gdy nie zawiedziesz w dalszem swojem życiu pokładanych w tobie nadziei.

Wygłosiwszy tę przemowę tonem doktoralnym i tak zimnym, jakby szło o odczytanie wyroku śmierci, pan Lescuyer pożegnał syna skinieniem ręki.

Krystyn chwiejnym krokiem wyszedł z gabinetu ojca. Co za niespodzianka! Jaka zmiana nadzwyczajna! Będzie nareszcie wolnym, on, więzień! Może rozporządzać swoją osobą, swoim czasem! Pojedzie do Paryża! Pozna to Quartier Latin, o którem studenci cuda mu opowiadali, tę Ziemię obiecaną, ten Raj Proroka!

Nikomu z czynności dnia, z nieopatrznie wydanych pieniędzy zdawać sprawy nie potrzebuje! Co za rozkosz, co za upojenie! I ojciec udzielił mu tej zdumiewającej wiadomości bez żadnego wstępu, bez przygotowania, poważnie, nawet twardo. Odsunął zasuwę u drzwi celi, i nic więcej! Ach! gdyby w tym akcie miłosierdzia znalazło się choć jedno słowo tkliwsze, jakiś prąd gorętszy — Krystyn rzuciłby się niezawodnie na szyję staremu swemu i ręce jego i kolana całował ze łzami. Ale postanowiono już było tam, rozporządzeniem Opatrzności, że te dwie istoty, najbliższe sobie, nie zjednoczą się nigdy duchem i umysłem. Krystyn opuszczał dom rodzicielski z radością psa, trzymanego na łańcuchu, którego niezawodny instynkt ostrzega, że prędzej czy później trzeba mu będzie powrócić pod bat pana—dać szyję w obrożę.

Aż do ostatniego dnia wyjazdu młody człowiek przepędzał godziny oczekiwania w gorączkowem naprężeniu i bezsenności.

Rzeczy wszystkie upakowane zostały na tydzień przed terminem. Przy pożegnaniu z panną Kamilą, której wzruszenie uszło zupełnie jego uwagi, nie okazał najmniejszego żalu, a nawet ta niby już narzeczona wydała mu się brzydką i prawie dzieckiem jeszcze. Może los ich połączy kiedyś, ale obecnie on ma przed sobą parę lat swobody i żadnymi widokami na przy-

szłość krępować się nie myśli. Wyzwolenia swego za wszystkie skarby świata nie zmieniłby teraz!

Nakoniec, w pewien dżdżysty poranek, kiedy wiatr od morza dął z całych sił, a skłębione, nizko rozwieszone chmury zasłaniały widnokrąg szarą oponą, obaj panowie Lescuyer udali się na dworzec kolei jakimś starym, trzęsącym wehikułem. Nie mówiąc nic do siebie, obojętnie rozstali się, uściskiem dłoni zaznaczając jedynie okres uroczysty i nowy w ich dotychczasowem życiu. Dopiero, gdy pociąg zaczął unosić naszego smętnego bohatera, a w mgle jesiennej niknęły i bladły w niewidzialność najwyższe szczyty świątyń i gmachów rodzinnego miasta, uczucie jakiejś dziwnej, zabobonnej trwogi owładnęło nim. Zadawał sobie, sięgnąwszy do głębin sumienia, niepokojące pytanie, czy godziło się tak lekkiem sercem porzucać własnego ojca, który, bądź co bądź, opiekował się nim przez lat tyle, pozostawi mu szanowane ogólnie imię, a ostatecznie wynagradza hojnie poprzednią surowość i bezwzględność w postępowaniu z synem spełnieniem najśmielszych jego marzeń? Krystyn niedługo roztrząsał w ten sposób własne grzechy i obowiązki.; nadmierne znużenie odebrało mu zwolna władzę myślenia, zasunął się w kąt wagonu i... usnął.

II.

Hotel, pod nazwą „de Bayeux i de la Plata“ na ulicy Racine'a, miewa stałą klientelę, złożoną z samych uczęszczających na różne wykłady studentów, przeważnie rodem z Normandyi, a wyjątkowo i z Ameryki. W porze obiadowej, dokoła olbrzymiego stołu, na którym skąpy dobór potraw w niczem nie ustępuje najmarniejszym jadłodajniom z Quartier Latin, można codziennie widzieć zgrupowaną młodzież obu półkuli. Siedzą tam obok siebie dobrze zbudowani, wysokiego wzrostu chłopcy o jasnej cerze i lnianych włosach, i mieszkańcy Argentyny z oczami lśniącemi, jak czarne dyamenty, smukli, drobni, obdarzeni od natury bujną wyobraźnią i oliwkową barwą twarzy. Normandczycy, po większej części synowie notaryuszów i adwokatów z prowincyi, odznaczają się pilnością i gorliwością w naukach, dobrymi obyczajami, umiarkowaniem w młodzieńczych wybrykach, i, o dziwo! przy końcu miesiąca nie odnoszą zazwyczaj swoich skromnych zegarków do zastawu. Wręcz przeciwnie dzieje się w gronie amerykanów; oni to stanowią źródło skandalu i grubszych dochodów pensyonatu. Najlepsze wino Bordeaux im się tylko podaje za ceny, rozumie się, bajeczne, ich pieniędzmi

wetuje sobie gospodarz swoje liche zarobki, dla nich specyalnie urządza wesołe kolacyjki w osobnych gabinetach. To wszystko jednakże wcale nie przeszkadza, aby tyle różni pochodzeniem i temperamentem koledzy nie mieli żyć ze sobą w najprzykładniejszej zgodzie i harmonii.

Przybywszy o zmroku do Paryża, Krystyn Lescuyer kazał natychmiast zawieźć się pod wskazany adres, na ulicę Racine'a. Pokaźnej objętości kufry podróżnego zaimponowały snadź szwajcarowi hotelowemu, gdyż osobiście poprowadził gościa na pierwsze piętro i, otwierając przed nim drzwi, z przesadną powagą wycedził:

— Panie... Oto jest nasz najlepszy apartament!

Pokój był po prostu ohydny. Na widok łóżka i kanapy, mocno draśniętych zębem czasu, zaśmieconej podłogi, pogiętego lichtarza z dopalającym się ogarkiem świecy, Krystyn doznał na wstępie bardzo niemiłego wrażenia... wstrętu. Przywołany służący usunął, wedle możności, ślady zaniedbania administracyi i pobytu ostatnich lokatorów z jaknajwiększym pośpiechem. I wnet zrobiło się czyściej i jaśniej w *apartamencie*, częścią od wesoło pryskającego ognia na kominku, częścią od starannie poukładanych książek i różnych przyborów tualetowych studenta, które nadały tej szkaradnej izbie wygląd

zupełnie przyzwoitego mieszkania. Młody człowiek rozejrzał się z pewnem zadowoleniem dokoła, szepcząc mimowolnie:

— Ach! jestem u siebie... nareszcie u siebie!

Z ulicy dochodziły gwary różnorodne: szybkie kroki i zmieszane głosy przechodniów, turkot powozów i omnibusów, nawoływania roznosicieli dzienników i t. d. Z wystawowej, lustrzanej szyby zakładu fryzyerskiego, na przeciwległym chodniku, padało jaskrawe światło lamp gazowych, i widać było, jak na dłoni, uwijającą się energicznie garstkę adeptów kunsztu perukarskiego, którzy fryzowali i skrapiali wonnościami głowy kilku studentów, wybierających się prawdopodobnie do teatru, na bal jaki lub ucztę koleżeńską. Nieznana mu dotąd otucha wstąpiła w serce aspiranta do uciech tego świata. Wkrótce i on pójdzie za tamtych przykładem, przyłoży spragnione usta do pełnej, słodkiej czary życia!

Zgrzytliwy dźwięk dzwonka, oznajmiający godzinę obiadową, przerwał nagle wątek tych rozkosznych nadziei i marzeń. Krystyn zeszedł na dół, do sali jadalnej, gdzie licznie zebrana młodzież połykała już chciwie podaną zupę. Gdy onieśmielony obecnością tylu nieznanych ludzi, nowicyusz zajął skromnie miejsce wolne przy stole, z ust najbliższego sąsiada, właści

ciela wspaniałej blond brody, wybiegło naraz wesołe powitanie:

— Jak się masz, Lescuyer?

Po chwilowem wahaniu ten ostatni, przypomniawszy sobie osobę, tak poufale go zaczepiającą, a był to kolega z gimnazyum, Mulot, syn zamożnego rolnika z okolic Caen—nie czuł się wcale tem dotkniętym, gdyż posłużyć mu to mogło do zawiązania znajomości z całem towarzystwem.

— A zatem przyjechałeś tu dla uzyskania Doktoratu?... I po raz pierwszy jesteś w Paryżu?... No, to zapłacisz, bratku, porządne frycowe!

Zgromadzeni wybuchnęli śmiechem, lody pierwsze zostały złamane. Nastąpiła za pośrednictwem krzykliwego Mulot, szczegółowa, wzajemna prezentacya; wesołość ogólna zaczęła wzrastać. Nie była ona, co prawda, w lepszym guście i smaku, niż wniesiony właśnie deser w postaci kamienistych gruszek i zielonego od starości sera.

Młodzi rodacy mieli dowcip i żarty na zawołanie, ale grube, ciężkie i pospolite, a tubalny śmiech Amerykanów zbudziłby w grobie nawet umarłego. Nie brakowało zato w tem gronie szczerości, serdecznego obejścia, dłoni ofiarnej i silnego ramienia do pomocy drugim—biednym i opuszczonym.

Krystyn, nie mogąc oprzeć się nastrojowi otoczenia, w jednej chwili zrzucił z siebie twardą powłokę, przyjął udział w swobodnej rozmowie, i wszystkim się podobał.

Paru argentyńskich nababów, dla uczczenia nowozaciągniętego rekruta, kazało podać szampana, i przy głośnych wiwatach, strzelaniu korków w górę, hałaśliwe objawy rozradowania doszły do niebywałych dawno rozmiarów. Zaczęto naśladować ruchy, powtarzać ulubione zwrotki śpiewaczek z ogródkowych teatrzyków, popisywać się cyrkowymi tańcami błaznów, zaczepiano i o politykę, ciskając gromy, pioruny na konserwatywną burżuazyę, sprzedajność deputowanych, niedołęztwo władz rządzących, napór klerykalizmu i wyzysk oburzający kapitału. Jednem słowem, górowała tam swojska, rodzima nuta w tym zespole przyszłych reformatorów. Jednakże, po kawie „czarnej, jak smoła, a gorącej, jak miłość“ i likierach, marnie zafałszowanych, Mulot, który w tym garnizonie posiadał niby rangę majora, i pełnił wszędzie i zawsze funkcyę gospodarza, zaproponował pójście na świeże powietrze. Ale równało się to głosowi wołającemu na puszczy; bo zaledwie cała banda przestąpiła progi gościnnego hotelu, uderzył ją w oczy szyld jakiejś czysto niemieckiej piwiarni, i aby nie zgrzeszyć szowinizmzm,

należało koniecznie germańskiej ambrozyi sprobować.

Miejsce to słynne było niegdyś, nie tyle z wartości swego produktu, co z wyborowego towarzystwa, które doń uczęszczało. Przed trzynastu laty—w dniu zamachu Stanu—patron, stary republikanin, aresztowanym został i więzionym za jawnie głoszoną opozycyę. Pokazywano tam, nie bez pewnej ostentacyi, stolik, przy którym zwykł siadywać Mürger, ulubiony poeta niemiecki, chrupiąc w zamyśleniu twarde obwarzanki. Często też zgromadzali się tłumnie studenci różnych fakultetów, robili „politykę“ z naiwnością prawdziwie dziecięcą, lub perorowali zapalczywie. Młodsze pokolenie, sentymentalnie jeszcze w owe czasy nastrojone, deklamowało czułe ustępy z Lamartine'a, lub śpiewało długo w noc pieśni patryotyczne.

Smak i woń piwa przedstawiały wiele do życzenia, ale któżby się ośmielił okazać choćby cień niezadowolenia jednej z ofiar uzurpatora, konspiratorowi, którego posądzano o stałą korespondencyę z Feliksem Pyat'em, przebywającym wtedy w Londynie? Zatem Krystyn Lescuyer i jego nowi towarzysze pili gorzki napój z pewnego rodzaju szacunkiem, jaki należało zachowywać względem jego rozdawcy, męczennika idei Wolności.

Nagle, Mulot, uderzywszy się w czoło, zawołał:

— Jedenasta wybiła!... A ja naznaczyłem Klarze schadzkę na dziesiątą i pół w kawiarni, na ulicy de la Harpe, u Leonii—wiecie przecież.

Rzecz prosta, że poszli tam wszyscy, pod pozorem sprobowania świeżo w modę wprowadzonego kirschu.

W 1868 roku mało jeszcze kobiet utrzymywało zakłady i restauracye na własną rękę. Do wyjątków też należała pani Leonia, która swój, z różnych mętnych źródeł czerpany kapitalik obróciła na założenie knajpki w dzisiejszym stylu. Młodzież, prowincyonalną zwłaszcza, pociągały stoliki do kart i brak krępującego regulaminu. Gdy o północy, opiekła, z czarnym meszkiem nad zmysłowemi wargami, gosposia przyćmiewała gaz, zaklinając, aby klijenci raczyli się rozejść do domów, gdyż przepisy policyjne zabraniały wszelkich zebrań po godzinie prawem oznaczonej, uparci gracze kończyli zazwyczaj partye *ramsza* przy świetle zapałek.

Niewzruszeni wcale skandaliczną sceną, jaką zawiedziona Klara przyprawiła swemu lekkomyślnemu przyjacielowi wobec tylu towarzyszów, nasi weseli kmotrowie zasiedli najspokojniej przy stole, na którym stawiano kolejno podejrzanej autentyczności wiśniak, angielskie

portery, a na końcu, dla ukoronowania uczty, olbrzymią wazę palącego się niebieskim płomykiem ponczu.

Od tej przełomowej chwili, Krystyn, wstrzemięźliwy z natury i wychowania, stracił doszczętnie świadomość czasu i miejsca. Majaczyło mu po głowie niewyraźne wspomnienie wyrzucenia za drzwi zarówno łacińskiej, jak i anglo-saksońskiej rasy osobników, przy głośnych wybuchach śmiechu pani Leonii i zwykłych jej nawoływaniach:

— No, dosyć tego dobrego, moje lube dziatki!

Zdawało mu się również, że w zetknięciu z chłodną temperaturą nocy listopadowej nogi jego nabrały kauczukowej giętkości, i mimo oparcia na jakichś potężnych barkach, on sam chwieje się, niby pajac na sznurku, że latarnie gazowe tańczą na chodnikach zawrotną tarantellę, a jego miłosierni przyjaciele toczą, na wzór Don Kiszota, zażartą z niewidzialnymi przeciwnikami walkę.

Jakim sposobem trafił o własnych siłach do mieszkania, jak zdołał odnaleźć klucz w zamku, to już resztka jego gasnącej inteligencyi pokryła nieprzeniknioną tajemnicą. Dosyć, że nazajutrz, po burzliwie przepędzonej nocy, młody człowiek obudził się z głową pałającą, szkaradnym niesmakiem, jakby miedzi w ustach,

zdumiony do najwyższego stopnia, że spał nierozebrany, z nogami na poduszce, po raz pierwszy w życiu.

III.

Już niespełna w tydzień po tych awanturniczych wyprawach, których wspomnienie wywoływało mu rumieniec wstydu na czoło, Krystyn zabrał się szczerze i gorliwie do pracy, przepędzając poranki na słuchaniu wykładów w Szkole Prawa, a wieczorami pisząc u siebie w domu, pod czujnem okiem cnotliwego pana radcy Lamoignon, swego protektora z ramienia ojca. Kilka wolnych godzin obiadowej pory poświęcał nowym kolegom. Normandczycy prowadzali go do coraz nowej kawiarni, równie ciasnej i brudnej, jak poprzednia, gdzie jedna fajka i jedna platerowana łyżeczka wszystkim służyć miała, i gdzie np. prowadzono nieskończenie długie i nudne gawędy o pozyskaniu jakoby przez najmniej zasłużonego, ale szczęśliwego wybrańca fortuny, zyskownej posady i grubo posażnej żony, co wzbudzało jadowitą zazdrość u tych, którzy dopiero pierwszy szczebel drabiny społecznej prześtąpili; roztrząsano szeroko możliwe korzyści przyszłego zawodu, skłonność

i usposobienie do pieniactwa spodziewanych klientów, i po za ten ciasny obręb myśli stanowczo nie wykraczano nigdy. Rozumie się, że podobnie pospolite rozmowy nie były w stanie zająć i pociągnąć rozwiniętego umysłowo Krystyna; męczył się i wprost dusił w tej atmosferze prostactwa i czysto materyalnych aspiracyj. Czasem, gdy młodość upominała się o swoje prawa, gdy krew żywiej zaczynała pulsować w jego żyłach, poważny student przyłączał się do hulaszczego grona kolegów i w ciągu dni paru wychylał do dna pieniący kielich zmysłowych upojeń, ale tak, jak w początku, poczucie wielkiego obrzydzenia i wstrętu pozostawało mu zawsze przy rozbudzeniu się z tego chwilowego szału. Wtedy starego Lescuyer syn niepoprawny przypominał sobie, że po za tem osławionem Quartier Latin istnieją przecież inne jeszcze dzielnice Paryża, jak lasek Buloński np., w których modni kawalerowie harcują na dzielnych koniach z kwiatkiem w butonierce, śląc czułe spojrzenia i ukłony wdzięczne młodym eleganckim damom, spacerującym po bulwarach lub lasku Bulońskim.

BIBLIOTEKA UMCS LUBLIN

Ale jak się dostać do tego zaczarowanego świata? Czy listy polecające, przywiezione z Caen, dopomogą mu w tych zamysłach? Należało jednak sprobować.

Dom „czcigodnego sędziego Lherbager,“ o którym była wzmianka przy wyprawianiu Krystyna na dalsze studya, zaliczał się prawdopodobnie do wielce dystyngowanych, i towarzystwo, jakie się tam zbierało, stanowiło kwiat inteligencyi stolicy. Nie tracąc czasu, młodzieniec udał się tam, zaopatrzony w przestrogi ojcowskie, z najlepszą otuchą i nadzieją.

Mimo nader życzliwego przyjęcia i zaproszenia na obiad w kółku rodzinnem ze strony pana sędziego—staruszka z twarzą widma i białym, jak zmarznięty szron, zarostem, Krystyn zadrżał z obawy wzięcia udziału w tej nieuniknionej już uroczystości.

Przeczucie go nie omyliło. Rzeczywiście, obiady spożywane na biwakach wielkiej armii nad brzegiem Berezyny musiały mieć gorętszą temperaturę, niż ta familijna, a specyalnie dla gościa przygotowana uczta.

Widok pani Lherbager, istnego szkieletu, okrytego całunem z aksamitu, barwy cynamonowej, i jej dwóch synów, którym z oczu wyzierała obłuda i źle maskowane namiętności, podnoszących wzrok od talerza po to tylko, aby przytaczać całe ustępy z kazań jakiegoś jezuity, zrobił na Krystynie wrażenie wylanego na głowę kubła zimnej wody. I tu, niestety, znalazła sobie dogodne schronienie nienawistna dlań prowincya, ze wszystkiemi swojemi wa-

dami: pospolitością, ciasnotą pojęć, bigoteryą, brakiem szczerości i swobody w najbliższych stosunkach, bałwochwalczem poszanowaniem pieniądza i władzy, albowiem ta ostatnia pochodzi wprost od Boga.

Zniechęcony ową niefortunną próbą, zrażony obcowaniem z kolegami, którzy po za kobietą i butelką niczego więcej nie pożądali, przyszły magister prawa starał się, lubo bezskutecznie, zabić nudę swojej smutnej egzystencyi i przerażającą pustkę serca za pomocą zdwojonej pracy i zupełnego odosobnienia od ludzi, tak bliźniaczo podobnych do siebie na całym widać obszarze ziemskim.

Wiosna—ta wiosna paryzka, obfita w przedwczesne, ożywcze wonie, sypiące pod stopy rozradowanych mieszczuchów snopy fijołków i bzów zaledwie rozkwitłych — zwiększała jeszcze rozterkę wewnętrzną naszego samotnika. Zużywszy nadmierny zapas sił na męczące, długie przechadzki, wracał do swojej pustej izdebki z tem gorzkiem przeświadczeniem, że nie każdy potrafi, a on wyjątkowo niezdolny jest użyć takiego pięknego daru, jak wolność osobista, i niby więzień, wypuszczony na światło dzienne, przymyka oczy z nadmiaru blasku, trwożliwie oglądając się dokoła, azali wymarzona swoboda nie zostanie mu rychło odebraną. Wszelkie okowy i pęta, które despotyzm

nakłada na ducha i ciało ludzkie, pozostawiają zawsze i bezwarunkowo niezatarte ślady po sobie.

Pewnego popołudnia, w przejściu przez plac Obserwatoryum, Krystyn machinalnie wmieszał się w tłum, przypatrujący się popisom jakiegoś przygodnego atlety. Do połowy okryty trykotem pasiastym, a skórą tygrysią na plecach, herkules jarmarczny — piękny zresztą typ południowca — podnosił właśnie ciężar stu kilo i wykonywał z nim przeróżne łamańce, przy dźwiękach zachrypniętej katarynki, która powtarzała fałszywie i po raz setny może melodyę z ulubionych operetek francuzkich. Nagle, po za Krystynem, ktoś krzyknął w zachwyceniu:

— Przepyszne!... te muskuły przedramienia!... Uf! nareszcie... Znalazłem model nieporównany!...

I na widownię wysunął się młody człowiek, w kapeluszu filcowym, bluzie oblepionej gliną, z długą kędzierzawą brodą, której barwa miedziano-żółta lśniła się w słońcu, jak roztopione złoto.

— Ależ, co ja widzę—Boże mi odpuść! — wołał w dalszym ciągu — toż to mój Krystynek!... Jakto? Nie poznajesz mię?... Donadieu... Franka Donadieu?... Swego nierozdzielnego towarzysza ze sztuby w Caen?

Naturalnie, że Krystyn go poznał, i to odrazu. Zabiło mu serce radośnie. Przecież to był jedyny jego przyjaciel z lat dziecinnych, najmilsze, żywe wspomnienie przeszłości.

— Franku! mój drogi Franku! — zawołał, wyciągając dłoń na powitanie.

Ale tamten w milczeniu pochwycił go za rękę.

— Baczność! Nasz atleta będzie teraz podnosił dwieście kilo... Chwileczkę tylko, poczekaj, chłopcze kochany, służę ci natychmiast... Popatrz no i ty na te bicepsy, te ramiona... Co za gest... prawdziwie bohaterski!... Niczego mi więcej do mojej symbolicznej postaci, uosabiającej *Tryumf*, nie potrzeba. Bravo, herkulesie— bravo!...

Zapalony artysta, wyjąwszy z kieszeni garść drobnej monety, rzucił ją siłaczowi, którego pozy wyuczone nie przestawały budzić uwielbienia widzów.

— Panowie i panie, pozwólcie sobie za waszą hojność z głębi duszy podziękować! — odezwał się stentorowym głosem atleta.

Oznaczało to koniec przedstawienia.

Wtedy obaj dawni koledzy opuścili teren popisów gladyatorskich, aby w swobodnej pogawędce odnowić dawny stosunek.

— Góra z górą się nie zejdzie, a człowiek... prawda, co?—bajał rozweselony niespo-

dziewanem spotkaniem Donadieu. Ten grzeczny, przykładny Krystyn, pieszczota i chluba profesorów, co chciał uczynić ze mnie wzorowego ucznia, nadzianego, jak indyk truflami, łaciną i greczczyzną, zjawia się tu u nas, na paryzkim bruku. Widzisz, serce, takie zamiary nie miały szans powodzenia. Szkoda było fatygi twojej... Ja poszedłem za mądrą radą sławnego Gavarni: „Jeżeli już na nic się przydasz, to zostań artystą.“ Tak, mój drogi, stoi przed tobą rzeźbiarz, uczeń Carpeaux'a... Mistrz, dumna bestya, kiedy raz wgramolił się do mojej pracowni, na widok rozpoczętego arcydzieła zawołał: „Ależ, doskonale pojęte, mały zuchu, wytrwałości tylko, pracy!“ Taka pochwała doda odwagi nawet największemu niedołędze... Ale cóż ze mnie za monumentalny głupiec!—prawię wyłącznie o sobie... No, teraz ty opowiadaj, co się z tobą dzieje—odkąd jesteś w Paryżu?

— Przybyłem tu na studya prawne, co mi powinno zabrać około dwóch lat, najmniej... Muszę napisać rozprawę, dla uzyskania stopnia doktora.

— Wybornie! Będzie z nas para, jak dawniej, nieprawdaż? Czy jesteś wolny dziś wieczorem?

— Najzupełniej.

— No, to już cię nie puszczę od siebie.

— Bardzo dobrze.

— Najpierw tedy chodź zobaczyć mój *Tryumf*; przeznaczam go do tegorocznego Salonu. Za kwadrans będziemy na miejscu, bo to niedaleko ztąd, w Plaisance. Moja pracownia nie jest wspaniała, co prawda; no, ale trudno, jakoś się tam przebrnie... do pierwszej nagrody. Teraz, powiem ci pod sekretem, że aby popłacić: komorne, modele i materyał surowy, trzeba czasem nająć się, jak prosty robotnik, do fabryk brązowniczych, albo, co gorsza, pasować kandelabry i zegary w mieszkaniach burżujów, według ich fantazyj i barbarzyńskiego gustu... To wreszcie bagatela; gruntem rzeczy to, że jest własny kąt do pracy. Kto wie? A nuż w niedalekiej przyszłości powierzą człowiekowi wykonanie posągu prezydenta Respubliki? Co? Wtedy będziemy dawali obiady proszone z ostrygami i szampanem, a draby w białych, glansowanych rękawiczkach staną za każdem krzesłem... Wykombinowałem to sobie przy śniadaniu, racząc się kawałkiem sera za cztery sous. No, patrzcie go, ten poczciwy Krystyn!... Jak ja się cieszę, że cię odnalazłem!

Wobec takiej dziwnej bezkłopotliwości i niewyczerpanego zapasu humoru, Lescuyer wstydził się w duszy za swoją mizantropię i zakorzeniony pesymizm. Serdecznie wypytywał rzeźbiarza o szczegóły jego życia od czasu, jak się w szkołach po tak przykrym epizodzie rozstali.

Nie łatwa to była egzystencya, zanim się dach nad głową pozyskało, zwłaszcza po śmierci ciotki dobrodziejki, która utrzymywała siebie i jego z dochodów czytelni. W siedmnastym roku życia wkręcił się Donadieu do szkoły Sztuk pięknych, a cały majątek jego i podstawa bytu, to były książki, odebrane abonentom za nieopłaconą prenumeratę. Nieraz, w krytycznej chwili, kiedy obiad należał do marzeń niezisz-czalnych, brało się kilka tomów powieści z zatłuszczonemi okładkami, zwykle zdefektowane, i zanosiło do antykwaryusza, aby je zbyć za psią cenę.

— He, he, to prawdziwa facecya! — opowiadał Franek, śmiejąc się na całe gardło. — Przez całe pół roku żywiły mię te wybrakowane romanse. Wystaw sobie, że sam Paweł de Kock ubrał mię raz od stóp do głów. To też, przez wdzięczność, nadałem niektórym częściom garderoby mojej imiona autorów, z których łaski mogłem coś na grzbiet wrzucić, albo tytuły ich arcydzieł. I tak pierwszy mój kapelusz filcowy nazwałem „Margrabia de Foudras,“ a nowiuteńkie, świecące, jak szkło, lakierki — „Tajemnice Paryża.“ Ale mój kapitał żelazny stanowiły komplety historycznych powieści starego Dumas'a. Ty nie możesz sobie nawet wyobrazić, jaką ilość bułek, wędliny i sera dostarczyli mi „Trzej Muszkieterowie“ i „Hrabia Montechristo.“

Idąc szybko i gawędząc nieprzerwanie, dwaj młodzi ludzie zaszli w niespełna godzinę do jakiejś zarogatkowej siedziby, ogrodzonej parkanem, przez którego szpary widać było pola, łąki i sady owocowe.

Donadieu zakomenderował:

— Dróżką na prawo... Jesteśmy na miejscu.

Dostali się przez furtkę na dość obszerne podwórze, gdzie mnóstwo drobiu ćwierkało, szukając pożywienia w kupkach nawozu i małej obórce.

Otworzywszy na roścież drzwi od tej szopy, artysta wprowadził przyjaciela do „pracowni.“

Podłoga była tam kamienna, zapach siana walczył z wyziewami poblizkiej stajni, i niemiłym odorem skór. Szeroka deska, oparta na dwóch słupkach, parę stołków słomą wyplatanych, piecyk żelazny z długą rurą, stanowiły całe umeblowanie. Jedyną zaś estetyczną ozdobę przedstawiała figura z gipsu czy gliny, przysłonięta zmoczonem płótnem, i kilka płoskorzeźb ładnych na ścianie. Oto wszystko. Zmrok wiosenny kładł ponure cienie na ten kąt pusty i nędzny.

— To ty tu wegetujesz? — nie mógł się powstrzymać od wybuchu szczerego współczucia Krystyn, któremu dotąd nigdy wygodnego posłania i dywanu na podłodze nie brakowało.

— Ja tu nawet sypiam — odparł wesoło rzeźbiarz, wskazując na jakiś barłóg, schowany za podartym parawanem.—Uprzedzono cię przecież zawczasu, sybaryto niepoprawny, że w tym lokalu niema mebli palisandrowych, prawda? No, ale nie lituj się bardzo nademną, kochany Krystynku, akurat dzisiaj wpadło mi niespodzianie okrągłe sto franków, zarobione u tego harpagona, Beckmana; wycyzelowałem mu parę prześlicznych świeczników z bronzu. Jutro sprowadzę sobie model i wezmę się żywo do roboty. Ciebie, panie kapitalisto, zapraszam na obiad nie dalej, jak tego wieczora, wraz z moją przyjaciółeczką, która tu lada chwila nadejdzie. Jestto prosta szwaczka, lecz ma linie głowy Tyciana, a ponieważ się kochamy zupełnie bezinteresownie, oboje goli, jak nowonarodzone niemowlęta, więc czegóż nam więcej do szczęścia potrzeba?... Tak, mój stary, kto może wybrać sobie ulubione zajęcie, posiada młodość, zapał i dziewczę z buzią, jak malina, temu narzekać nie wolno... Choćbym kiedyś przeszedł do nieśmiertelności, zyskał aplauzy świata, jeszcze i wtedy na wspomnienie tych czasów łzą by mi oko napłynęło... Czemuż nie siadasz? Muszę zdjąć burnus z mego olbrzyma i zaprezentować ci go, profanie.

Niezmiernie szybko i zręcznie rzeźbiarz odsłonił przed zdumionym wzrokiem gościa

swoje arcydzieło. Przedstawiało ono nadnaturalnej wielkości postać jakiegoś barbarzyńcy — Galla czy Germana — z torsem potężnym, nagim, włosami skręconymi, jak węże, unoszącą w górę wzniesionem ramieniem trofea wojenne: rzymskiego orła i pęk rózeg z toporem. Szalona, fanatyczna radość i upojenie biły z twarzy dzikiego zwycięzcy.

Krystyn patrzył na posąg, olśniony, oczarowany. Zdawało mu się, że cudotwórcza siła talentu zamieniła nagle tę nędzną pracownię artysty w poważny przybytek sztuki.

— Wspaniały!—zawołał z nieudanem wzruszeniem.

W milczeniu, z chmurą na czole, kręcąc machinalnie papierosa, rzeźbiarz obserwował statuę.

— Niby niezgorszy — szepnął wreszcie, — chociaż... dużo jeszcze poprawek wymaga. Model cokolwiek za stary... Trzeba mi będzie wynająć na jedno posiedzenie owego herkulesa-atletę. Ramię nie dosyć silne, nie dość sprężyste... Powinny, widzisz, wszystkie muskuły drgać, głosić zwycięztwo!...

Obydwaj przyjaciele nie domyślali się, że w roku 1867, przy otwarciu Salonu, dzieło to w jednej godzinie rozsławi imię Franciszka Donadieu.

Kontemplacye ich przerwało wejście młodej, zaledwie dwudziestoletniej dziewczyny, trochę za pełnych kształtów; świeża, złotowłosa, jasna, pogodna, niby poranek wiosenny, wsunęła się cicho z bukietem różowych goździków w ręku i uśmiechem na ustach.

— Moja towarzyszka—rzekł artysta, całując ją serdecznie w oba zarumienione policzki.— Heloizo, przedstawiam ci mego przyjaciela i kolegę, Lescuyer'a. Znaliśmy się w epoce przedhistorycznej, kiedy się chodziło w ciasnym spencerku i zakrótkich pantalonach... Słuchaj, moja najdroższa, wydębiłem sto franków od Beckmana i zabieram was na obiad... bajeczny.

— Ach! jak to dobrze, mój mały „bożku"—śmiało się rozpromienione dziewczę.—Każesz podać na deser omlet z konfiturami, i będziemy odgadywali rebusy malowane na talerzykach. Dopiero co myślałam o czemś podobnem, a w nagrodę masz dowód mojej pamięci i troskliwości - dodała, wręczając Frankowi mały pakiecik.

— Co za ładny krawat!... Dzięki, nowa Heloizo!...

Kiedy dla przymierzenia podarunku, rzeźbiarz bezceremonialnie zrzucił z siebie bluzę, gryzetka zauważyła, że mocno są nadwerężone rękawy u jego koszuli.

— Przysuń no się do mnie, panie artysto, ja ci to w mig naprawię—szępnęła, i zdjąwszy rękawiczki, kapelusz, zabrała się natychmiast do tej roboty.

Tymczasem Krystyn przypatrywał im się obojgu z pewnego rodzaju zazdrością. Ileż to było prostoty i szczerości w ich wzajemnym stosunku. Jak oni się kochali, jak umieli wynaleźć dobre strony marnej swojej egzystencyi, jakie strzeliste spojrzenia posyłali sobie ukradkiem

Program zapowiedzianego obiadu nie zmienił się ani na jotę. Po kawie, dwaj koledzy, w kapeluszach zsuniętych na tył głowy, z łokciami na stole, rozmawiali długo i wesoło; dopiero późną nocą, gdy Lescuyer, odprowadziwszy czułą parę aż do drzwi mieszkania gryzetki, powracał samotny przez puste, wyludnione ulice, zrobiło mu się dziwnie smutno na duszy. Czyż młodość jego ma upłynąć bez radości, bez pociech serdecznych? Czyż mięka dłoń niewieścia nigdy nie spocznie na jego znużonem czole—tkliwą pieszczotą tęsknot i zawodów mu nie ukoi?

W parę dni potem, student wyprawił, jako kompensatę, wspaniały obiad w pierwszorzędnej restauracyi, której wielkie zwierciadła, aksamity, złocenia i lśniąca od kryształów zastawa stłou, onieśmielały biedną pracownicę igły do

najwyższego stopnia. Donadieu zaś, jako prawdziwe dziecię Paryża, należące do cyganeryi artystycznej, nie dziwił się niczemu, i czuł się w swoim żywiole.

Wizyty Krystyna w pracowni rzeźbiarskiej powtarzały się teraz bardzo często, dając mu słodki przedsmak owocu zakazanego.

Pewnego ranka, pod nieobecność Heloizy, młody człowiek zaryzykował niedyskretne pytanie:

— Jaki z ciebie człowiek szczęśliwy, że masz taką miłą, uroczą kochankę!... Powiedz też mi, Franku, ale zupełnie szczerze, czy ty jesteś pierwszą jej miłością?

Rzeźbiarz wzruszył ramionami z szyderskim uśmiechem.

— Za kogo ty mię bierzesz, naiwny człowiecze? Za koruptora młodych dziewcząt? Dalibóg, to paradne! Ja nie mam prawa wygłaszać kazań o moralności, ale, widzisz, według mnie, sceptyka i szaławiły, dziewictwo, to rzecz święta, nietykalna! Takie polowanie dla nas jest wzbronione, mój drogi... Co się tyczy Heloizy, to ona, chudziątko, opowiedziała mi ze łzami skruchy całą swoją nieszczęśliwą przeszłość. Te klasy robotnicze żyją, jak bestye. Ja staram się, o ile mogę, zatrzeć w pamięci biednej ofiary lata męczarni, które w domu rodzicielskim przeszła. Ma obecnie za towarzy-

sza chłopaka nie ostatniego, przywiązanego do niej wiernie i stale—ona kocha mię również gorąco, po kobiecemu, i dobrze nam razem ze sobą. Na tem koniec.

— Więc wasz związek należy do trwalszych w tym rodzaju? — wtrącił ostrożny już Lescuyer.

— Licho wie, co z niego wyniknie. Jesteśmy za ubodzy, aby na seryo myśleć o przyszłości... Jak tylko zbiorę dostateczną do zagospodarowania się ilość setek franków—będziemy żyć wspólnie, pod jednym dachem, a może kiedyś zakończy się ta sielanka spisaniem aktu w merostwie. Jak jedno bez drugiego ruszyć się nigdzie nie będzie chciało, to jazda do pana mera po błogosławieństwo. O jej!—dlaczego by nie!...

Taki absolutny brak pojęć podstawowych etyki, takie niedbałe traktowanie obyczajów i form religijnych i światowych raziły wrodzone i nabyte przez wychowanie zasady moralności Krystyna. Czuł instynktowo, że w ten sposób żyć się nie godzi. I wnet wyobraźnia stawiła mu przed oczy jego starego ojca, który z surowością nieubłaganą zjawiał się tu, aby nakazać synowi zerwanie z tymi bezbożnymi ludźmi, i wypędzić go z tego nowożytnego Babilonu, siedliska zepsucia i zgrozy.

Pewny, że w takim razie sam uległby woli

rodzicielskiej bez oporu, wstrząśnięty do głębi jakimś zakorzenionym od dziecka, lękiem, Lescuyer odparł na ostatnie wyrazy kolegi:

— Tak... Ale ty jesteś wolny... nie masz rodziny.

I poszedł bez pożegnania, skurczywszy się, jak pies, któremu mocniejszą jeszcze na kark mają założyć obrożę. Jednakże, zły czy dobry, przykład bywa rzeczą wielce zaraźliwą. Pomimo obawy przed ojcowskimi rygorami, Krystyn wyszukał sobie towarzyszkę w niespełna tydzień po tej poufnej rozmowie z przyjacielem.

IV.

Spotkanie z damą jego serca nastąpiło w zupełnie zwykłych warunkach dla naszego bohatera. Na zebranie studentów w owej niemieckiej piwiarni, sroga przyjaciółka Mulot'a przyprowadziła, zapewne gwoli większemu urozmaiceniu zabawy, swoją koleżankę, na którą żaden z rosłych Normandczyków nie zwrócił nawet uwagi. Czy była ładną? Może, ale chyba tylko subtelniejszem poczuciem piękna obdarzony mężczyzna dopatrzyć się w niej potrafił niezwykłej urody. Niezblazowanego młodzieńca zachwyciły też odrazu: delikatny profil, matowa cera

i kruczy warkocz sympatycznej brunetki. Miała coś z jaskółki, rwącej się do lotu.

Podczas gdy Mulot, w wyjątkowej werwie, ogłupiał swoich słuchaczy paradoksami, od których rozsądniejszym cokolwiek uszy więdły, Krystyn, jak przystało na kawalera z prowincyi, częstował panie chłodnikami, dotrzymując im towarzystwa z niewyczerpaną uprzejmością. Korpulentna, pospolitych nawyknień Klara, nie była w możności ocenić przymusu, jaki sobie zadawał siedzący przy nich poważny student, ale sympatycznej jaskółce zdawało się, i słusznie, że zrobiła na nim pewne wrażenie i dla niej jedynie się poświęca, a posiadając więcej od tamtej taktu i znajomości świata, przerwała rozwlekłe opisy jakiegoś modnego kostiumu zapytaniem:

— Przepraszam, z jakich stron kraju pan pochodzi?

Pytanie nie miało w sobie nic osobliwego, ale zadane było głosem słodkim i jakby w chęci wywołania rozmowy poufniejszej. Krystyn skwapliwie z tego korzystał, i wkrótce dowiedział się różnych, interesujących go szczegółów o młodej dziewczynie: że wyrosła, nie pamięta jak, na paryzkim bruku, że skończy w lecie lat dwadzieścia dwa, że nauczono ją wyrobu sztucznych kwiatów, i wreszcie, że się nazywa

Paulina Forgeat. Miły uśmiech, nie mający w sobie ani cienia kokieteryi, krasił te zwierzenia, które niezmiernie ujęły nieśmiałego czciciela Erosa. Ponieważ nie udawało się Klarze zwrócić rozmowy na swój ulubiony temat, przyszła zatem, jako osoba w tej materyi doświadczona, do logicznego wniosku: gdy kobietę przestają zajmować fraszki i stroje, pewno ma miłostkę na myśli. Ostatecznie, trudno upatrzeć w tem coś złego. Przeciwnie, należy dopomagać ludziom, którym serce po raz pierwszy żywiej zabije. Więc zdobywszy się na fortel, zawołała, niby dobrodusznie:

— Wiecie, moi państwo, że jest już po jedenastej... Ja znam mojego Mulot'a, on nie przestanie swoich bilardowych zapasów, dopóki wszystkie lampy nie zagasną. Możeby pan Krystyn był łaskaw odprowadzić Polunię, która mieszka dyablo daleko, bo aż na ulicy Ulm.

— Ależ naturalnie... z najmilszą chęcią... jeżeli tylko pani pozwoli.

— To ja będę panu ogromnie za to wdzięczną... moja dzielnica bywa tak pustą.

Krystyn wstał natychmiast, czekając na pożegnanie przyjaciółek, z których starsza trochę ironicznym, a właściwie opiekuńczym wzrokiem spoglądała na oddalającą się parę.

— Ach, te dzieciaki! — szepnęła, ruszając pobłażliwie ramionami.

W rzeczywistości, ta ulica Ulm nie była znów tak bardzo odległą od Quartier Latin, ale młodzi, wziąwszy się pod ręce, szli wolno nietylko dlatego, aby rozkoszować się świeżością i chłodem pięknej nocy letniej, ale że ta niespodziewana wycieczka, we dwoje, w sentymentalnym nastroju, wydawała im się pierwszym etapem na drodze szczęścia.

Co oni mówili do siebie, tego powtarzać choćby przez poczucie profesyonalnej dyskrecyi, nie będziemy. Zresztą zakochani posiadają swój odrębny język, niezrozumiały dla obcych i bez głębszego znaczenia. Słuchają go zazwyczaj jedynie srebrne blaski miesiąca, mrugają nań zachęcająco plejady gwiazd, rozsianych po błękitnem sklepieniu. Dziewczę za każdem słowem zwracało na opiekuna spojrzenia nieśmiałe i tkliwe swoich czarnych oczu, co wywoływało u niego nieznane dotąd wzruszenia, ją zaś drżący głos młodzieńca zachwycał samem brzmieniem, w którym przebijała się melodya gwałtownie rosnącego uczucia.

Już to bezstronność nakazuje wyznać, że młodzieńcy, surowo chowani, poważną pracą pochłonięci, w zmysłowych uciechach, w przemijających nawet miłostkach składają skarby serc, które potrzebuje dzielić się choćby z pierwszą spotkaną istotą, niezaspokojonemi swemi pragnieniami.

Od tej pamiętnej w jego życiu chwili, Krystyn, ku wielkiemu zgorszeniu szanownego pana Lemoignon, spędzał przeważnie wieczory po za domem, bywał roztargniony, nierównego usposobienia i mniej w robocie systematyczny. Trwał w tem miłem złudzeniu, że jest kochany bezinteresownie, miłością dziewiczą, że jego najdroższa Polunia niczem nie przypomina tego zastępu paryzkich gryzetek, które wyzyskują i bałamucą bogatszych studentów, a powierzchownością swoją skromną i niezwykłym wdziękiem o wiele tamte wszystkie przewyższa. Istotnie, młoda kwiaciarka, napotkawszy szczerego, dziwnej delikatności, zapalnego chłopca, ceniła ten stosunek, i według miary przyjętej w tym półświatku, za nic na świecie, nawet za pokusę posiadania szafki lustrzanej—przedmiotu marzeń ogółu dziewcząt pracujących—nie byłaby go zdradziła. Przedwczesne jednak doświadczenie dziewczyny z ludu, która została kochanką człowieka inteligentnego, wyższej sfery, ostrzegało ją, że podobne związki, choćby na istotnem przywiązaniu oparte, długo trwać nie mogą. Z chwilą, kiedy gorąco przez nią kochany młodzieniec wyjedzie z Paryża, wszystko się nieodwołalnie skończy, i do tego okrutnego rozdziału, z rezygnacyą, właściwą tym polnym konikom stolicy, przygotowywała się w myśli. Sentymentu i niewieściej tkliwości jej

nie brakowało, ale cóż jest warte uczucie, które służy jedynie do uprzyjemnienia pewnej fazy naszego życia?

Krystyn, zatęskniwszy po kilku tygodniach oddawania się wyłącznego zmysłowym rozkoszom, do towarzystwa o podkładzie kulturalniejszym, a mianowicie do artysty — szczerego Franka Donadieu, odszukał jego pierwotnej prostoty pracownię, i zaprowadził tam swoją sympatyczną przyjaciółkę. Mile przyjęta przez rzeźbiarza, a zwłaszcza przez pannę Heloizę, młoda para wnet zawiązała poufały z niemi stosunek. Godziny wolne od zajęć poświęcano na zamiejskie wycieczki, bądź w łódkach po Sekwanie, płynąc aż do Bas-Meudon, gdzie podwieczorki, złożone z mleka i podpłomyków, smakowały im lepiej, niż potrawy w porządnych jadłodajniach, bądź pieszo idąc utartymi szlakami, na błonia dalekie i łany od zbóż dojrzewających srebrzyste. Tam to dziewczęta zachwycone zbierały pęki bławatków i kwiecia różnego, a dwaj koledzy, radzi swobodzie, śpiewali hymny na cześć boskiej przyrody, lub czułe piosenki Muergera. Powrót niemniej bywał przyjemny; gubiono się i odnajdywano w tłoku, przy wsiadaniu do wagonów, robiono plany na dnie następne, a jako wyjątkowy zbytek już uważane było zaproszenie przez którego z opiekunów zamożniejszych— Krystyna najczęściej—na lody do cukierni. Jed-

nem słowem, syn surowego despoty, pana sędziego Lescuyer, zaczynał się w tej wesołej kompanii na dobre emancypować. Co prawda, szaleństw nie popełniał żadnych, ale niewiele w tem jego było zasługi. Paulina Forgeat należała de rzędu towarzyszek bezinteresownych, mało wymagających, pracowała bowiem pilnie, a zarobek wystarczał w zupełności na jej własne utrzymanie: skromny posiłek i trochę ozdób tualetowych. Nie zawadzając w niczem Krystynowi, i nic odeń dla siebie nie żądając, pokochała go na swój sposób, serdecznie i bez żadnych wyrachowań. Co do Krystyna, to wychowany w surowej szkole, pętany od dzieciństwa, nie zdołał się otrząsnąć z instynktownej obawy i odpowiedzialności wobec swego nieubłaganego ojca. Na myśl, że kiedykolwiek ujawni się to studenckie zboczenie, że w pięknych godzinach sam na sam z ładną gryzetką ukaże się nagle, niby posąg Komandora, marmurowa postać z nachmurzonemi brwiami i groźnem wejrzeniem pana radcy Lescuyer, drżał wprost ze strachu, i zdawało mu się nieraz, iż jest jeszcze małym, bardzo małym chłopczykiem, którego za rozmyślną psotę niezawodnie rózgą obiją.

Z całą naiwnością przyznał się Frankowi Donadieu do swoich trwożnych przewidywań, co naturalnie wywołało u rzeźbiarza szalone wybuchy śmiechu.

To też ile razy zasiedli obydwaj, wraz ze swoimi przyjaciółkami, do kolacyi na którymś z mniej uczęszczanych bulwarów—złośliwy kolega nie omieszkał w najswobodniejszej chwili wtrącić z nienacka:

— Baczność! Papa nadchodzi!

Krystynem wstrząsały wtedy formalne dreszcze, a dziewczęta, zarówno jak i sprawca fałszywego alarmu mieli szerokie pole do żartów i prześladowania niefortunnej ofiary własnego tchórzostwa.

Pora wakacyjna się zbliżała; na ferye należało wracać do domu. Przynajmniej wszyscy studenci inaczej tym wolnym czasem nie rozporządzali. Krystyna wielce dręczyła perspektywa dostania się znów pod twarde jarzmo ojcowskiej przewagi, a może bardziej jeszcze niepewność, czy jego ulubiona Polunia wierną mu przez ten czas pozostanie. Nie było wprawdzie po temu najmniejszej poszlaki, ale dyabeł nie śpi, a nuż ześle dziewczynie jaką silną pokusę, i czuły, uprzyjemniający mu życie stosunek zamieni się dlań w gorzki zawód. Jednakże, gdyby jakimś niepojętym sposobem ojciec miał się dowiedzieć o tej romantycznej dywersyi w naukach i pracy syna, lepiej by może było zawczasu wymazać ją z pamięci, skorzystawszy z błędów kochanki.

W Caen zastał Krystyn rzeczy i ludzi w tym samym, co i dawniej, stanie martwoty. Średniowieczna siedziba przy ulicy Karmelitów, strawiona wiekową pleśnią, przyjęła go w swe żelazne podwoje, jakby z pewną niechęcią. Allegoryczne figury, mające służyć ku ozdobie wilgotnych murów, wywiesiwszy kamienne języki, patrzyły nań z szyderczym grymasem. Z pośród tych objawów widocznej niegościnności, zachowanie się starego pana Lescuyer, zimującego w śnieżnym krawacie, jak okręt unieruchomiony przez lodowce bieguna północnego, nie stanowiło żadnej kompensaty. Pocałunek, złożony ostentacyjnie na czole marnotrawnego syna, nabawił tego ostatniego paroksyzmu febry.

Wieczorem, tego dnia, dla uczczenia przyjazdu młodzieńca, pan radca zaprosił kilku przyjaciół na wspaniały obiad, podobniejszy do stypy pogrzebowej, niż do biesiady w poufałem gronie.

I zaczęła się ponownie ta nudna, jednostajna egzystencya lat poprzednich: gorliwe uczęszczanie na wszelkie świąteczne nabożeństwa, zawsze nierozdzielni ojciec z synem, spacery po miejskim, jesienią wczesną przywiędłym ogrodzie, odwiedziny peryodyczne u wdowy Taburet, gdzie, niestety, żaden sprzęt nie ruszył się z wyznaczonego sobie miejsca, i tym podobne, prowincyonalne rozrywki.

Pannie Kamilli nie przybyło urody ani szczypty; okrasiły ją tylko na mgnienie oka rumieńce, które, jak łuna jasna, zabłysnęły przy powitaniu miłego gościa. Krystyn nie spostrzegł wywołanego przez siebie wrażenia, i zachował najgłębszą ostrożność w rozmowach z ojcem, aby kwestya projektowanego małżeństwa pozostała ile można i nadal zagadką przyszłości.

Jednakże, mimo dusznej atmosfery, w jakiej mu żyć teraz przeznaczono, nie opuszczała go błoga nadzieja, że te trzy miesiące niewoli rychło się skończą, i będzie mógł korzystać nadal z zakosztowanych już słodyczy swobody, zobaczy swego druha, któremu nadaremnie starał się w odwadze dorównywać, i tę śliczną dziewczynę, za którą tęsknił w skrytości serca. Tęsknota owa doprowadziła go do kroku nader ryzykownego. Oto wystosował do niej list, pełen tkliwych wynurzeń i roztropnych przestróg. Odpowiedź nadeszła niebawem. Kaligrafia i pisownia pozostawiały w niej wiele do życzenia, forma papieru i adres mimowolnie nasuwały mu na pamięć rachunek praczki, ale temperatura uczuć tak wysoka, naiwność — wcale nie udana — miały tyle uroku, że Krystyn, rozpłomieniony nanowo, przepędził kilka nocy bezsennych, i zaczął liczyć godziny, dzielące go od powrotu do Paryża.

Wszystko przychodzi w porę dla tych, co umieją czekać, głosi francuskie przysłowie.

Doczekali się więc i zakochani szczęśliwego dnia, w którym mogli wypowiedzieć sobie wzajemne uczucia i powetować czas stracony.

Na prawdę? Nie zdradzałaś mnie ani myślą, ani mową, ani, ani... przysięgasz na to z czystem sumieniem? — pytał nagląco Krystyn.

Paulina, pewna siebie i bez winy, przysięgała na wszelkie świętości — a on uspokojony, płakał niemal z rozczulenia i dziękował.

Zwyczajnie, jak każdy taki, któremu potrzebą nieodzowną jest ufność i wiara.

Nazajutrz wybrali się oboje do pracowni rzeźbiarza; w przeraźliwem zimnie Franek, z miną wyjątkowo melancholijną, lepił jakiś model z gliny.

Za swojego *Tryumfatora* otrzymał pierwszą na Wystawie Salonu nagrodę, ale były to pociechy czysto platoniczne Zamówiono wprawdzie, w formie zachęty do dalszych studyów, płaskorzeźbę alegoryczną dla udekorowania sali giełdowej, u naszego artysty, tymczasem jednak brakowało na chleb i opał.

— Wystaw sobie — wołał z wściekłością Donadieu — że ja, prostę bydlę, zamówienie przyjąłem, nie chcąc zrażać Administracyi pałacu Sztuk Pięknych. Cóż robić? Należało się gospodarzowi za dwa miesiące... moja nieoce-

niona Heloiza, poświęcając noce swojej pracy, pozowała mi do *Danae* we dnie przez parę tygodni; dotąd biedactwo nosi letnie sukienki, bo ją nie stać na lepsze. Więc przyjąłem, rozumie się.. Ale czego oni odemnie wymagają? Jakiegoś goluteńkiego pana z głupim wyrazem twarzy.. Ekspresya cała ma się zawrzeć w jego mięśniach i rzepce kolanowej... A!. psi zawód, ta nasza wysławiana sztuka!...

W tej chwili ukazała się panna Heloiza, uśmiechnięta i pogodna, jak zawsze, ozłacając tę ponurą jamę falami swoich blond włosów.

Zły humor artysty pierzchnął natychmiast.

— Dzień dobry, promyku słońca, moja otucho jedyna!—wołał Donadieu z rozjaśnionem obliczem dzień dobry! Obejdziemy się bez naszej porcyi chudego mleka i marnych, wysuszonych kotletów.. Ten pan i dobrodziej zaprasza na obiad, rozumiesz, i to nie do byle jakiej restauracyi. Pasztet będzie strasburgski a wina stare, niepodejrzanej marki. Nadto jakaś zabłąkana z letnich wczasów mucha nie wpadnie nam do ust przy wychylaniu pierwszego kieliszka.

W wesołym nastroju udali się w czworo na ową obiecaną ucztę do osobnego, rozumie się, gabinetu. Za każdym nowym dowcipem tak zwanego „bożka,“ któremu werwa osobliwie dopisywała, rozlegał się, zagłośny cokol-

wiek, śmiech panny Heloizy. Przy deserze, kiedy żarty rzeźbiarza stawały się coraz drastyczniejsze, Krystyn, nie puszczając dłoni swojej sentymentalnej Poluni, myślał zgorszony, że jednak wcale nie przystoi zakochanym parom takie odrzucenie wszelkich form przyzwoitości i dobrego smaku — całować się przecież mogli i później— i że jego uczucia o wiele były więcej subtelne i nie tak w objawiach pospolite.

Krytyka młodego Lescuyer grzeszyła wszakże brakiem podstawy i znajomości serc ludzkich. To, co on nazywał przywiązaniem głębszem, pochodziło tylko z czysto zmysłowego zadowolenia jego delikatniejszej natury i zimnego temperamentu, tymczasem tych dwoje biedaków kochało się szczerze i trwale, pracując wspólnie, dźwigając ciężary życia, z godną podziwu odwagą i zapałem. Nie wykwintni, co prawda, rubaszni niekiedy, ale złączeni ze sobą nierozerwalnym węzłem. A ty, panie kandydacie na sędziego, co uczynisz, jak postąpisz ze swoją jaskółką, po napisaniu tezy, która ci wrota karyery otworzy?

V.

Zima upłynęła młodemu prawnikowi na gorliwej pracy, przeplatanej od czasu do czasu

małemi zboczeniami w kierunku przyjętym stale przez cyganeryę artystyczną. Wino, śpiew i kobieta miały teraz na Krystyna wpływ przemożny, cały powab jego życia stanowiąc.

Pewnego niezapomnianego dnia, wobec areopagu mandarynów w czerwonych togach, były skromny student z Caen otrzymał dyplom i przywdział beret doktorski. Miało to wydarzenie swoje złe i dobre strony. Z jednej wieńczyło ono parę lat usiłowań i poważnych studyów, z drugiej groziło ostatecznem zerwaniem z kochanką

Stary pan Lescuyer, zachwycony powodzeniem syna, naglił o powrót, a nawet w przystępie szczodrobliwości przysłał mu dwa tysiące franków na uregulowanie jakoby pewnych, nieobjętych programem wydatków. Przytem wszakże, nawykłszy do bezwarunkowego posłuszeństwa, niecierpliwić się zaczął odwlekaniem przyjazdu Krystyna w terminie z góry oznaczonym.

Bez ciężkiego żalu i wyrzutów sumienia trudno było porzucić dziewczynę, która istotnem przywiązaniem odpłacała przelotny kaprys młodzika, i instynktowo już rozstanie się przeczuwała.

Na wieść o tej strasznej decyzyi, Paulina, tłumiąc łzy, rzekła z prostotą kochankowi:

— Cóż robić, mój miły, cóż robić? Taki to mój los i dola! Cierpieć będę ogromnie, to

prawda.. ale jeżeli inaczej być nie może. co, powiedz?

A on wyjąkał tylko nieśmiało:

— Niestety, nie!

I zaraz przychodziły mu do głowy okoliczności łagodzące popełnioną winę. Mała — takie dobre, miłe stworzenie, pocieszy się prędko, zapomni. Ktoś inny się znajdzie i zastąpi go w roli przyjaciela; przecież to nie pierwszyzna w tej sferze. Gryzetki wogóle potrafią zapełniać tego rodzaju szczerby swojej egzystencyi.

Jednakże, mimo tego podstępnego wmawiania w siebie rzeczy, w które sam nie wierzył, i oczywistej troski na duszy, Krystyn zauważył, że młoda dziewczyna coraz bardziej traci na humorze, a na pieszczoty i czułe słówka milczeniem lub bolesnym uśmiechem jedynie odpowiada. Jakto? Czyżby go do tego stopnia kochała? Pewnego rodzaju wdzięczność dla tak wyjątkowych uczuć osłodziła mu melancholijny nastrój ostatnich dni pobytu w Paryżu.

Kiedy już wszystko przygotowane było do podróży, Paulina, na widok opustoszałego pokoju, w którym tyle rozkosznych godzin z nielitościwym kochankiem przepędzili, wybuchnęła gwałtownem łkaniem, kryjąc głowę na jego ramieniu.

— Przebacz... przebacz... mój najdroższy!.. powinnam była wcześniej ci to wyznać. Od-

wagi mi zawsze brakowało i zupełnej pewności. Ale teraz, trudno już podawać tego w wątpliwość... Wkrótce zostanę matką!..

Ach! ileż to brzydkich kryjówek posiada naprawdę to serce ludzkie! U tego bezwiednego egoisty nie wytrzymało ono pierwszej nawet próby. Spojrzał na nieszczęśliwą kobietę osłupiałemi oczyma, jakby z niemym wyrzutem Była mu od tej chwili zupełnie obojętną; jej twarz od płaczu nabrzmiała, zgrabna niegdyś, dziś niekorzystnie zmieniona figura, bladość i znużenie w rysach fizyonomii sprawiały mu nawet wstręt niepokonany. Zapomniał, że to, dawniej tak powabne, bawidełko, oddawszy się bez rachuby i zastrzeżeń, niczego odeń nie żądało w zamian: ani opieki, ani odszkodowania. Wstyd, upokorzenie, może nędza będą jej udziałem, dla niego świat znajdzie inne pociechy, i ten przykry epizod do rzędu pospolitych grzechów młodości z pobłażaniem zaliczy.

Ale Krystyn nie potrafił wzbudzić w sobie ani iskierki miłosierdzia Dlaczegóż spotkały, jego właśnie, takie niespodziewane a szkaradne niewinnej na pozór miłostki konsekwencye? Na co mu ten kłopot, ta prawdopodobnie kula u nogi w przyszłości? Bo, ani chybi, że mu jakieś obowiązki wskutek tego narzucą. Przez całe wakacye Paulina rozporządzała nieograniczenie swoją osobą—kto wie, komu prawo oj-

cowstwa przypisać teraz należy? Jeżeli jeszcze w dodatku trzeba będzie spojrzeć oko w oko nieubłaganemu na tym punkcie panu sędziemu Lescuyer, uderzyć się w piersi, jak przy spowiedzi, ze słowami „mea culpa,“ to lepiej niech się przed nim ziemia rozstąpi i ofiarę zawczasu pochłonie!

Jednakże, na objawy rozpaczy Pauliny musiał w jakiś sposób reagować. Więc, wezwawszy w pomoc obłudę, Krystyn koił je fałszywemi obietnicami i udaną czułością, które połowiczny tylko skutek osiągnęły.

Pożegnali się przyrzeczeniem spotkania, dla ułożenia warunków dalszej egzystencyi obojga, na dworcu kolei, w dniu następnym, około ósmej z wieczora.

Dziewczyna, z lękiem mimowolnym o to jutro fatalne, poszła, jak zwykle, do swojej roboty.

Nad głową naszego marnego bohatera zawisły ciężkie chmury. Bił się z myślami, co począć w tak trudnych do wybrnięcia tarapatach. Gdyby, przypadkiem — a wiadomo, że i to się trafia — ujawniono przed ojcem ten skandaliczny stosunek, przepadnie jego spokój, niezależność i pozycya towarzyska, nie mówiąc już o tem, że cnotliwi obywatele miasta Caen będą go sobie palcami pokazywali, a nieposzlakowani koledzy i magistrowie prawa, jak od

zarażonego trądem człowieka stronili. Cóż się zrobi z przeznaczoną mu panną Kamillą? Nie zechce chyba pojąć za męża osławionego rozpustnika i kłamcy? Cała jego, świetnie zapowiadająca się karyera zostanie w samym zarodku zwichnięta.

I dla kogo te poświęcenia? Dla pospolitej gryzetki, której przecież przed ołtarzem wiary nie ślubował. Takie przemijające stosunki, toż to rzecz najzwyklejsza w życiu studenckiem. Spotkamy ładny buziak na swej drodze, korzystamy zeń za wspólną zgodą, a potem—do widzenia—idzie każde bez żalu i wzajemnych uraz tam, gdzie go przeznaczenie woła. Ściśle wziąwszy, Krystyn ma większe obowiązki względem ojca i społeczeństwa, niż względem jakiejś panny Pauliny Forgeat. Należy jej się pomoc materyalna, to nie podlega żadnej kwestyi — biedactwo jest w nielada kłopocie — a on przecież potworem nie był nigdy, tylko szaleństwa popełnić nie myśli i nie może!

I winszował sobie ten surowo i bogobojnie wychowany chłopiec, że dzięki wszczepionym zasadom, wyrwie się z zastawionych zapewne na niego sideł, i że nawykłszy w domu do robienia oszczędności, posiada jeszcze kilkaset franków na boku, które na odjezdnem wsunie dyskretnie w dłoń *jaskółki.*

Chwilami tylko nabawiał go trwogą jakiś głos wewnętrzny:

„Chcesz popełnić czyn nikczemny, mój poczciwcze.“

Wnet jednak silne poczucie własnego interesu protestowało żywo przeciwko temu:

„Ba! Wielkie słowa - to wszystko, a w gruncie—głupstwo.“

Przy takiej duchowej rozterce samotność ciężyła mu niesłychanie, powziął zatem szybką decyzyę odzyskania równowagi umysłu za pośrednictwem najmilszego dlań zawsze Franka Donadieu. Nie godziło się przecież uciec z Paryża bez pożegnania przyjaciela i druha serdecznego.

Wspaniałą pracownia rzeźbiarza była tym razem szczelnie zamkniętą, co dowodziło pozowania modelu albo modelki. Gdy wreszcie, po małej pauzie, drzwi otwarto, gość, olśniony, stanął, jak wryty, u proga. Na środku izby, wykończona już zupełnie genialnem dłutem artysty, jaśniała postać bogini. Promieniejąca wdziękiem i cudnemi liniami, w ekstazie namiętnej całem ciałem podana naprzód, pozbawiona najlżejszych osłon, a nie bezwstydna, Danae zdawała się istotą budzącą się do życia pod naporem złocistego deszczu.

— He, he! Nie łatwa z nią była sprawa!— odezwał się, zamiast powitania, słodko połech-

tany niemem uwielbieniem Krystyna, Donadieu.— Patrz-no uważnie. Kształty, przypominające szkołę nieśmiertelnego Tycyana, a nagość olimpijska. Przytem—ani źdźbła rozpasania. Ach! z jakąż rozkoszą odtworzyłbym to w marmurze białym, kararyjskim, rozsypując złoto na włosy, ramiona, stopy—wszędzie! Złoto w muszelkach, rozumie się. Ale czy te filistry z Akademii Sztuk Pięknych zdobędą się na podobne zamówienie?

— Bądź spokojny, mój drogi „bożku" — przerwała Heloiza, wychyliwszy swoją płową głowę z za szkaradnego parawanu — nic piękniejszego nad *Danae* dotąd nie wykonałeś... Gotowa jestem przysiądz, że ci się dostanie... wielki medal.

Po tej dywersyi i przyprowadzeniu do porządku różnych szczegółów swego ubrania, panna Heloiza zasiadła skromnie przy maszynie do szycia, aby, nie tracąc czasu, przygotować dla jakiejś bogatej klijentki strojną, koronkami ozdobioną bluzkę. Robota na mieście w wielkich magazynach tak maio pracownicy daje często zysku, że którakolwiek z nich znajdzie dach nad głową, stara się usilnie o obstalunki do domu, bo jej to przynajmniej czterdzieści, lub wyżej, sous na dzień przynieść może. To też, obrachowawszy dokładnie wspólne dochody, młoda para postanowiła zamieszkać razem. Wy-

nikło ztąd wiele dla obojga korzyści. Artysta, w posiadaniu wspaniałej modelki, pracował gorliwiej, bez przerwy, ta zaś, wszystkie wolne od pozowania chwile obracała na lepiej procentującą krawiecczyznę. Nadto, przywiązani do siebie szczerze i bardzo gorąco, mieli już przedsmak tyle upragnionej sytuacyi małżeńskiej.

— A więc, wyjeżdżasz już dziś wieczorem, nieodwołalnie?—mówił Donadieu do przyjaciela. — Nie chce mi się pomieścić w głowie myśl, że na przyszłą zimę odzieją mojego Krystynka w czarną, obrzydliwą opończę z obramowaniem z młodego królika. Śmieszna historya, dalibóg... Ostatecznie w waszych rodzinach tak, jak w dynastyi Faraonów egipskich, godności przechodzą z ojca na syna... Ja pojmuję, że i sędziów nam potrzeba . Z ciebie dobry chłop, to i na urzędzie krewić nie będziesz. Ale w gruncie, to chyba wszystko szopka — nic więcej. Wcisnąłem się raz na posiedzenie sądu poprawczego; odczytywano wyroki... Prezydował jakiś jegomość z rudymi baczkami, z miną sklepowego subjekta, który rozdawał wyroki, jak się rozdaje karty przy wiście: szybko, zręcznie, w milczeniu. Zupełnie tak samo - słowo daję!... Dwa, trzy, sześć miesięcy więzienia... bagatelka! Nikt nie protestuje. Zasądzone — klamka zapadła!... Zdawało mi się, że jestem przy sprzedaży ruchomości przez ko-

mornika... Słuchaj, bratku, ty chyba nie każesz przyśrubować się do twego kurulnego krzesła, i będziemy cię tu oglądali niekiedy, prawda?

— Liczę na to — odparł świeżo upieczony doktór prawa.

Wtem, Heloiza, nie podnosząc oczu od swego modnego arcydzieła, zadała proste pytanie z wyraźnym jednak akcentem sympatyi a nawet współczucia, które ogromnie Krystyna zmieszało.

— A co się stanie z Polunią?

Było to powiedziane bez złej myśli — ot tak, przez zwykłą niewieścią ciekawość. Od dość dawna obie kobiety nie spotykały się ze sobą, więc i do zwierzeń między niemi przyjść nie mogło.

Młody człowiek odpowiedział sucho i niecierpliwie;

— Rozstajemy się. Nie dało się inaczej tego urządzić.

— Rzecz całkiem naturalna — podchwycił rzeźbiarz, zamieniwszy porozumiewawcze spojrzenie ze swoją modelką.—Miłość tych dwojga dzieci gnieździła się po hotelach, nie posiadała własnego locum i prawowitej ochrony, gdy tymczasem nasza jest już na swoich śmieciach. Pozwalam ci, gościu szanowny, wziąć to literalnie, i będę miał zaszczyt posłać ci wkrótce zawiadomienie o ślubie tu obecnego, zdrowego

na ciele i umyśle, artysty-snycerza, Franciszka Donadieu, z panną Heloizą—o nazwisko mniejsza — zamieszkałą w tej bajecznej pracowni. A! ona zasłużyła na to, ta dzielna, nieoszacowana towarzyszka.. Żeby nie jej terkotliwa maszyna, nie byłbym w stanie wykończyć posągu bogini, który przecież przysporzy mi sławy i mamony... Droga kobietka pewną jest mojego serca, ale życzę sobie, aby przytem sklepikarka i portyer otoczyli ją należnym szacunkiem... Na te gody jeszcze trochę poczekamy, bo niema czem ceremonii opłacić —nieprawdaż, moja pani?... Zbytków żadnych, ani pompy nie będzie... Boże nas zachowaj od karety, przybranej kwiatem pomarańczowym, wianków mirtowych, festynu w Palais Royal, gdzie państwo młodzi muszą zatykać nosy, aby przełknąć estetycznie podanego łososia, mówki okolicznościowej opiekuna w pożyczanym fraku i t. d. Nie!.. Ale musimy obficie i godnie uczęstować przyjaciół, którzy świadkami naszego ślubu być zechcą... Jak tylko ta, podziwiana przez ciebie, zacny profanie, *Danae* zaliczy się do rzędu uznanych, pierwszorzędnych dzieł sztuki współczesnej, a mnie geniuszem obwołają—chwytam się pokątnego zdobnictwa, np. kominków u Beckmana — za każdy pięćset franków gotówką — i zaraz stajemy oboje do Sakramentu... To tak chyba ku końcowi października przypadnie.

Matrymonialne plany zakochanej pary oszołomiły na dobre Krystyna Lescuyer.

Ten nieopatrzny Franek, biorący za żonę zwyczajną modelkę—cóż to za anomalia, jaki dziwny, karygodny w obliczu świata, a nawet cyganeryi, mezalians? Bez rodziny, obowiązków, mógł dowolnie rozporządzać swoją osobą i przyszłością, to nie ulegało wątpliwości, ale podobne małżeństwo, to poprostu zgroza, to zakrawa na obłąkanie!

Jemu, potomkowi tylu surowych, nieposzlakowanych magistrów prawa, nie darowanoby nigdy, gdyby pragnął popełnić coś w tym rodzaju—podobnie szalonego kroku. On powinien, wzorem dziadów swoich, zaślubić dziewicę z uczciwej sfery mieszczańskiej, pobożną, skromną, czystą. Tradycya nakłada na człowieka wielkie ofiary!..

Z odwrotnego punktu widzenia rzecz biorąc, podniesienie na stanowisko szanowne panny Heloizy należało do czynów szlachetnych. Wierna towarzyszka w pomyślności i niedoli biednego artysty zasługiwała na tę nagrodę; zbyt on dużo temu rycerskiemu popędowi nie poświęcił. Choćby imię jego rozsławionem zostało i głośnem, nigdy się nie pozbędzie obyczajów i upodobań bardzo pospolitych, to też z czasem różnice wykształcenia, inteligencyi zatrą się pewnie całkowicie między nimi.

Jakże odmiennie przedstawiał się stosunek Krystyna do Pauliny Forgeat. Przypadkowe spotkanie, przemijający kaprys, zwykła atrakcya młodego chłopca do ładnej gryzetki. Przedłużyło się to nad miarę, co prawda, i pociągnęło za sobą niespodziewane skutki. Opłacał niedoświadczony student porządne *frycowe*, jak się wyraził o nim kiedyś rubaszny Mulot. Odpowiedzialności za ten stan wyjątkowy egzaltowanej dziewczyny bezwarunkowo brać na siebie nie myśli. Jeżeli dziecko przyjdzie na świat, co nie zawsze się przecież zdarza, domniemany ojciec zajmie się niem oczywiście, zasiłku na wychowanie udzieli, byle zdaleka, jak najdalej ta cała afera się odbywała.

Coraz bardziej zaczynał nienawidzieć niefortunną sprawczynię tylu jego niepotrzebnych przykrości, i perspektywa sceny pożegnania, łez i wymówek, nabawiała go uczuciem mimowolnego strachu i odrazy. O ósmej wieczorem mają się spotkać na dworcu, przed odejściem pociągu nocnego na całe dwie godziny. To okropne! Przypomniał sobie, że do Caen można też wyjechać i o czwartej po południu. Sama pora, trzeba się tylko pośpieszyć.

— Tem gorzej!—szepnął w przystępie brutalnego gniewu—nie znoszę melodramatów.

Zadzwonił na służbę.

— Mój rachunek i powóz... prędko!

Napisał na świstku papieru kilka słów oschłych, źle osłaniających niezdarne kłamstwo chorobą ojca, wezwaniem nagłem depszą i t. d. Wkrótce da o sobie wiadomości szczegółowsze, tymczasem — do widzenia. Włożywszy w kopertę parę set franków, wysłał natychmiast to świadectwo własnej podłości przez zaufanego posłańca do magazynu, w którym pracowała Paulina, bez najmniejszego zatroskania się, jakie ten policzek wywrze na nieszczęśliwej wrażenie, i jaką szkodę jej zdrowiu przynieść może.

W godzinę potem pan Lescuyer junior sadowił się z wygodą w wagonie, z nerwami trochę naprężonymi, pewną gorączką w spojrzeniu i ruchach, ale nie bez gorzkiego zadowolenia, że dokonał pomyślnie pierwszego w swem życiu aktu okrucieństwa.

VI.

Historya kobiety uwiedzionej kończy się zazwyczaj nader tragicznie. Żyjąc samotnie, z pracy rąk własnych, doznaje ona często dotkliwego braku, gdy jednak musi opłacić koszta przebyłej choroby i umieszczenia dziecka na wsi, brak ten przeradza się w straszną nędzę, albo popycha ją w najgorsze zepsucie i upadek

moralny. Domy hańby, szpitale, a w końcu śmierć rekrutują liczny kontyngens z tych ofar chwilowego zaślepienia i bierności. Nic ich wtedy nie uratuje od zguby!

Los okazał się wyjątkowo miłosiernym w tym wypadku dla biednej Pauliny. Łagodna z natury, nawykła do twardych warunków życia swojej sfery, przebolała dość rychło cios, zadany ukochaną ręką. Bo trzeba jej przyznać, że mimo licznych usterek, grubszego flirtu z młodzieżą męzką, która póty goni za temi nieopatrznemi motylami, dopóki celów zamierzonych nie dopnie, przywiązała się całem sercem do Krystyna, pozostając mu wierną aż do ostatniej chwili, i nie złorzecząc nigdy za swe opuszczenie i niedolę.

— Jakoś się to ułoży — mówiła często w duchu, z poddaniem się ludzi ubogich, co od nikogo pomocy i wybawienia nie śmieją oczekiwać — jest na początek trochę pieniędzy, robotę znajdę, a później może przecież nie zginę.

Niemniej egzystencya jej stawała się coraz uciążliwszą i smutniejszą. Koleżanki, dostrzegłszy na co się zanosi, prześladowały biedaczkę nielitościwymi żartami; znalazła się wszakże jedna, która własnem doświadczeniem nauczona, zamiast doradzać haniebne środki pozbycia się nieproszonego przybytku, ofiarowała swe usługi na czas katastrofy.

Jakoż w kilka miesięcy później, Paulina umieszczona, dzięki staraniom poczciwej opiekunki, w jakimś odpowiednim zakładzie, wydała na świat zdrowego i ślicznie zbudowanego chłopczyka, którego w parę dni po urodzeniu zaniesiono nie do kościoła, a do urzędu merowstwa, aby dziecię w aktach stanu cywilnego zapisanem zostało. W obecności dwóch świadków: posłańca z rogu ulicy i roznosiciela węgli, umiejących szczególnym trafem nagryzmolić w księdze swoje nazwisko, mianowano nowego obywatela kraju Pawłem, Krystynem Forgeat, z matki Pauliny Forgeat i ojca niewiadomego. Po skończonej ceremonii, ojcowie chrzestni, jeżeli ich tak nazwać się godzi, poszli do najbliższego szynczku, i tam, racząc się za marną kwotę, którą im równie, jak oni, ogołocona z funduszów matka przeznaczyła, ubolewali nad przyszłością mnożącego się zadziwiająco i niepomiernie proletaryatu.

Okres rekonwalescencyi chorej nie trwał długo; żywiąc w sercu jakieś nieokreślone nadzieje, napisała list do Caen z oznajmieniem urodzin syna, ale mimo najlepszego wyniku postawionej z kart kabały i ciągłego pocieszania przez ową samarytankę, odpowiedzi nie było ani śladu. Widocznie Krystyn postanowił zerwać wszelką łączność ze spólniczką pierwszego grzechu swojej młodości.

I odtąd rzeczy poszły zwykłą koleją; na kobietę, bez opieki i podpory, spadł cały ciężar macierzyńskich obowiązków. Należało zabrać się do pracy ze zdwojonym wysiłkiem, gdyż fundusze pozostawione przez niemiłosiernego ojca zaledwo na pierwszy termin opłaty za umieszczenie dziecka wystarczyły.

Paulina zawiozła swojego Pawełka do Plaisance, gdzie w nędznej chacie, wraz z kilgorgiem innych niemowląt, miał wegetować aż do czasu, w którym walka najszkodliwszych warunków z odpornością silniejszego organizmu zwycięztwo albo porażkę odniesie.

Nowi opiekunowie, a zwłaszcza karmicielka, wyzyskiwali biedną matkę na różne możliwe i niemożliwe sposoby, ale ona płaciła chętnie wszystkie, fikcyjne nawet, rachunki, jakie jej podsuwano, bo malec rósł, jak na drożdżach, i co tydzień przybywało mu na wadze.

Pół roku nie upłynęło, a w budżecie zaczęły się robić szczerby. Żeby uiścić należność za chłopca, Paulina, zmuszona brakiem, zaniosła skromne swoje biżuterye do lombardu, sprzedała, co się dało z domu, wyrzekła się nowej sukni i niezbędnej dla paryżanki ozdoby: świeżych rękawiczek, a pomimo tych prywacyi, w końcu każdego miesiąca brakowało jej zawsze, co najmniej, dziesięciu franków. Lekkomyślną dawniej gryzetkę opanował teraz drę-

czący niepokój. Jak wybrnąć z tego kłopotliwego położenia? Dziecka swego za żadne skarby świata nie opuści; chłopczyk taki rozkoszny, patrzy na nią mądremi już oczkami, wyciąga do niej rączki z pieszczotą i uśmiechem anielskim.

— Ładna jesteś, powabniejsza, niż kiedykolwiek — znajdzie się z łatwością ktoś, co ci dopomoże — szeptały jej kusząco do ucha koleżanki.

— Nie chcę!—odpowiadała Paulina ze stanowczością, o którą niegdyś nikt by jej nie był posądził.—Znam mężczyzn dobrze; wszyscy, bez wyjątku, egoiści i zdrajcy. Pobawi się mną taki pan w przelocie, a potem rzuci bez żadnego skrupułu, jak zniszczoną lalkę. Ja już niczego nie pragnę, tylko wychować zdrowo i uczciwie mego syna.

Miłość macierzyńska robi cuda!

Pewnego popołudnia, wracając z Plaisance, zmartwiona srodze natarczywością swoich wierzycieli i lekkiem niedomaganiem Pawełka, Paulina wsiadła do dyliżansu na przednią ławeczkę, jako znacznie tańszą od miejsc w głębi powozu. Jakiś młody człowiek, w ubraniu rzemieślnika, wysoki i barczysty, podał jej rękę i usadowił się obok. Z początku nie zwracała na niego uwagi, ale po pewnym czasie zawiązali ze sobą rozmowę, ponieważ sąsiad ośmielony powierz-

chownością, wcale niewykwintną i nieelegancką, dziewczyny, pierwszy ją w zupełnie przyzwoity sposób zaczepił.

Po krótkim wstępie o pogodzie i chłodnych nocach — było to pod koniec września— pasażer zaczął z dziwną otwartością opisywać dzieje swojego życia. Rodem z Lotaryngii, służył siedm lat w wojsku, w saperach, i wyszedłszy ze stopniem kaprala, pracował obecnie u przedsiębiorcy budowlanego na przedmieściu Valmy, za wynagrodzeniem ośmiu do dziesięciu franków dziennie. Siostra jego, żona zagrodnika, mieszkała tutaj, i do nich co niedziela jeździł w odwiedziny—tak sobie... dla świeżego powietrza. Całe to proste opowiadanie, wygłoszone tonem trochę szorstkim, miało takie cechy szczerości i prawdy, w ukradkowych spojrzeniach, rzucanych na towarzyszkę podróży, tyle było nieudanej sympatyi, że Paulina odrazu czuła się w obowiązku pięknem za nadobne odpłacić.

— Czy panienka często bywa w Plaisance? — pytał, skończywszy własną historyę.—Ja już kilka razy panią zauważyłem na poczcie. Może także jacy jej krewni tu są osiedleni?

— Nie — odparła jakby w odpowiedzi na nurtujące ją troski, bez względu, że mówi do zupełnie obcego człowieka. — Ja tu umieściłam

mojego synka u włościanki, która go karmi i pilnuje.

— Mocno przepraszam panią — poprawił się śpiesznie cieśla—tylko przez omyłkę nazwałem ją panienką... Ale pani jeszcze tak młodziutka... chyba się o to nie obrazi.

Paulina, pod świeżem wrażeniem przykrości, doznanych od chciwej i grubijańskiej pary małżoków, którzy pogróżkami zmusić ją chcieli do oddania ostatniego grosza, potrzebowała istotnie przed kimś się użalić.

— Nazywaj mię pan, jak mu się tylko podoba... Ja mam dziecię, ale, niestety, ojciec porzucił nas oboje... Wypadek, jak tysiące innych, nieprawdaż?

I do tego określenia dodała, roniąc łzy, niektóre szczegóły swego stosunku z ładnym paniczem.

Cierpliwy i wyrozumiały niewątpliwie słuchacz mruknął od czasu do czasu przez zęby coś w rodzaju przekleństwa, a na koniec wybąknął ze współczuciem:

— Biedna dziewczyna! Tak, życie, to rzecz niewesoła!..

Kiedy stanęli u kresu podróży, rzemieślnik wyskoczył pierwszy i, wziąwszy, obyczajem wiejskim, w pół swoją towarzyszkę, postawił ją, jak piórko, na chodniku; potem, nagle onie-

śmielony, z kapeluszem w ręku i głosem trochę drżącym, zapytał:

— Czy zobaczymy się na przyszły tydzień w Plaisance?

— Napewno. Do widzenia z panem!

— Do widzenia, moja panienko!

Rzeczywiście, w następną niedzielę znów powracali razem, rozmawiając, jak dwoje starych przyjaciół. Świeże, ożywcze powietrze jesiennego wieczoru kojąco oddziaływało na naszych podróżnych. Mężczyzna starał się łagodzić gruby głos i miarkować objawy rosnącej sympatyi, kobieta zaś doznawała uczucia pewnej ulgi przy boku tego prostego, ale bez żadnej złej myśli człowieka.

— O! tego to już chyba nie godzi się zaliczyć do rzędu młodzików, poszukujących miłosnych awanturek za lada sposobnością, pomyślała.

Prosper Aubry — takie było miano cieśli — wyznał bez ogródek tym razem, że w czasach lepszych zarobków złożył w kasie oszczędności około tysiąca franków, że mu nudno tak żyć samotnie, że się dotąd nie ożenił, bo odpowiednia *osoba* jakoś się jeszcze nie trafiła.

Paulinie łzy stanęły w oczach.

Ach! czemuż przed tym smutnym epilogiem swojej marnej egzystencyi nie poznała kogoś z tego samego, co i ona, stanu, z którymby wspólnie i uczciwie pracować, i dać podstawę

rodzinie mogła. Czemu ją złudziły błyskotki i miodopłynne słówka uwodziciela?

Na widok rozrzewnienia towarzyszki, Prosper nie zdołał powstrzymać się dłużej i, zaprowadziwszy ją do jakiejś, odosobnionej, pustej kawiarenki, tam się formalnie oświadczył.

Nigdy żadna kobieta tak mu się nie podobała; od zeszłego tygodnia ciągle myśli o niej; za to przedziwne zaufanie wywdzięczyć się pragnie, i gdyby tylko wolno mu było — boć właściwie od lat pięciu jest wdowcem, przynajmniej się za takiego uważa—poślubić ją w kościele, prawnie i po Bożemu, czułby się najszczęśliwszym. Na dowód, że nie ma podstępnych zamiarów, ofiaruje jej nazwisko swoje, dom do śmierci—na zawsze, i przyrzeka solennie, pod słowem honoru, malca, jak go odbiorą ze wsi, przyznać za własnego syna.

Tę chaotyczną trochę deklaracyę przyjęła Paulina skłonna, jak już wiemy, do wielkiej na tym punkcie pobłażliwości, milczeniem i rumieńcem, które w najlepszym razie dały się korzystnie dla odważnego konkurenta wytłómaczyć, i do dalszego nalegania go zachęciły.

— No, czy się zgadzasz? — mówił gorąco Prosper.—Tak nam byłoby dobrze, jak w niebie... To nic trudnego... Posiadam fundusik

na zagospodarowanie się, na czarną nawet godzinę... kupię skromne mebelki, piękny czepeczek mojej pani kochanej... opłacać będę za chłopca, dopóki do nas nie powróci, i krzywdy mu nie zrobię, jakem prawy rzemieślnik! Moja dawna żona, ładny gatunek, cisnęła mię po roku pożycia, i teraz podobno taką, niby wielką damę w Bordeaux udaje. Dla mnie już przepadła — nigdy jej tego wiarołomstwa nie przebaczę!...

Jakkolwiek Paulinie Forgeat ciężkie warunki, w jakich się znalazła, wielce już dokuczyły, a przyszłym losom swoim wcale ufać nie mogła, przeraził ją ostry i twardy ton zawziętości w ostatnich słowach przyszłego opiekuna. A nuż jedynemu dziecku ona, matka, przez nieopatrzność i słabość charakteru przysporzy cierpień, może zrobi zeń niepożądanego intruza, który będzie musiał zdać się na łaskę, lub niełaskę obcego mu sercem i krwią człowieka? Ale z drugiej strony, za co sierotę wychowa— czem ją od głodu uchroni? Zdrowie się targa i sił nie starczy na wszystkie, najwyższe nawet ofiary. Nie należało się dłużej wahać. Aubry otrzymał pożądane przyzwolenie.

VII.

Zamieszkali na przedmieściu, na czwartem piętrze, w dwóch pokojach, maleńkich, jak naparstki, ogrzewanych tylko fajansowym piecykiem. Światła, powietrza i rozległego widoku było pod dostatkiem, a zadowolenie wzajemne rozszerzało ściany, napełniając dom od góry do do dołu szczerą, niewymuszoną wesołością.

Paulina, już nie w pracowni, a u siebie wyrabiała owe kunsztowne kwiaty, których Paryżowi tak wiele potrzeba. Zarobki bywały mniejsze, ale za to dużo czasu pozostawało jej na urządzenie nowego gospodarstwa. Instynkt rasy w zetknięciu z człowiekiem ludu, obudził się w młodej kobiecie. Odrzuciwszy wszelkie cechy gryzetki: zalotną powierzchowność i fałszywą elegancyę stroju: przeobraziła się w zwyczajną mieszczkę, swobodną, gadatliwą, zapracowaną—rada przytem niesłychanie, że dzięki tej drobnej ofierze, okoliczne sąsiadki i kumoszki za mężatkę ją poczytują i „panią Aubry“ nazywały.

Prosper zachowywał się wzorowo. Pełen delikatności i dyskrecyi w postępowaniu z żoną — przeszłość jakoby została pogrzebaną na wieki—oddawał jej do rąk całą swoją tygodniową płacę, w poniedziałki, tak jak drudzy, nie świętował, nie pił, nie fukał, nie grymasił.

Przywary jakieś, zapewne, znalazły się z czasem, ale doskonałości od nikogo żądać nie podobna; rzecz główna, że wszystkie obietnice jego nie mijały się z prawdą.

Opłatę na chłopca posyłano regularnie. Matce wolno było jeździć do Plaisance, również często, jak dawniej — cisza i spokój do pozazdroszczenia, jednem słowem.

Gdy po upływie roku odwieziono Pawełka do *rodziców*, cieśla, wierny przyrzeczeniu, przyjął go serdecznie. Biorąc malca w swoje potężne ramiona, zawołał z rubasznym śmiechem:

— Ależ to pyszny bęben!.. dalibóg wspaniały!

Paulinie zdawało się jednak, że w tym śmiechu tkwi jakiś dźwięk obcy, i zaniepokojona nagle, zaczęła taić przed mężem uwielbienie i bałwochwalczą miłość dla dziecka, które było istotnie ładne i rozwijało się bardzo szybko.

Matka osiągnęła rezultat swoich usiłowań, stawiając zajęcie się Pawełkiem, niby na ostatnim planie, ale Prosper źle ukrywał wzrastającą doń niechęć; wobec krzyków, płaczu i różnych niewygód, jakich zwykle, a zwłaszcza w tak małej przestrzeni, niemowlę każde staje się powodem, rzemieślnik, zmęczony całodzienną pracą, łaknący ciszy, wypoczynku, wyłącznej obsługi, z wielkim trudem powstrzymywał

cisnące mu się na usta nieoględne słowa wyrzutu lub skargi.

Czujnego oka Pauliny nie uszły te objawy gniewu, tłumione z początku, ale gotowe lada chwila, przy pierwszej sposobności, gwałtownie wybuchnąć. Świadczyły o tem dostatecznie: ta głęboka, surowa zmarszczka na czole i ten ruch ramion niecierpliwy.

— On go nigdy nie pokocha! — myślała strapiona, przyciskając namiętnie do piersi swoje biedactwo, i najmocniej przekonana, że będzie ono zawsze zaporą między nią a przywiązanym zazdrośnie do niej człowiekiem, który ten naturalny węzeł rodzinny uważał tylko za kajdany, na siebie dobrowolnie nałożone.

Razu pewnego, przy obiedzie, Prosper, patrząc na malca, na jego rysy, jakby rzeźbione, różowe policzki i ciemne, wijące się loki, odezwał się złośliwie:

— Już to niema co mówić... Ani trochę do ciebie nie podobny...

— Przecież to nie jego wina — odparła Paulina, zarumieniwszy się mimowoli.

Odtąd harmonia, zgoda, zaufanie stopniowo zanikały w tem gnieździe dwojga w gruncie poczciwych, a przez niepomyślne dla nich warunki, rozgoryczonych ludzi.

Szczęście w cichej przystani, do którego ona nadaremnie tęskniła od lat paru, prysło,

jak szkło, niezdarną dłonią trącone. I przyszedł jej do głowy pomysł niefortunny, prawie rozpaczliwy, aby zgłosić się piśmiennie do Krystyna Lescuyer, wyjawić mu całą prawdę, błagać o zaopiekowanie się synem. Rozłąka z nim kosztowałaby ją bardzo wiele, lecz z odwagą zniesie własne cierpienia, jeżeli to ma wyjść na pożytek Pawełkowi. Próba taka nie przedstawia nigdy pewnych szans powodzenia, niemniej wszakże należało uwiadomić o tem przedsięwzięciu, nieopatrznem pod każdym względem, Prospera.

Tamy się nagle zerwały.

Przy pierwszej wzmiance cieśla wpadł we wściekłość.

— Czyś oszalała? — krzyknął brutalnie.— Czego się spodziewasz od tego burżuja, który cisnął ciebie i twego bachora?... Ja ci zabraniam, rozumiesz mię, zabraniam pisać do pana... jak się tam on zowie? Jeżeli dziwnym przypadkiem nikczemnik żałuje popełnionej winy, tem gorzej dla niego... jeśli zaś nie odnajdzie śladów waszych, tem lepiej... Byłbym bardzo szczęśliwym, gdyby, nie mogąc was odszukać, on cierpiał z tego powodu. Toby mię do pewnego stopnia pomściło... Bo ja nienawidzę tego człowieka, obcego dla mnie z imienia i profesyi, nienawidzę jako rywala, poprzednika, jako przyczynę twojej niedoli i ojca twojego potom-

stwa... On podle kłamał, zapewniając cię o swojej miłości, ale jestem przekonany, że zręczniej to robił odemnie, pomimo iż moje uczucia są szczere, nieudane... Nie trzeba było przypominać mi tego wszystkiego... Ja przecież wiernie dotrzymałem danej obietnicy, dotychczas ani słowem nie dotknąłem twojej przeszłości... Jednakże, ponieważ gramy w otwarte karty, to ci powiem, że mi przykro, okropnie przykro patrzeć na to dziecko *cudze*, sterczące ciągle między nami. Zdawało mi się chwilami, że się doń przywiążę, przyzwyczaję chociażby potrochu... Nie mogłem... Ono temu nic nie winne, prawda, ale dlaczego ja mam pokutować? Już inaczej nie będzie — na to się zgodzić musisz... Nikt ci nie przeszkadza, abyś była jaknajlepszą matką i kochającą, jak drugie... Tylko nie mów mi nigdy, pamiętaj, o tym jakimś ojcu, który umknął zawczasu ze strachu przed odpowiedzialnością, gdyż życie nasze zamieni się w piekło!..

Niestety! Niewiele już do tego brakowało!

Cieśla, surowy, niesprawiedliwy nawet dla Pawełka, okazywał mu wyraźnie swoją antypatyę. Za najdrobniejszą psotę malca groził mu bardzo ostro, wcale nie dwuznacznym gestem. Na nieszczęście, trzyletnie zaledwie bobo zdradzało już naturę oporną i zuchwałą. Miało najeżone brwi—cecha rodziny Lescuyer — i wyraz twarzy nad wiek poważny, a na każdą groźbę

odpowiadało, udając gniew: „Ależ, mój tatusiu...“

Tej nazwy „tatusiu“ Prosper wprost nie znosił. Sceny o to bywały codziennie.

Pewnego wieczoru, usłyszawszy, że Pawełek niegrzecznie się czegoś napiera, uderzył go w twarz, wobec matki.

— Ach! co robisz, Prosperze! — zawołała przerażona Paulina.

— Cóż wielkiego? — mruknął podrażniony rzemieślnik. — Czy obecnie nie wolno mi już uczyć pędraka obyczajności?.. Gdyby mój ojciec nie był mię karcił w taki sposób, na dobrego nicponia wyrósłbym z czasem... Nie becz, smarkaczu, bo ci jeszcze poprawię!

Istotnie, nazajutrz rozpoczynało się to samo.

Nieszczęśliwa matka chroniła przed napaściami chłopca, ile tylko mogła, płacząc pokryjomu i podwajając pieszczoty jedynakowi, ale ustrzedz go wzupełności od tak złego obchodzenia się z nim ojczyma nie była w stanie. Aubry wywierał na nią wpływ przemożny.

Do tych moralnych udręczeń przyłączyły się — bo te rzeczy idą zwykle w parze — brak zarobku i nędza.

Po wybuchu wojny, oblężeniu Paryża, dochód obojga pracowników ograniczył się do trzydziestu sous na dobę. Cieślę zaciągnięto, jako gwardzistę narodowego, na forty, zkąd po ca-

łych dniach bezczynności, wracał podpiły, z większą jeszcze, niż kiedykolwiek, do bójki i zwady ochotą, a szykowna niegdyś gryzetka, w drelichowej bluzie i fartuchu, wystawała długie godziny przed jatką z końskiem mięsem, czekając na swoją kolej. Chłopiec tymczasem zaniedbany, opuszczony, wałęsał się po ulicach i nabierał złych nałogów, za co naturalnie karano go z tem większą surowością. Niekiedy ciężka ręka Prospera, unieruchomiona błagalnym wzrokiem matki, zawisała w powietrzu, nie dosięgnąwszy ofiary, mimo to dziecko trwożnie zawsze spoglądało na swego prześladowcę, gotowe w każdej chwili do odparcia niezasłużonego ciosu.

Najgorsze z nieszczęść, jakie przeboleć każdy z nas musi, spadło nagle na biednego Pawełka. W szkole, do której znów zaczął uczęszczać, zachorowało kilku uczniów na szkarlatynę, a jakkolwiek wszelka łączność była z nimi przerwana, chłopiec jednej nocy zapadł w malignę, i objawy strasznej choroby wystąpiły natychmiast. Rozumie się, iż matka, czuwając nad nim bezustannie, uległa również zarazie i, nie odzyskawszy przytomności, zmarła po trzech dniach okropnych cierpień.

Biedna Paulina! Biedna dusza, odkupiona przez macierzyństwo, pożegnała nakoniec mękę doczesną. O, Panie wszechświatów, Boże miło-

sierdzia i przebaczenia, wszak sam rzekłeś, „że większa będzie radość w niebie z jednego żałującego grzesznika, niż ze stu sprawiedliwych...“

Pawełek wyzdrowiał, i okrutna dola sieroty zaciężyła mu wtedy w całej pełni.

Po śmierci żony szaleństwo ogarnęło Prospera. Niedosyć, że ten obcy przybłęda stanowił kość niezgody między nim a nieboszczką, ale zabił ją poprostu, mimowolnie czy własnowolnie—o to już mniejsza. Miał prawo powiedzieć temu potworowi:

— Nie nazywaj mię ojcem, wynoś się z mego domu!

Ale wspomnienie żywe, kochającej, uległej towarzyszki życia powstrzymywało jeszcze zawziętego, bez litości człowieka od tej barbarzyńskiej konkluzyi. Jakieś głosy wewnętrzne, może prośba matki, ze stref górnych płynąca, nasuwały mu do mózgu myśl:

— Przecież to niewinne stworzenie!.. Dlaczego się nad nim znęcasz?

I wówczas łagodniał, na krótko, co prawda, pracując gorliwie, aby chłopcu niczego nie brakowało. Różne, mniej świadome stanu rzeczy sąsiadki, żałowały biednego wdowca, którego taka klęska spotkała; starały się rozproszyć jego ponure usposobienie pochwałami synka, co mu, jako jedyna pociecha, na świecie pozostał.

A to sześcioletnie dziecko, okładane razami, maltretowane na każdym kroku, nabierało wyglądu bezdomnego psa, który całą swoją inteligencyę wytęża do tego celu, aby uniknąć rąk oprawcy. Obecnie obowiązkiem jego było przygotowywanie dla obydwóch posiłku: obiadu i wieczerzy, ale chwila powrotu *ojca*, zwykle zapóźnionego—od śmierci Pauliny zaczął pić na dobre—była dlań prawdziwą męczarnią.

Przy pierwszej łyżce zupy sypały się wymówki:

— Cóz to ma być to paskustwo?... Czy ja chodzę na czterech łapach, żeby mi dawano taką breję?..

— Proszę tatusia, czekam z obiadem od paru godzin...

— Słyszane rzeczy?... Więc ja powinienem się stawiać na twoje zawołanie?...

A kiedy chłopiec, wystraszony, nie odzywał się wcale:

— Odpowiadasz, czy nie, do kroćset?.. ty niemowo obmierzły, z twoją miną świętoszka.

I rózga spadała na zgarbione plecy Pawełka. Miewał czasem przystępy rozpaczy dojrzałego człowieka. Jakie tragiczne połączenie dwóch krańcowo przeciwnych sobie pojęć: rozpaczy i dzieciństwa.

W szkole elementarnej, nauczyciel, pospolity głupiec, prześladował tego milczącego zaw-

sze i ponurego ucznia niewczesnymi żartami wobec kolegów, którzy, podnieceni przykładem z góry, nielitościwie się z nim obchodzili. Nieszczęśliwe dziecko nabrało wstrętu do nauki, i szkolnego otoczenia.

Pewnego razu, zamiast pójść na lekcye, Pawełek cały dzień wałęsał się po ulicach Paryża i, zapomniawszy o swoich gospodarskich czynnościach, zjawił się w domu dopiero nad samym wieczorem. Rozumie się, że ukarano go za to nadzwyczajne przestępstwo z całą bezwlędną surowością.

Odebrane plagi zrobiły wręcz przeciwny skutek. Chłopiec szukał teraz wypoczynku i zapomnienia w tem bezmyślnem błądzeniu po mieście, zdala od złośliwego pedagoga, niesfornych kolegów i okrutnego ojca. Tylko że te godziny swobody zbyt krótko trwały, a niezachwiana pewność powrotu pod jarzmo zatruwała je w zupełności, niestety!

VIII.

Lipiec miał się ku końcowi. Słońce, purpurowe na zachodzie, rozsiewało jeszcze złoty pył dokoła, otulając weń, jak we mgłę przejrzystą, spokojne wody kanału Saint Martin.

Do brzegu przybijał zwolna ciężki, ładowny statek, przybyły, o ile z jego budowy i sposobu zarzucenia kotwicy sądzić było można, z głębi Flandryi. Na pomoście, oprócz białego wyżła, biegającego wszerz i wzdłuż bezustannie, nie było nikogo. Mieszkania marynarzy czyściutkie były i schludne, szafkę na przybory okrętowe okalały zwoje pnącej się nasturcyi. Każda belka, każda sztuka drzewa kąpała się w blasku słonecznym, wabiąc oko grą kolorów i robiąc wrażenie jakiejś cichej, gościnnej przystani.

Pawełek, znużony całodzienną wędrówką po mieście, zatrzymał się na wybrzeżu i ciekawie nadpływającemu galarowi przypatrywał. W jego marzeniach dziecięcych zarysowało się wyraźnie na ten widok pragnienie ucieczki, podróży do dalekich, nieznanych krain.

Ach! jakąż to byłoby dlań rozkoszą płynąć na tym statku, na sennych falach wody, w zgodzie i przyjaźni ze wszystkimi, zacząwszy od prostego majtka i tej psiny wesołej, aż do kapitana z marsowem na pozór obliczem.

— Hę? Wcale ładny ten instrumencik, nieprawdaż?...—podniósł się jakiś cienki głos znienacka.

Na tę niespodziewaną przerwę w słodkich rozmyślaniach Pawełek obrócił żywo głowę. Obok niego stał dziesięcioletni zaledwie chłopczyna w łachmanach, okryty starą, podartą,

zbyt obszerną kamizelką, która mu do kostek sięgała, ze zwichrzonemi włosami nieokreślonej barwy, wzrokiem żywym i bystrym, figlarnie uśmiechniętą buzią. Znany typ Gavroche'a paryzkiego.

— Czy lubisz patrzeć, kiedy statki jadą sobie po kanale? — szczebiotał, ośmielając się.— Jakie twoje imię?... Ja nazywam się Natol, co znaczy pewno Anatol.

Pomimo, że prezentacya wykraczała przeciwko etykiecie światowej, Pawełkowi podobało się to chłopię spokojne a biedne, i łaskawie swoje imię wymienił.

— Pawełek, nie brzydka nazwa, ale pierwszy raz ją słyszę... Założyłbym się, że masz rodzinę... To zaraz znać... Takie porządne buty...

I niezmiernie rad ze swego daru obserwacyjnego, zaczął pogwizdywać piosenkę, powtarzaną wówczas we wszystkich modnych kabaretach... Potem dodał:

— Pójdźmy do wrót śluzy... Niezawodnie je teraz otworzą... To tak zabawnie, jak woda z hukiem wali.

Paweł machinalnie udał się za nim, pociągnięty dziwnym wdziękiem tego cyganiątka.

Gdy się już dosyć napodziwiały dzieciaki, opuszczone i nędzne, olśniewających potoków kaskady, rozpoczęła się między niemi poufalsza gawędka. Dowiedziawszy się, że

starszy druch nie uczęsza już do sztuby, Natol z filozoficznym spokojem wyrzekł:

— Wiemy coś o tem... U ciebie ojciec krewi... u nas pani macocha... A jaka ona zła! Ileż razy na kolacyę dostawało mi się tylko kilka szturchańców... i basta! Już od tygodnia powiedziałem sobie: adiu, Fruziu; buda mię nie zobaczy więcej... I to nie pierwszyzna u mnie, zaręczam ..

— Jakto? — zawołał Pawełek ze zdumieniem—ty nie nocujesz w domu? Jakże to się robi?

— Ba! — odparł Natol, ruszając niedbale ramionami—żyje się przecież i obywa bez tego... trzeba się tylko wystrzegać policyusów... Taki obywatel, jak ja np., otwiera drzwiczki powozów na stacyi, podnosi parasol albo laskę staremu burżujowi, sprzedaje afisze po tańszej cenie przed teatrami, co rano pomaga wyładowywać jarzyny w hallach. Najtrudniejsza sprawa ze spaniem. Znam wprawdzie dużo domów, które jeszcze się budują, ale tam amatorów pełno, i często taka hałastra cię wypędza.

— I to się często powtarza?—pytał Pawełek, a wzruszenie głos mu łamało.

— O jej, bez liczby...

— Ale cię pewno kiedy przyłapano, powiedz... i do rodziców odprowadzono? i co wtedy było?..

— O! wtedy cięgi dostałem porządne... Dom, tata, co przychodzi urznięty, jego baba, sekutnica—to wcaie nie łakotki!... biją za lada co, szczególniej macocha miotły nie żałuje, bo mię nie cierpi, podobno... Po takich kawałach, dalej na ulicę... tam najspokojniej, najlepiej...

W tej chwili zegar na wieży kościelnej wydzwonił godzinę szóstą. Pawełkowi przypomniało się nagle, że to pora obiadowa — ojciec powraca, pustkę w mieszkaniu zastanie, i w wściekłość wpadnie. Już widział nad sobą pięść jego żelazną. Zdjęła go szalona pokusa, aby pójść za przykładem tego małego nicponia: nie wracać do domu, żyć na swobodzie, na Opatrzności Bożej! Ale piętno ucisku zanadto go jeszcze przygniatało, i nie śmiał wykonać tak niebezpiecznego kroku sam, o własnych siłach.

Ach! gdyby ten Natol, odważny, jak bohater, przedsiębierczy i praktyczny, jak dojrzały mężczyzna, chciał przybrać go sobie za towarzysza!...

— Słuchaj no, mój drogi—pytał Pawełek, kierując się ostatkiem wrodzonej roztropności — gdzież ty na noc schronisz się dzisiaj?

— Na galarze, którym ściągają węgle kamienne, niedaleko mostu de la Tournelle. Nikt tego nie pilnuje, a jest tam płótno żaglowe, którem się doskonale okryć można... Paradne

spanie... Gwóźdź tkwi jednak, bo trzeba o świcie się zrywać; ci przeklęci węglarze schodzą się, niewiadomo po co, od samego rana. A no, trudno!.. Człowiek się, jak pies z wody, otrząśnie i umyka... do hall prościuteńko. Przez trzy dni najmniej galar wyładowywać będą, więc moje mieszkanie na ten czas jest zapewnione, tak, jak bym był burżujem, co klucze od swego apartamentu hotelowego w kieszeni nosi... Najlepsza rzecz, że wieczorem idzie się na obiad — dodał Natol — ot, całe cztery sous w garści — wystarczy na chleb i ser... Jeżeli sobie życzysz, to zapraszam i ciebie... Coś mi się widzi, że ojcowskie pokładanki już ci się sprzykrzyły, i radbyś smyrgnąć, gdzie pieprz rośnie...

Pawełek, pod urokiem nowej sytuacyi, otworzył szeroko oczy.

— Co, ty byś mię także tam zaprowadził; nie boisz się, naprawdę?

— Ja? Do kaduka!...

Owego wieczoru Prosper Aubry, powróciwszy z roboty, nie zastał chłopca w mieszkaniu.

— A! szkaradny bachor! — klął przez zęby—łyżki strawy mieć na czas nie można. Zapłacisz mi za to, obieżyświecie, niepoprawny latawcze!...

Jedna, druga godzina upłynęła, a Pawełka jakoś nie było.

— Tem gorzej dla niego... Będzie spał pod gołem niebem – mruczał cieśla spracowany i przespał do białego dnia snem kamiennym.

Ale nazajutrz, gdy żadna zmiana nie nastąpiła, poszedł zasięgnąć wieści u portyera, gdzie już zgromadzone sąsiadki o zniknięciu dziecka rozprawiały.

— Zawsze był leniuch, kłamca; nic uczciwego nie dało się z niego zrobić!—wołał w gniewie, a teraz zaczyna już noce spędzać po za domem.

— Może mu się przytrafiło jakie nieszczęście—wtrąciła młoda kobieta o łagodnem wejrzeniu i ze słodyczą w głosie, obejmując tkliwie ramionami swoje blade, chore widocznie, niemowlę.

— Akurat! Jak to pani utrafiła! Jestem pewny, że włóczy się po bulwarach... Szkoła mu nie pachnie... zawsze lekcye opuszcza...

— Jednakże, panie Aubry... biedne dziecko... często miało oczy czerwone.. Ja wiem dobrze, że malcy są niemądrzy, lubią psoty, figle, starszych nie słuchają... ale może pan był dla Pawełka cokolwiek za... ostry?

Cieśla poczerwieniał z pasyi.

— Powiedzcie raczej, że to nieszczęśliwy męczennik—musiał uciekać, a ja go wprost wy-

pędziłem od siebie... A! jacyż ludzie są niesprawiedliwi!... Otóż, ja teraz pani powiem całą prawdę: Nie byliśmy mężem i żoną z nieboszczką, a ten gałgan, którego tak bronicie, to po niewiadomym ojcu—przybłęda... przygarnąłem oboje z matką przez dobre serce, z litości... i masz za to, głupcze, nagrodę... miły los!...

Kiedy dla złożenia deklaracyi komisarzowi okręgu Prosper się oddalił, wszystkie kumoszki długo jeszcze rozwodziły się nad jego szlachetnym postępkiem i przykrościami, jakie mu niewdzięczny chłopiec zgotował za tyle lat bezinteresownej opieki.

Co się działo tymczasem z potępionym sierotą?

W każdem dziecku drzemią instynkty człowieka pierwotnego. Uważa ono za rzecz zupełnie naturalną egzystencyę swoją i przyszłość powierzyć losowi. Szczęściem było to w środku lata, kiedy noce zazwyczaj są pogodne i ciepłe. Natol i Pawełek sypiali na galarze, owinięci płachtą grubą, która ich od chłodu dostatecznie chroniła. Zawsze się znalazły jakieś zarobione kilka sous na śniadanie lub obiad, a w najgorszym razie błądziło się wieczorem dokoła teatrów, albo większych hoteli, a wychodząca z tamtąd publiczność chętnie za drobne usługi datki udzielała.

Natol, który znał Paryż, jak nadleśny zwierzyniec powierzony swojej straży, wiedział doskonale, gdzie, kiedy i od kogo kapać może moneta. A codzień coś nowego było do zobaczenia. Raz ogród botaniczny, akwarium, oswojone zwierzęta podczas karmienia przez dozorców, to nazajutrz Sekwana, wyścigi prześlicznych łodzi z różnobarwnemi flagami, albo kawalkady amazonek i jeźdźców na pysznych koniach w lasku Bulońskim; jednem słowem, niewyczerpane źródła rozkoszy! Czasem nierozłączni przyjaciele wybierali się po za miasto, odpoczywając na stogach wonnego siana i ściągając nieznacznie — pomysł i wykonanie były udziałem Natola — jakiś piernik, owoc, bułkę wreszcie nieuważnej straganiarce. Zmylić pogoń przedstawiciela porządku państwowego, rzucić mu, jak piaskiem w oczy, tysiącem nazw obelżywych, stanowiło namiętność nieprzezwyciężoną tego włóczęgi.

Wkrótce jednak pogodne niebo się zasępiło. W powrocie z pewnej, dość niefortunnej wycieczki, spotkała chłopców ogromna burza; przez długie trzy godziny musieli stać pod arkadami mostu, zanim ulewa przeszła. Galar, z którego wszystek węgiel zabrano, odpłynął daleko, aż do Burgundyi; z przytulnego schronienia zostały... nici. Dżdżyste noce musieli przepędzać w piwnicach świeżo budujących się

domów, pod strachem, że policya ich tam prędzej czy później nakryje. Manna, w postaci groszaków, należała teraz do rzadkości; nawet okruszyn chleba, których małe myszy mają pod dostatkiem, dla nich zabrakło. Próbowali, zziębnięci, głodni, z minami smutnemi, wyciągać dłoń po jałmużnę do gości, pijących kawę na werandach cukierni, ale służba wypędzała natrętów bez miłosierdzia, i położenie ich stawało się coraz groźniejsze.

— No, no, zaczynasz beczeć, smarkaczu,— odezwał się raz Natol do Pawełka, któremu łzy zalewały oczy.—Jeść ci się chce, co?... już dosyć wolności, prawda? Ja cię nie powstrzymuję... wracaj do papy... Będzie gorąca zupa i rózgi... Jak ochota...

A tamten, z obawy kary od ojca, podległy mimowiednie suggestyjnej przewadze opiekuna, i nakoniec z jakiegoś nieokreślonego pojęcia honoru, nie skłaniał się ku tej ostateczności. Polubiwszy szczerze Natola, odważnego aż do zuchwalstwa, a troskliwego o potrzeby towarzysza, niby starsza siostra o własne rodzeństwo, wolało zostać pod jego skrzydłami biedne, bez gniazda ptaszę.

Niektóre epizody ich koczowniczego życia, mianowicie zboczenia w kierunku podstępem zdobywanych posiłków, nie zupełnie godziły się z wrodzoną uczciwością Pawełka; żebractwo

również sprawiało mu wstręt niewymowny, ile, że dotychczas wszystko to obce dlań było, więc kiedy w chwili krytycznej absolutnego braku pochwycił Natola na kradzieży kilku fig z koszyka przekupki, rzekł nieśmiało, ale z wyraźnem zawstydzeniem:

— Co ty sobie myślisz?.. To nie nasze.. Fe!.. Tak robią złodzieje!...

Obywatel w zbyt obszernej kamizeli odparł żywo:

— Złodzieje?... A dlaczego zjadłeś figi?. Czy to my kradniemy?... To sprzedający, jak podstawia palec, albo przylepia coś ciężkiego pod wagę, niby przypadkiem, okrada tego, co kupuje. Taki fąfel, jak ty, na takich rzeczach się nie zna... Przestań gadać, bo się pogniewamy... Ja mózg suszę, aby coś temu kurczęciu wygrzebać, a ten mię od złodziei wyzywa... surowy pan, proszę ja kogo... Czy chcesz zdechnąć z głodu? — to powiedz odrazu.. Mądrala!...

Chłopczyna zamilkł, na pół przekonany, i odtąd nie powtórzyła się bierna jego opozycya. Niemniej, po upływie siedmiu długich, nieskończonych dni, siły odmówiły dzieciom posłuszeństwa. Natol z gołą głową kroczył coraz wolniej po bruku wilgotnym, ślizkim od błota, a Pawełkowi woda wsiąkała w dziurawe buciki i ręce drętwiały na chłodzie.

. . . . . .

Ale, cóż u licha! nie dajmyż się opanować wzruszeniu. Przecież to winowajcy niezaprzeczeni, te uliczne włóczęgi! Prędko!... Zajrzyjmy do Kodeksu. Tam na wszystko znajdzie się odnośny paragraf.

Ucieczka z domu rodzicielskiego, wałęsanie się bezczynne po mieście, natręctwo względem tych, co chcą i potrzebują strawić spokojnie obfity obiad, wydarcie, choćby za parę sous, cudzej własności, toż to są przestępstwa i czyny karygodne, przewidziane przez prawo; podpadają one pod rubryki: włóczęgostwa, żebractwa, kradzieży.

W tej nomenklaturze znajdą się pewne odcienia, rozumie się, i wyjątki, które społeczność, dobrze administrowana za pomocą aparatu policyjnego, z łatwością rozróżnić potrafi

I tak np. naczelnik wyprawy w celach kulturalnych, który pod pozorem niesienia dzikim murzynom światła i dobrodziejstwa cywilizacyi, prowadzi handel zamienny, t. j. bierze kość słoniową, dając błyszczące guziki i wzorzyste perkale, i ostatecznie, dzięki swojemu barbarzyńskiemu postępowaniu z tuziemcami, ponosi śmierć z ich mściwej ręki, nazywa się bohaterem, a przynajmniej dzielnym synem ojczyzny, której w spadku pozostawia jedynie szalone koszta ekspedycyi i stratę kilku tysięcy wyborowego żołnierza. Boć dobrze wiadomo,

że tacy pionierowie postępu nie przebierają w środkach, i życie człowieka nie więcej, niż życie zjadliwej muchy, sobie cenią. Podobny osobnik nie da się do kategoryi włóczęgów zaliczyć.

Taki deputowany, wycierający sobą sale ministeryum i przedpokoje ministrów, aby wyjednać jakiś okruch, urząd, tytuł, synekurę dla całej bandy swoich wyborców, to wcale nie jest żebrak. Przeciwnie, to szeroki umysł polityczny, który nagina się do koniecznych warunków powszechnego i tajnego głosowania.

Pana ministra, po uszy w długach przed dojściem do władzy, który, dzierżąc tekę, zdążył w ciągu dwóch lat zrobić parę milionów oszczędności, roztropnie złożonych w banku angielskim, a przytem na trybunie ofiarowywał krajowi swoje bezinteresowne służby, przyciskając do serca, za każdem słowem, dłoń ubrylantowaną, również nie można nazwać złodziejem. Mężowie stanu pogardą odpowiadają zazwyczaj na zarzuty opinii. Ale dziesięcioletni przestępcy, którzy sypiają w wilgotnych norach, wyłudzają pieniądze od przechodniów, ściągają dla zaspokojenia głodu z wystaw sklepowych owoc lub ciastko, ci przedstawiają istotne niebezpieczeństwo dla spokoju i porządku publicznego. To jest prawdziwa potworność!...

Na pomoc, panowie żandarmi!

Szczęściem, że nasi prawodawcy spraw

takich nie lekceważą, że się nami opiekują, i że nakoniec posiadamy w budżecie państwa osobną pozycyę, uchwalaną w Izbie corocznie na utrzymanie kolonii karnych dla tego zarodka przyszłych złoczyńców!

IX.

Nad społecznością francuzką ciągle czuwano.

Dwaj nasi mali kryminaliści zostali raptownie, o czwartej godzinie rano, zbudzeni w jakimś loszku, który im użyczył schronienia. Przed ich przerażonym wzrokiem zjawiło się Prawo, w całym swoim majestacie, uosobione na ten raz wyjątkowy w podejrzanej figurze agenta tajnego, z którym, proszę mi wierzyć, ani ja, ani ty, czytelniku, nie radzibyśmy się spotkać w żadnem pustkowiu, i trochę nietrzeźwego drągala, z pałaszem u boku i czapką policyjną na zjeżonej głowie.

W nadziei ucieczki, chłopacy zerwali się jednym skokiem, ale szybciej jeszcze, z wyraźną wprawą, pan w surducie schwycił Natola za kark, a policyant rozprawił się z Pawełkiem.

— Mówiłem ci, Laroze—odezwał się szubieniczny jegomość do człowieka w mundu-

rze—mówiłem przecież, że jak zaczniemy tropić, to się w końcu ta gadzina odnajdzie.

A zwracając się do dzieci, zawołał ostro:

— Dalej, w drogę, kanalio!.. do posterunku, a nie bałamucić, nogi za pas!...

Po kilku minutach osadzono już ich w posterunku policyjnym—ciemnej, ohydnej dziurze, z kubłem na środku, zatruwającym powietrze w sposób niemożliwy. Szczególnym trafem znaleźli się tam sami. Po raz pierwszy w życiu ponury zgrzyt zasuwy więziennej obił się o uszy Pawełka. Upadłszy na ławkę, przytwierdzoną do muru, zaczął rzewnie płakać, co Natola, biegającego z suchem okiem i rękami zaciśniętemi po maleńkiej celi, przyprawiło o gniew formalny.

— Powiedz, mój drogi—szepnął nieśmiało Pawełek—co oni teraz z nami zrobią?

— A, prawda, ty jeszcze nie wiesz, jakim to porządkiem idzie... Najpierw tedy znana wszystkim, paradna karetka, potem areszt, potem pierwsza instancya...

Te obce nazwy przestraszyły ogromnie pytającego.

— Co to może znaczyć? Ja się bardzo boję, Natolu.

— Ech! dowiesz się aż nadto wcześnie... To wcale nie zabawne, ale się od tego nie umiera...

— No, a później? Co później? Powiedz, mój kochany!

— Każą wezwać naszych rodzicieli, czy chcą nas odbierać, czy nie.. Mnie, mój stary, pewnikiem wyłowi... tylko dostanę basy, że aż trzeszczeć będzie...

Pawełek zadrżał. Jego też czeka sroga kara. Łzy puściły mu się z oczu obficiej.

Około siódmej drzwi zardzewiałe otworzono. Indywiduum z miną rozbójnika — i dusza nie była lepsza, na pewno—ukazało się na progu, i z tem samem uprzejmem zaproszeniem popchnął chłopców przed sobą, prosto, aż do biura kancelaryi komisaryatu.

Sekretarz tego urzędu, szkaradny z twarzy, z lisiem wejrzeniem, pretensyonalnie a brudno ubrany młodzieniec, siedział przy małym stoliku, wstrząsając się od czasu do czasu kaszlem suchotniczym.

— Jakoś kiepsko dziś lądujemy, panie Hektor—odezwał się poufale dozorca — poszło się spać nad ranem, a tu roboty huk... wiem coś o tem...

— Cóż chcesz? — odparł, uśmiechnąwszy się jadowicie urzędnik. — Każdego wieczora idę do kawiarni z mocnem postanowieniem wypicia zwykłej porcyi mojej: szklanki mazagranu, naparstka koniaku i dwóch a najwyżej trzech kufelków piwa... Ale jak się zaczną zbierać ko-

ledzy, przy gawędzie i kolejce, północ zaskoczy, niewiadomo kiedy. A to wszystko dlatego, że jeden drugiemu musi się rewanżować... Otóż, co gubi człowieka, mój Martinot, to zbyteczna grzeczność.

Po wygłoszeniu tej mądrej sentencyi pan sekretarz przystąpił do badania dwóch przyprowadzonych urwisów. Na ich odpowiedzi, zwykłe w takich razach, a niestety, aż nadto prawdziwe, niedowierzająco ruszył ramionami.

— Te flance zdatne tylko do aresztu, nieprawdaż?—rzekł, patrząc z ukosa na stojącego agenta. — A więc, karetka gotowa, stoi przed bramą. Wyprawiajmy ich co prędzej.

Oddani, wraz z odpowiednią instrukcyą na piśmie, pod dozór żołnierza gwardyi republikańskiej, i wsadzeni do niemiłosiernie trzęsącego wehikułu, chłopcy przyjechali na obszerne podwórze Prefektury policyi właśnie w chwili, kiedy ze wszystkich cyrkułów Paryża zwożono załowione przez jedną noc męty uliczne stolicy. Z tych ohydnych omnibusów, jak ze ścieków, płynęła fala postaci, które budziły zgrozę i wstręt jednocześnie. Byli to: żebracy, włóczęgi, złodzieje, pijaki i nierządnice. Obok starca w łachmanach—dziewczyna w kapeluszu, przybranym kwiatami; kobiety siwiejące już, z pokładem tynku na pomarszczonej twarzy, i mężczyźni w sile wieku, bladzi, wynędzniali, z zakrwa-

wionemi paznogciami; panicze eleganccy, którzy robili wrażenie przebranych po męzku panien— wszyscy ci nędzarze, tylko przy pomocy dozorców wysiadali z karetek, gdyż brakło im sił, częścią z głodu, częścią z wyczerpania i rozpusty, do postąpienia kilku nawet kroków. Wielu z nich pragnęło niezawodnie skrócić dni i niedolę swoją za pomocą samobójstwa, ale troskliwa prawica nieomylnej opatrzności rządu przeszkodziła tym rozpaczliwym postanowieniom. A mieli oni w rysach i postaci piętno niezatarte upodlenia i nędzy: coś z szaleństwa i zwierzęcości.

Jedno tylko młodziutkie stworzenie, ujęte wtedy, gdy starało się wydobyć z rąk policyi bliskiego jej zapewne, a zupełnie pijanego człowieka, dziewczątko najwyżej piętnastoletnie, w podartej sukni i drewnianych chodakach, wyróżniało się przedziwną urodą i nieśmiałymi, a wdzięcznymi ruchami.

Na progu więzienia, dozorcy, rekrutowani z zapasowych żołnierzy na ochotnika, bez broni, w kaftanach, podobnych do liberyi, łapali, jak się dało, przybywających, segregując ich wedle płci i przypuszczalnego zawodu, pod czujnem okiem naczelnika — osobistości zwanej inspektorem przez podwładnych, a rudym dzikiem przez osaczoną gawiedź—w obszernej ale ciemnej sieni, do odpowiednich celek. Czynność

ta była niezmiernie hałaśliwą, mimo ciągłego przyprowadzania do porządku niesfornych lokatorów głośnym okrzykiem gospodarza tego przybytku: „A ciszej tam, hołota!..,“

Krzyki aresztowanych, śmiechy, kłótnie ich między sobą, bezecne śpiewy, popychania wzajemne, westchnienia i jęki nie ustawały ani na chwilę.

Przy grupie kobiet publicznych widać było przełożoną sióstr miłosierdzia, poważną, niewzruszoną, niby Anioł stróż, obezwładniony upadkiem istoty stworzonej na podobieństwo Boże, z białemi skrzydłami kornetu, które opiekuńczo ogarniać się zdawały ten chos potępieńczy. W kącie najciemniejszym, przyparci do ściany, kilku małych uliczników przypatrywało się chciwie rozgrywanym, ohydnym scenom.

A z podwórza dolatywał wciąż nieprzerwany turkot zajeżdżających karetek z nowymi przestępcami, których tłum, jak artystów na widowni teatralnej, witał grzmiącym pomrukiem zadowolenia i ciekawości.

Gdy wprowadzano jakiegoś waryata, w paroksyzmie furyi czy epilepsyi, trzymanego za ręce i nogi przez czterech żołnierzy, do specyalnej izby, wysłanej materacami, wrzawa doszła do szczytu; był to bowiem, znany ogólnie, model paryzkich rzeźbiarzy, człowiek o fidyaszowych kształtach, z długą białą brodą, nieprzy-

tomny, zidyociały zupełnie, odstręczająey absolutnym brakiem cech ludzkich w swojej powierzchowności.

Ale na tym wspaniałym okazie zakończyło się przedstawienie poranne, i pan inspektor zdołał ostatecznie wszystkich więźniów w odpowiednich oddziałach poumieszczać.

Pawełek i Natol, wraz z garstką podobnych sobie włóczęgów, zostali brutalnie wtrąceni do zatęchłej nory, w której brudny stół i dwie ławy stanowiły sprzęt cały, i gdzie zaraz podano im na cynowych miskach zupę z chleba, cuchnącą starym łojem i mogącą odstraszyć sforę psów zgłodniałych.

W dwie godziny potem jechali już do gmachu Sądu kryminalnego.

Sąd pierwszej instancyi jest sam w sobie rzeczą dobrą i bardzo w czynnościach prostą. Działalność jego polega na tem, że każdego dnia, dzieci bezdomne, zbierane przez policyę na bruku stolicy, mają obowiązek stawić się przed oblicze sędziego, do tego rodzaju spraw wyznaczonego. On wysyła jednych, którzy ukończyli lat czternaście, jako odpowiedzialnych według prawa za swoje postępki, przed kratki Trybunału, drugim zaś pozwala, zanim badanie się rozpocznie, odwołać się do rodziny, jeżeli ją obwiniony posiada. Po takiej konfrontacyi obwiniony albo powraca pod dach

rodzicielski, zkąd go ciemnota i nędza wygnały, albo, w razie odmowy przyjęcia marnotrawnego syna i zupełnego sieroctwa, delikwenta przeznaczają do zakładu kolonii karnych, aby tamże pozostał aż do swojej *pełnoletności.*

Powiedzmy jednak, przez wzgląd na prawdę i słuszność, że przeważnie sędziowie pierwszej Instancyi obchodzą się z dziećmi w sposób litościwy, a nawet często ojcowski, a są wybierani z grona ludzi nieposzlakowanych, przejętych ważnością swego zadania. Nie przeszkadza to wszakże, aby nie byli traktowani w ministeryum z pobłażliwem ruszeniem ramion, jako uosobienie naiwności, stale pomijani przy awansach i troskliwie usuwani od procesów politycznych.

A taki poczciwina robi, co może. Ale cóż należy do jego atrybucyi?

Wolno mu zwrócić rodzicom nieszczęśliwego malca, który w dziewięciu na dziesięć przypadków, patrzeć będzie w domu na najgorsze, demoralizujące przykłady, a w przeciwnym razie skazać go na rodzaj galer dziecięcych, to znaczy długi szereg lat przebywania w osadach rolnych, gdzie deprawacya moralna następuje bardzo szybko. I to wszystko za drobne winy, które nawet w oczach prawodawcy nie mają żadnego znaczenia.

Wiadomo, że w naszych czasach różne zakłady filantropijne, powstałe i kierowane inicyatywą osób miłosiernych, szlachetnego ducha, zapobiegają tym okropnym faktom. Uwielbienie i błogosławieństwo nasze niech spłynie na tych dobroczyńców ludzkości!

Oni to zajmują się losem takiego małoletniego przestępcy, oddają go w ręce osób pewnych, uczciwych, na wychowanie, czuwając nad nim ciągle, i zachęcając wszelkimi sposoby do poprawy charakteru i rozwoju umysłu.

Ale w epoce opisanych przez nas wydarzeń, zaledwie kiełkowały pomysły takich instytucyj i stowarzyszeń, a i dziś działalność ich jest jeszcze nader ograniczoną i niewystarczającą. Wreszcie, od czegóż mamy prawo, straszne w swojej nieomylności, nieubłagane w wykonaniu!

Dziecko osądzone, jak dojrzały złoczyńca, skazują na więzienie, po odzyskaniu zaś wolności, każą mu, jako żołnierzowi, iść z batalionem do Afryki, aby się stało zadość nikczemnej żądzy podboju i eksterminacyi dzikich plemion murzyńskich. Skazane zaś na ciężkie roboty, nie otrząśnie się z tego hańbiącego piętna przez całe życie.

Czy tak, czy owak, imię jego jest zniesławione na zawsze!

Zdawałoby się, że takie potworności istnieć nie powinny, że społeczeństwa nie rozlecą się, niby zamki na lodzie, bez ich podpory, a jednak zło trwa, mimo nawoływań do postępu, który jeszcze długo czczem słowem pozostanie.

Sędzia śledczy, któremu powierzonem było badanie dwóch występnych chłopców, nie odznaczał się ujmującą i sympatyczną powierzchownością; jakiś płytkiego umysłu obserwator mógłby o nim był powiedzieć jedynie, że jestto zasuszony archiwista, po staroświecku odziany, nie pojmujący zgoła ducha czasu. Niemniej temu staremu człowiekowi patrzyły z oczu: inteligencya niezwykła i żywe współczucie dla wszelkiej niedoli.

Gdy Pawełek, drżąc z zimna i strachu wszedł do kancelaryi, z wyglądu jego, pokornej postawy i łez, cicho po wybladłej twarzy płynących, poznał doświadczony inkwirent, że nie ma do czynienia ze zwyrodniałą istotą, której wszystkie soki żywotne zatrute są od najwcześniejszego dzieciństwa. Zresztą, przed chwilą zaledwie, pan sędzia, wyspowiadawszy biednego również, ale już do rzędu niepoprawnych należącego Natola, wiedział o tym drugim tyle, ile mu było potrzeba do zoryentowania się w sytuacyi. Uspokoił tedy malca, wlał mu w tłukące się, jak u schwytanego ptaka, serduszko

cokolwiek otuchy, wysłuchał cierpliwie jego prostych i smutnych dziejów, czując instynktowo, że dziecko wcale nie kłamie.

Potem, zwracając się do woźnego, zadał pytanie:

— Czy ojciec został wezwany? Pewno jest w przyległej sali—nieprawdaż?..

— Tak, proszę pana sędziego.

— Niechże tu wejdzie.

Na wzmiankę o ojcu, Pawełek przerażony perspektywą czekającej go kary, usunął się z tłumionym jękiem w najdalszy kąt pokoju, co mu zjednało pełne litości spojrzenie wykonawcy prawa.

Jednocześnie wprowadzono Prospera Aubry, w bluzie robotnika, z ową groźną zmarszczką na czole i wzrokiem ponurym, w ziemię wbitym.

— Proszę usiąść — odezwał się grzecznie sędzia. — Oto jest syn pański, który uciekł podobno z domu przed kilku dniami. Doszły mię wieści o pańskiem zatroskaniu się, niepokoju i złożeniu zarazem deklaracyi w komisaryacie. Muszę przyznać, że opinia pana życzliwie mię względem niego usposobiła. Ale to dziecko twierdzi, że obchodziłeś się pan z niem w sposób brutalny. Co w tem jest prawdy?

Cieśla rzucił w stronę Pawełka nienawistnem okiem.

— Jeżeli można...—cedził powoli—to niech pan sędzia będzie łaskaw kazać wyjść chłopcu na krótką chwilę. Miałbym coś do nadmienienia panu poufnie, na osobności..

— Zgoda!—odparł urzędnik.

I na dany znak, Pawełka usunięto z kancelaryi.

— No, cóż dalej?

— A to, panie sędzio—rzekł Prosper, wyciągając z kieszeni jakiś, pieczęciami opatrzony papier — proszę przeczytać ten akt urodzenia... „Paweł, Krystyn Forgeat, syn Pauliny Forgeat, z ojca niewiadomego.“ Czemże dla mnie jest ten malec? Zupełnie niczem!.. Z matką jego żyliśmy, niby mąż z żoną, przez kilka lat — ot i cała historya.. Gdy kobieta umarła, nie broniłem sierocie w domu nadal pozostać... Człowiek przecie nie kamień... A że czasem, jak zasłużył, wygrzmociłem mu skórę, nikt mi z tego procesu robić nie będzie, spodziewam się...

— Sierota, nie kochany... bez opieki zatem... — szeptał sędzia, któremu nie obce były dramaty rodzinne.

— Jak pan uważa—odparł robotnik twardym głosem.—To tylko pewna, że obecność tego szkaradnego bębna już mi się uprzykrzyła; zawsze mi przypomina moją łatwowierność i głupotę, z przeproszeniem. Niech pan sędzia postąpi z nim wedle własnej woli; ja już o niczem

słyszeć nie chcę... Czy mam po temu prawo, czy nie?... „Kapłan—co mówię, każdy czystego serca, prostoduszny chrześcijanin odpowiedziałby bez namysłu „nie.“

Ale stary, zacny jurysta mógł tylko stosować się do litery prawa, a nie sprawiedliwości!

— Tak, panie Aubry, służy ci prawo niewątpliwie... Zastanów się tylko, proszę cię bardzo, że tu idzie o syna kobiety, którą kochałeś, po swojemu zapewne, ale bądź co bądź, twoim wspomnieniom drogiej, że on, biedak, nie ma, oprócz ciebie, nikogo już na świecie całym—że miałeś dla niego mało wyrozumiałości i pobłażania— że, nakoniec, jego drobne winy należałoby darować... przez pamięć na nieboszczkę i, zdobywszy się jeszcze na ostatnią ofiarę, chłopca przygarnąć do siebie... Najsurowsza opieka rodziny stokroć więcej warta od tej, którą Państwo udziela. Jedyny dlań przytułek, jakim ja rozporządzam, zwichnie mu życie. Wejdzie tam zupełnie niewinny, a może powrócić... beznadziejnie zgubionym! Na panu przed Bogiem i ludźmi ciąży odpowiedzialność za przyszłe losy tego nieszczęśliwego chłopczyny... Odwołuję się do pańskiej szlachetności, miłosierdzia... Czy opuścisz go tak, samego, na wieczną tułaczkę i zatratę?...

Prosper słuchał tej gorącej przemowy w mil-

czeniu, coraz bardziej zamyślony i surowy, wreszcie rzekł krótko:

— Tak, czy nie? — pytam ostatecznie. — Prawo jest za mną, lub przeciw mnie?

A widząc, że sędzia, zamiast odpowiedzi, pochyla ze smutkiem głowę, skłonił się i wyszedł z pokoju bez jednego słowa więcej.

— Czyń swoją powinność! — odezwał się wtedy starzec do woźnego, a w głosie drżała mu struna silnie odczuwanego bólu.

Tego samego wieczora Forgeat, któremu drugie imię, t. j. Krystyna, w księgach i wyroku zapisano, sierota bezdomny, wysłanym został do Kolonii rolnej Plateau, w departamencie Marne-et-Oise.

. . . .

X.

— Na miejsca! Stać!

Ta wojskowa komenda dana była gromkim tonem przez młodego, piętnastoletniego wyrostka, który pełnił obowiązki podmajstra w warsztacie szczotkarskim, coś, jakby kapral w kompanii, noszący już żółte naszewki. Pan dyrektor Kolonii w Plateau, t. j. Osad rolnych dla nieletnich przestępców, ma właśnie odbywać przegląd codzienny.

Chłopcy z ostrzyżonemi głowami, wzrokiem tępym, cerą ziemistą, jakiej zwykle nabywa się w więzieniach, stoją nieruchomo przy swoich stolikach, w pozycyi żołnierzy podczas rewii, bez broni, ale z ręką na szwie pantalonów.

Kolonia ta nie jest wyłącznie rolną; kształcą się tu zesłańcy we wszystkich rzemiosłach.

W epoce jej założenia myślano tylko zajmować dzieci pracą około roli. Powagi, których nazwiska wymieniane są w prasie zawsze z dodatkiem „znakomity, wybitny“ i t. d.— ekonomiści, którzy po długich podróżach od pierwszego do ostatniego krańca Europy w tym humanitarnym celu, zostali następnie członkami Akademii — statystycy, zdolni obliczyć z zadziwiającą dokładnością komsumcyę wszystkich osad tego typu, na kuli ziemskiej—filantropi, przejęci najlepszemi chęciami — ludzie rozumni i kompetentni na każdym punkcie, zgodzili się wreszcie na jedno, że aby dzieci skłonne do włóczęgi i kradzieży zmieniać stopniowo w świętobliwe istoty, trzeba ich zetknąć z przyrodą—wychowywać na wsi.

Ogłoszono i wydrukowano w tej materyi mnóstwo zawiłych raportów, pamiętników, szkiców, od których zalatywała z daleka woń sielanki. Wirgiliusz, Teokryt, Jakób Delille, jakkolwiek trąciło to już nieco anachronizmem,

ukazywali się w tej humanitarnej pracy w roli przewodników duchowych. Officyalne, niezaprzeczeczone twierdzenie występowało jak na dłoni, czarno na białem: przestawanie z naturą czyni człowieka cnotliwym, daje mu moc oparcia się wszelkim pokusom, i ostatecznie uszlachetnia jego charakter.

Samej zasadzie nikt z nas nie odważyłby się zarzutów stawiać, szkoda tylko, że piękną teoryę od wprowadzenia jej w życie dzieli przepaść niezgłębiona!...

Opierając się na tej podstawie, administracya zakupiła kilkaset hektarów ziemi ornej w departamencie Marne-et-Oise, płaszczyznę wyniosłą, nie osłoniętą żadnym nawet zagajnikiem, po której wiatr wyprawiał szalone harce w każdej porze roku. Uczeni panowie zacierali ręce z zadowolenia. „Dużo świeżego powietrza, to grunt—rzecz wyborna!“

Po wystawieniu budynków, czego przedsiębiorcy jęli się za grube forszusy i pewne uboczne dochody do rąk własnych, jak przystało na pośredników dzieła filantropijnego, znaczną ilość ubogiej dziatwy z przedmieść i zaułków miasta, bladej, anemicznej, zapędzano każdego dnia, bez względu na temperaturę i pogodę, do szpadla, motyki i pługa. Ale rezultat okazał się wcale niepomyślnym.

„Świeże powietrze“ przyprawiło coś około tuzina przymusowych rolników o chorobę płuc, tak że musiano ich umieścić w zakładowym szpitalu, a reszta, niby wytrwalsza, pracowała w dalszym ciągu, jałowiąc skutkiem nieudolnych wysiłków ten i tak niebogaty w urodzajność kawałek ziemi.

Trudno było inicyatorom wspaniałego projektu przyznać się do pomyłki Nie odstąpiwszy więc od systemu całkowicie, porobiono w nim niejakie ulepszenia i zmiany. Przerzedzone kadry zapełniły się rychło nowymi, gruboskórniejszymi kandydatami do uprawiania ojczystej gleby, a dla słabszych urządzono warsztaty rękodzielnicze. Zadudnił młot w kuźni, świstały heble stolarskie, stukały lekko młoteczki szewców w skórę. Pomysł był dobry. „Zamknięmy cię nicponiu, przez lata całe w tej budzie, ale za to, gdy stąd wyjdziesz, będziesz miał fach w ręku. Jeżeli chcesz zostać uczciwym i pracowitym człowiekiem, pole masz ku temu otwarte“. Na nieszczęście, i ta myśl została wypaczoną.

Ponieważ małym paryżanom nie zbywało ani na zręczności, ani na sprycie, wnet administracya osady w Plateau postanowiła wyzyskać na własną korzyść ich roboty, przyjmując zamówienia tylko w zakresie przemysłu zdobniczego, który we Francyi ma tak duże zastosowanie i popyt.

Zamiast produkcyi utylitarnych, mogących dać pewny kawałek chleba przyszłym rzemieślnikom, uczono wyrobu galanteryi, lalek, zabawek i fraszek różnego rodzaju. Następnie pokazały się nadużycia w oddziale gospodarczym, gdzie dostawcy, w porozumieniu z zarządem, wywiązywali się wprost haniebnie z zawartej umowy. Nikt nie zdawał się widzieć, że dzieci cierpią głód, albo chorują z powodu złego gatunku artykułów żywności.

Dyrektor, zdoznawszy zawodu w karyerze politycznej, przyjął to podrzędne stanowisko od byłych swoich kolegów, jako synekurę, mogącą mu napchać kiesę z podwójnego źródła: podwyższenia budżetu administracyi ze strony państwa, i sprzedaży wyrobów miejscowych, którą według prawa należało obracać na zapomogę dla biednej dziatwy. Ta ostatnia, naturalnie, uskarżać się głośno nie mogła, ale państwo spostrzegło się, że go w niecny sposób okradają.

Wybuchnął skandal. Były ankiety i interpelacye w Izbie. Kilka figur umocowanych podążyło do kolonii z wyraźnem oburzeniem, aby napiętnować nikczemne postępowanie Zarządu i ukrócić jego samowolę.

Usłużni wspólnicy jednakże uprzedzili na czas pana dyrektora. Stawił czoło komisyi rewizyjnej, z miną Napoleona I na biwaku, wyka-

zując rachunkowość jasną i czystą jak łza, i zapraszając członków na obiad, który dziwnym trafem był tego dnia doskonały. Pełnomocnicy zjednani, ugoszczeni, powrócili do Paryża w rzewnym nastroju. Sprawozdanie ich uspokoiło do tego stopnia ministra, że na posiedzeniu Izby dał obraz kolonii rolnej w Plateau malowany różowemi barwami, które przypominały pasterskie idylle Floriana; deputowani zaś, na wylocie już do swoich okręgów, bo czas wyborów się zbliżał, zawotowali wszystko, czego od nich żądano.

Pomimo odniesionego zwycięstwa, skompromitowany potrosze dyrektor otrzymał inną posadę, a z obawy powtórnej a niespodziewanej inwazyi, wyjechał aż do Indo-Chin na nowe podboje i łupy, i tam, zdala od argusowych oczu rządu, zbierał, o ile się dało, złote runo na czarną godzinę.

Kolonia szła kulawo zawsze.

Dzieci umierały jak zatrute muchy. Ze zbiorów wydajność była minimalna, a sławne warsztaty nie przynosiły żadnego dochodu.

Rzecz prawdziwie niepojęta!

Dokoła stołów ministeryalnych przebiegł znów szmer niezadowolenia.

— Główna przyczyna—odezwał się któryś z obecnych dostojników—leży w tem, że w Pla-

teau niema sprężystej administracyi. Tam kierunek powinnaby objąć dłoń żelazna.

Zasady liberalne, systemy demokratyczne,— nic się w naszej respublice nie ostoi bez tej pięści naczelnej!. Ażeby przywrócić ład i pomyślność w tym zakładzie karnym, który chylił się do upadku, poszukano odpowiedniego kierownika, i o dziwo! wnet znalazł się taki człowiek opatrznościowy. Rozumie się, że popierało go tylko ośmiu senatorów, czternastu deputowanych, a przez szczególny zbieg okoliczności był on bliskim krewnym damy serca jakiegoś ministra.

Kapitan Caillou, nomen omen, mający kamień w miejsce serca, po dwudziestu pięciu latach dzielnej służby w Afryce, jako dowódca dyscyplinarnego batalionu, gdzie odznaczył się wyjątkową srogością przy ujarzmianiu buntowników, i barbarzyńskiemi igraszkami z miejscowym elementem, przeszedł w spoczynek, i nagroda go też za to nie minęła. Ten pogromca murzynów miał ową rękę żelazną, która niebawem nad nieletnimi przestępcami zaciążyła.

Poprzednikowi jego można było zarzucić chciwość, niedbalstwo, brak przejęcia się obowiązkami, ale temperament miał łagodny i nie dręczył nikogo przez złą wolę. Tymczasem żołdak w rodzaju kapitana Caiilou, zna jedynie regulamin, karność wojskową, i od nich ani na

jeden włos nie odstępuje. Powierzono mu to stanowisko, ponieważ należał do rzędu ludzi energicznych, bez skrupułów, ślepo trzymających się instrukcyi. Zdawało mu się, że sumiennie pełni swoją powinność, jeżeli opornego chłopca każe wtrącić do loszku, albo włożyć mu kaftan, przeznaczony dla furyatów. Dobrał też sobie ze trzydziestu pomocników z pomiędzy dawnych swoich podwładnych, względem których okazywał się raz nadzwyczajnie surowym, to znów szczególnie pobłażliwym. Za kradzież garstki kartofli wszyscy np. stróże byli odpowiedzialni i karani, a gdy jaki gwałtownej natury dozorca zbił w chwili uniesienia dziecko aż do utraty przytomności, kapitan patrzył na to przez szpary. Takie było u niego bezkrytyczne poszanowanie wszelkiej władzy.

Oczywiście, młodzi wychowańcy kolonii w Plateau nie oblekali się dobrowolnie w skórę baranków. Po większej części ofiary jakiejś dziedziczności fatalnej albo występnego otoczenia, przedstawiali oni materyał niezmiernie trudny do urobienia. Jedynie za pomocą nieubłaganej stanowczości trzymało się ich w jakim takim rygorze i posłuszeństwie; niemniej te drzemiące a często znieprawione dusze miały poczucie sprawiedliwości. Nawykli do złego obchodzenia się w rodzinie i więzieniu, znosili z poddaniem choćby najsurowsze, byle zasłużone kary, ale

tyrania i despotyzm niższej kategoryi dozorców budziły w nich nieprzepartą chęć odwetu. Tym sposobem egzystencya nieszczęśliwych chłopców stawała się coraz okropniejszą, prawie że nie do zniesienia.

Bo też i zastanówmy się, z jakiej to sfery rekrutować można ludzi do tej czynności? Czuwania nad zgrają chłopców występnych podejmują się tylko ci, którzy w pewnym stopniu potrzebują za osobiste krzywdy, od losu czy społeczeństwa doznane, wywierać zemstę, i z prześladowców stać się katami! Ale gdzież szukać innych?

Człowiek z wysoką inteligencyą i sercem wrażliwem na cierpienia dziecięce potrafiłby jedynie spełnić to wzniosłe zadanie. Ileż ono wymaga dobroci, cierpliwości, rozumu i poświęcenia! Święty, ach, tylko święty zdolny, jest wcielić te cnoty w życie!... Niema już wpośród nas Wincentego à Paulo!

Pozostali w zamian strażnicy więzienni.

— Na miejsca!... Stać!...

Po cywilnemu już, w starym, wyszarzanym surducie, ale z czapką mundurową na głowie, w postawie groźnej, p. dyrektor kolonii, kapitan Caillou zjawia się na progu warsztatu, numer 6. Towarzyszy mu były podoficer, ponury, wyprostowany jak struna. Dwunastu chłopców, którym kształcą tu umysł i serce, pozwalając im

wyrabiać szczotki, zgrzebła i t. d., praca paskudna—mówiąc nawiasem,—ustawiło się natychmiast w szyku wojskowym—nieruchomi i jak kołki. Ani jeden muskuł nie drgnie w ich twarzach.

Zaledwie, od czasu do czasu, ociężałe powieki podniosą się na sekundę i spadną, przysłaniając wzrok niespokojny. Dyrektor robi przegląd swoich pupilów, i na każdym z osobna kolejno spoczywa jego spojrzenie Meduzy, które krew ścina w żyłach. Możnaby przypuścić, że jest on dzisiaj wyjątkowo niezadowolony. Nie. Pan dyrektor bywa zawsze niezadowolony, wieczna groza bowiem stanowi integralną część jego systemu pedagogicznego. Obecnie jednak środek ten, skutecznie wyprobowany w innych razach, celu nie osiąga, gdyż wedle regulaminu, oczy chłopców spuszczone być powinny.

— Krystyn Forgeat... Ludwik Râfle...—odzywa się głos zachrypnięty od nadużywania napojów alkoholowych—wystąpcie z szeregu!

I dwaj przestępcy zatrzymują się na trzy kroki przed panem dyrektorem.

Krystyn — bo tak go odtąd będziemy nazywali—od lat sześciu już przebywa w osadach rolnych w Plateau. Kończy właśnie rok czternasty, i nauki elementarne; notowany zawsze jako dobry uczeń, a za słaby do ciężkiej pracy

na roli, umieszczony został w warsztatach. Mimo nader szkodliwych na rozwój młodocianego organizmu warunków, chłopiec ten, nieprawe dziecię miłości, ładną ma powierzchowność, rysy delikatne, zęby białe, a nadewszystko duże czarne oczy, w których przebija się męzka prawie energia i przedwczesna powaga—spuścizna po nieznanych mu ojcu i dziadku Lescuyer. Dość wysoki na swój wiek, wyróżnia się między towarzyszami pewnym wdziękiem obejścia; szkoda tylko, że cokolwiek kuleje.

Dość dawno temu, jeden z dozorców brutalnem kopnięciem złamał mu nogę. Nikczemnego sługę oddalono dopiero po innych objawach dzikości, ale Krystynowi pozostało kalectwo na resztę życia.

Zupełnie odrębny typ przedstawiał Ludwik Rafle, z głową wielką i szpiczastą jak głowa cukru, rękami grubemi niby łopaty, fatalnym zezem i skrofuliczną szyją.

— A! jesteście, moje zuchy — huknął Dyrektor. Ciągłe bijatyki... Podobno wczoraj, podczas rekreacyi, o małoście sobie nosów nie poodgryzali?

Była to prawda, niestety!

Rafle nienawidzi Krystyna Forgeat, nienawiścią idyoty, potwora zazdroszczącego towarzyszowi swemu inteligencyi, dziecięcej naiwności i prostoty. W jego tępej mózgownicy tkwi

jedna myśl, że gdy tamten, opuściwszy kolonie, wejdzie, jako człowiek wolny, w sferę ludzi porządku i pracy, on zostanie nazawsze pensyonarzem kryminału, zatraconym potępieńcem! Wczoraj znieważył Krystyna jakiemiś obelżywemi słowami, i skoczyli sobie do oczu, jak dwa zaperzone koguty, aż ich dozorca rozdzielić gwałtownie musiał.

— Niech wam się nie zdaje — zaczyna znów kapitan Caillou — że ja myślę dociekać powodu waszej bójki... okłamalibyście mnie po swojemu... Nie mogę tylko pozwolić na tego rodzaju wybryki w naszej kolonii. A chociaż Forgeat sprawia się wcale dobrze, pójdziecie razem na cały dzień do kozy... To was powinno uspokoić... Gdyby się awantura miała powtórzyć, pamiętajcie, że jest i loszek w zapasie... A teraz, marsz!..

Chłopcy idą obok siebie, z miną apatyczną, obojętną. Przyzwyczajeni są do tych kar, stosowanych niesłusznie, na chybił, trafił.

Grube usta Ludwika Râfle wykrzywia zjadliwy uśmiech tryumfu.

— A widzisz, panie mędrku — pomrukuje do ucha towarzysza niedoli — na co się zdało twoje wzorowe sprawowanie?

Dwa są obozy między mieszkańcami Osady karnej, dwa nieprzyjacielskie obozy. Nale-

Władysława Rudzińska

żący do nich mają właściwe, t. j. odrębne przydomki, których niepodobna oddać w obcym języku. *Pante*, w ich gwarze, oznacza ofiarę, albo niedołęgę. *Mariolle* — to taki, co potrafi radzić sobie w każdej biedzie. Opatrzony, jakby na pośmiewisko, tą nazwą chłopak poddaje się bez oporu najsurowszemu rygorowi, usiłuje być pilnym, pracowitym i posłusznym. Niekiedy, ale są to rzadkie wypadki, *pante* jest obłudnikiem, który, udając przed zwierzchnikami pokorę, prześladuje i zdradza drugich biedaków.

Krystyn Forgeat nie należał do żadnego obozu, ale łączył się chętnie z maleńką garstką tych, co odnaleźli w sobie siłę do oparcia się pokusom, podszeptom, przykładom ze strony spodlonych towarzyszy, i barbarzyńskiej metodzie poprawy, którą do wszystkich zarówno aplikowano.

Trafiały się wypadki, że z tych dzieci zdeprawowanych — jakżeż to ciężko postawić podobny pewnik w dzisiejszej epoce — wyrabiali się pożyteczni i dzielni obywatele kraju, nawet szermierze wolności. Wiem np. o jednym, który walczył mężnie o niepodległość bratniego narodu. I należy im się też za to pokonanie zbrodniczych instynktów, wytrwałą pracę nad ukształceniem własnego charakteru, silną wolę i przebyte męki, najwyższy szacunek i nieledwie cześć nasza!

Co zaś do *mariolles'ów*, to stanowią oni kategoryę niepoprawnych, wiecznych buntowników. Jak owoc nadpsuty w zetknięciu ze zdrowym zaraża go swoją zgnilizną, tak ci wykolejeni wszedłszy do Osad karnych występnymi w zarodku, opuszczają je prawie już jako dojrzali, niebezpieczni złoczyńcy.

Jestto historya wszystkich niemal nieletnich przestępców, i fakt godzien potępienia, że narzucając im, skutkiem wadliwości systemu, wspólność bezwarunkową, te poprawcze niby zakłady bywają rozsadnikami złodziei i morderców, i deprawacyi lepszego elementu.

To młodziutkie pokolenie, zamknięte przez szereg lat w nadziei—o! bardzo słabej—umoralnienia i dla celów kulturalnych, pewnego pięknego dnia otrzymuje swobodę zupełną, z której w najgorszy sposób korzysta.

Filantropia opatentowana, bądźcie tego pewni, wzięła już pod uwagę ten opłakany stan rzeczy i wymyśliła lekarstwo gorsze od choroby: system celkowy.

Czy pojmujecie znaczenie tego wyrazu? Dzieci, te rośliny, które do życia potrzebują: światła, powietrza i ciepła, dzieci te skazane są na samotność ciągłą i absolutne milczenie. W więzieniach prewencyjnych odosobnienie stosują, jako karę krótkoterminową; w La Roquette np. można spotkać się z żałosnym wzro-

kiem malca, któremu wolno, jak waryatowi, patrzeć przez okratowane okienko jedynie.

Doprawdy, że włosy od tego powstają na głowie.

Chłopcy siedzą zazwyczaj na drewnianym stołku, przed dużą deską, przytwierdzoną do ściany, i dłubią jakieś ręczne roboty. Nawet w niedzielę i święta, podczas nabożeństwa, schowani są pojedynczo, rozumie się, w szczególnego rodzaju budkach, zkąd widać tylko postać celebrującego księdza. Z tej przyczyny kaplica więzienna w La Roquette stanowi jedną z osobliwości Paryża. Zawszeć to jest narzędzie i miejsce tortur, nie gorsze od wielu innych.

Kiedy się sądowe i opiekuńcze, instytucye przekonały, ile złego system celkowy za sobą pociąga, powrócono do wysełania bezdomnych włóczęgów na kolonie rolne. Zsypano na jedną kupę zgniłe jabłka.

Wiadomo, że zaradzenie tej nędzy duchowej i materyalnej, skutecznie i szybko, jest czystą mrzonką i niepodobieństwem.

Nie chciałbym być niesprawiedliwym. Wierzę w humanitarnych pedagogów z dobrą wolą i umysłem jasnym, bez uprzedzeń. Oni to układają znakomite reguły, tworzą genialne plany, wyczerpują kwestyę — na papierze — do dna. Ale praktyka dowodzi, że z postępem czasu i wyobrażeń wszystko musi uledz zmianie ra-

dykalnej. To, co się widzi w praktyce, to poprostu ohydne. To są galery—nie cofam wyrażenia — galery, w których niepoczytalne przeważnie istoty przechodzą wszelakie męki: fizyczne i moralne!...

Ponieważ Ludwik Râfle i Krystyn Forgeat poczubili się na ostro, jak to często się zdarza między chłopcami, pan dyrektor naznaczył im kozę, czyli tak zwaną w języku miejscowym—izbę dyscyplinarną, coś w rodzaju szopy pustej, obszernej, gdzie dzieci, w obecności dozorcy, muszą przez dwanaście godzin z rzędu maszerować krokiem wojskowym.

Przerwę stanowi tylko pół godziny przeznaczone na obiad. Jeszcze jeden pomysł chybiony. Filantropia, odrzuciwszy kary hańbiące, zastąpiła je męczarnią.

Najzuchwalsi, najbardziej zbuntowani przestępcy lękają się tej izby, jak ognia; wolą iść do loszku na chleb i wodę, bo tam można usiąść i zdrzemnąć się choć przez chwilę. Cicho, spokojnie, nikt nie następuje na pięty—ani dozorcy, ani komendy; niema konieczności tego ruchu miarowego na przestrzeni kilku łokci kwadratowych, który w słabszych organizmach nerwowe wstrząśnienia wywołuje.

Z obawy takiej kary, niejednokrotnie skazany usiłuje popełnić czyn o wiele gorszy, aby dostać wyrok zamknięcia w lochu.

Jeżeli sprzeczka z dozorcą kwalifikuje np. do kozy, toż daleko lepiej uderzyć go, albo w twarz mu plunąć, gdyż za tem idzie wyższy stopień pokuty.

Zaiste, metodę podziwiać należy!.. Wynikiem jej bezpośrednim bywa popychanie dziecka ze złemi skłonnościami na drogę występku. Byłoby to prawie komiczne, żeby nie było tak straszne!...

XI.

Na kamiennej podłodze izby saboty stukają, ciężko, rytmicznie. Jeden za drugim, trzydziestu chłopców maszeruje bez ustanku. Krystyn, ostatni z rzędu, kulejąc trochę, opóźnia się mimowoli.

— No, dalej, ciuro! — krzyczy dozorca ze swojej ławki w pośrodku szopy—baczność, nie opuszczać kątów!..

Bo ci wieczni tułacze oszukują istotnie niemiłosiernego zwierzchnika. Przy zawracaniu w przeciwną stronę, dobrze choć kilka kroków sobie oszczędzić.

A tu pędzą, pędzą, mimo wyczerpania tych nóg zbolałych, do krwi czasem pościera-

nych, mimo że muskuły karku tężeją, a w mózgu szum i chaos nieopisany.

Twarz każdego skazańca odzwierciedla to, co się w jego duszy dzieje na tę chwilę. Nie są oni sympatyczni z tym dzikim wyrazem oczu, z tą tępą bezmyślnością na czole. Ale nie odmawiaj im współczucia i litości swojej, dziatwo wolna i szczęśliwa! O cierpieniach tego rodzaju chyba zmora senna da wam kiedy przybliżone pojęcie.

Zmożony monotonią chodu, Krystyn zaczyna marzyć na jawie; przesuwają mu się przed oczyma wyobraźni ubiegłe lata niewoli, nieskończenie długie, a pełne wrażeń przykrych, dojmujących.

Widzi się dziewięcioletnim malcem, którego wraz z wielu innymi przywożą do Kolonii. Od początku wstręt mu sprawiają te koszarowe budynki, tak przeraźliwie symetryczne, ta kaplica, raczej do jarmarcznej budy, niż do kościoła podobna, ten widok równiny Plateau, jednostajny, smutny, bezkresny. Przypomina mu to wszystko do złudzenia wzorki drzew i domów, które rysował w szkole na marginesach kajetów. Ale już zaprowadzony jest do kancelaryi. Rozbierają go tam do naga, oglądają, ważą i mierzą, jak rzecz, jak bydlątko na sprzedaż, następnie kładzie na siebie worek płócienny z numerem.

Jakiś pan zapisuje w dużej księdze jego nazwisko: Krystyn Forgeat. Przecież nań inaczej wołano.

— Mój ojciec jest cieśla, i nazywa się Prosper Aubry, tak samo, jak ja—protestuje dziecko.

Sekretarz rusza ramionami, przewracając karty księgi.

— Nazywasz się Forgeat... a Aubry, to człowiek, który żył tylko z twoją matką, a ciebie się wyrzekł, rozumiesz, i miał do tego słuszne powody, zdaje mi się...

Chłopiec nie rozumie nic, ale go te odkrycia w zdumienie wprawiają. Jakto? Ten prześladowca, co bez przyczyny znęcał się nad nim, nie jest jego ojcem?...

A więc tem lepiej! Wolno mu teraz dać folgę swojej nienawiści...

Jednakże ta różnica, to określenie: „Człowiek, który *tylko* żył z twoją matką,“ przejdą niezadługo do świadomości Krystyna, słyszy je bowiem ciągle, ze wszystkich stron. I na tem jeszcze nie koniec. Bezwstydni jego towarzysze pośpieszą objaśnić mu znaczenie podobnego stosunku, źródło nieprawego urodzenia i niestartą plamę, jaka ciążyć będzie na przyszłości tego znajdy, sieroty! Pozna on aż nadto wcześnie tajemnice sromotne żądz ludzkich i niskie popędy zawiści, która zatruć najczystszą atmosferę potrafi.

Pamiętajmy, że Krystyn niema jeszcze lat dziesięciu.

Myślę o tobie, synu uczciwych, szlachetnych rodziców, którzy rozumnie i z miłością cię chowając, czuwają nad tobą nawet w czasie snu. Ileż to razy przewidujący ojciec lub troskliwa matka kładą dłonie na twojem rozpalonem czole, śledzą bieg budzących się zmysłów. Jak roztropne i ostrożne są ich odpowiedzi, gdy zadajesz zbyt ciekawe pytania; jaką pociechę sprawia im twoja naiwność i niedoświadczenie! Patrzą z rozkoszą na kwiat wybujały w ich oczach, który śnieżnego pyłku dotąd nie utracił.

Od nędz tego świata uciekam i garnę się do ciebie, dziecię błogosławione i ukochane!.. Wierzaj mi, że i pomiędzy temi zbłąkanemi ofiarami znajdują się często, równie jak ty, niewinne istoty, z duszą nieskalaną, sercem gorącem.

Ale nieudolna ręka najemnika podnosi tę perłę i ciska ją we wspólne śmietnisko!

I znów po latach kilku, Krystyn widzi się w infirmeryi, na wygodnem, bielutko zasłanem łóżku, z nogą obandażowaną i w łupki ujętą. Wyrywając się jakiemuś dzikiemu oprawcy, dostał tak silną kontuzyę, że go musiano, bezwładnego, oddać pod opiekę lekarza. Kuleć naturalnie będzie już zawsze, ale za to wypo-

czywać mu wolno w pokoju jasnym, ciepłym, i radby, aby ta choroba mogła trwać jaknajdłużej.

Przytem, jest teraz ktoś, co go kocha, przychodzi doń prawie codziennie, siaduje u jego wezgłowia ze słowami serdecznemi i spojrzeniem dobrotliwem. To Szymon Benoit, nauczyciel w kolonii, suchotnik, który już bez głosu prawie, z największym wysiłkiem pełni swoje obowiązki. Przeznaczono go do Plateau, bo dla małych przestępców to i taki belfer dostateczny. Przed śmiercią — biedak przeczuwa swój blizki koniec—pragnąłby jeszcze uratować w tej otchłani piekielnej choć jedną duszę od zagłady. Z gromady dzieciaków, które go otaczają, Krystyn Forgeat wyróżnia się inteligencyą i szczerością, więc on będzie tym wybranym. Podobnie, jak w przygasłem ognisku rozdmujemy własnym tchem tlejącą jeszcze iskierkę, aby płomień podsycić, tak ten dogorywający człowiek stara się rozbudzić drzemiące sumienie chłopca, wpoić weń zasady prawości, honoru, cnotę i bojaźń Bożą!

O! Krystyn nie zapomni nigdy swego jedynego przyjaciela, tej postaci zgarbionej przedwcześnie, o zapadłych policzkach i woskowej cerze, która schylała się razem z nim nad jakąś potajemnie otrzymaną książką, czerpiąc z niej otuchę i karm dla umysłu.

Wszystkie te lata stają szeregiem przed pamięcią udręczonego malca, a niema w nich ani jaśniejszego promyka, ani chwil radosnych. Ze zgonem nieszczęśliwego nauczyciela usunęła się z pod stóp Krystyna ostatnia podpora; pogardzany przez towarzyszy „*mariolles*,“ zrażony do tych niby lepszych za ich obłudę i cynizm, żywi się okruchami myśli, ziarnem, które w jałowy grunt jego serca siał niestrudzony a szlachetny pracownik i dobroczyńca.

Jakżeż długo trwa okres jego nieszczęśliwego dzieciństwa! A co pocznie ze sobą później?

W ośmnastym roku życia wychowańcowi kolonii Plateau służy prawo wybrania sobie zawodu. Wszyscy z tego korzystają, zaciągając się przeważnie do armii; służą albo w marynarce, albo w garnizonach wysełanych do Afryki. W porównaniu z tutejszym systemem dyscyplinarnym, rygor wojskowy wydaje im się lekki i pożądany. Sztandar pokrywa sobą najmniej nawet czystą przeszłość; w ogniu bitew przetrawia się wszystko! Ale Forgeat, jako kaleka, żołnierzem nie zostanie, do rzemiosła małą ma zdatność, więc z trwogą oczekuje tej rzekomej swojej wolności. Kilkadziesiąt franków w kieszeni—kwota, którą składa zarząd dla każdego, co pracował i służył tu wytrwale — i świadectwo z pobytu w osadach karnych — oto jedyne

ułatwienie i legitymacya na wstępie do nowego, samodzielnego życia.

Uczuwszy się na bruku po raz wtóry, bez doświadczenia, znajomości warunków bytu, bez przyjaciela, rodziny, bez jednej życzliwej duszy, gdzie znajdzie biedak robotę, choćby prostą i najlichszą—do jakich drzwi może zakołatać?

Gdy zwierzał się kiedyś Szymonowi Benoit z tych obaw, tamten, beznadziejnie już chory, dawał mu ostatnie rady i wskazówki:

— Wiem, że wyjdziesz ztąd samotny, podwójnie osierocony, bo ja rychlej jeszcze ten świat opuszczę. Ale słuchaj, Krystynie drogi, nie trzeba tracić odwagi; więcej tobie, niż komukolwiek innemu, ona się przyda. Przedewszystkiem bądź uczciwym człowiekiem. Niech na imię twoje nie padnie żadna plama! Strzeż się ludzi podłych, zhańbionych, choćby ci złote góry obiecywali. Ucieczki w nieszczęśliwem położeniu szukać należy tam, gdzie ją znaleźć istotnie można, t. j. w pracy i duchowym rozwoju. Nie umrę spokojny, dopóki mi nie przyrzekniesz bezwarunkowego posłuszeństwa!...

O, tak! Krystyn przyrzekł, i słowa dotrzyma! Będzie spożywał swój chleb w pocie czoła, ale na manowce nie pozwoli się nigdy sprowadzić!

Chłopiec roznamiętnia się w głębi serca, wzrusza drogiem wspomnieniem, wlokąc z trud-

nością nogi uwięzione w ciasnych chodakach. Ramiona mu obwisły, głowa się pochyliła, do oczu napływają gorzkie, jak piołun, łzy...

Nagle otworzono drzwi z jakimś niezwykłym impetem, i ukazuje się w nich główny nadzorca.

— Halt! Wszystkie kary są zniesione... Idźcie włożyć nowe trzewiki i mundury pierwszej klasy... Ma się sformować batalion. A żywo... Hej!..

Co się dzieje? W każdym razie, coś osobliwego.

Oto ważna figura, inspektor generalny, w pięknym angielskim surducie, z oślepiająco czerwoną wstążeczką w butonierce i połyskującym cylindrze, przyjechał prosto z Paryża.

Dalibóg! Doskonale trafia ten dygnitarz!

Dziś Plateau ma wygląd odstraszający. Na listopadowem niebie kłębią się nisko czarne chmury; błoto wszędzie nieprzebyte, jak na końskim targu. Pensyonarze ubrudzeni, zziębnięci, drżą w swoich płóciennych bluzach. Z kuchni dolatuje skwierczenie łoju, którym zarazić by można całą okolicę!

Proszę siadać. Pan dyrektor głowy nie straci. To, czem najbardziej brzydził się przez całe życie, to śmieszną czułostkowością ludzi cywilnego stanu. Obecnie, na swojem stanowisku, wykaże zwykłą zręczność i sprężystość

przed tym elegantem, który, bądź co bądź, jest jego szefem, i oszczędzać mu przykrych wrażeń należy. Aby pobielić ten grób, co się nazywa zakładem, i nadać powierzonym sobie pupilom pozór przyzwoity, wieleż potrzeba czasu? Najwyżej pół godziny. Gdyż, Bogu dzięki, wszystko tu idzie, jak na kółkach. Kapitan Caillou zajmie dostojnego gościa kwestyami ubocznemi, a podwładni, znakomicie wyćwiczeni, dokonają szybko zmiany dekoracyi.

Zaledwie z odpowiedniemi atencyami wysadzono z powozu pana inspektora — a postać to wspaniała, trochę przyciężka — wnet wprowadzonym zostaje do osobnego gabinetu na chwilowy odpoczynek. Chwilowy tylko, kapitan bowiem, znając swoje obowiązki, jako wysłużony żołnierz, pragnie przedstawić mu księgi rachunkowości. Bilans roczny gotów; ani na jednego centyma omyłka się nie wkradnie. Zresztą, to są rzeczy do sprawdzenia.

I sapiący cokolwiek, z powodu astmy i otyłości, pełnomocnik, nałożywszy na nos binokle w szczerozłotej oprawie, bierze równie seryo swoją misyę, odczytuje cyfry, dodaje niektóre pozycye, i łaskawym tonem szepcze od czasu do czasu: „Dobrze, bardzo dobrze!“

Wtedy następuje pora wysunięcia na pierwszy plan — dywersya to konieczna dla czynności bieżących — zasług pana dyrektora,

który skromnie głosi: że nigdy jeszcze Osada rolna w Plateau nie była w tak pomyślnych warunkach, że śmiertelność u dzieci znacznie się zmniejszyła (czysta prawda, bo od dawna wielu słabszych chłopców opuściło ten padół płaczu), że cnota na równi z kulturą ziemi rozwija się znakomicie, że zbiór ziarna i jarzyn dał nadspodziewane plony, że, nakoniec, moralny poziom młodych przestępców podniósł się w sposób pożądany.

— Bardzo dobrze! — przytakuje inspektor generalny potężnym basem, który mógłby zdumiewać nawet na scenie Wielkiej opery, w rolach np. arcy-kapłanów, i ogląda się mimowoli.

Jak prędko czas upływa; owe pół godziny dawno się skończyło. Wypada zacząć zwiedzanie zakładu.

— Jeżeli pan inspektor nie czuje się zmęczonym, to może raczy obejrzeć warsztaty?...

Naturalnie, jest odpowiedź twierdząca.

Idą więc najpierw do kuźni, gdzie tysiące wesołych iskier sypie się z pod rytmicznie uderzających młotów, a purpurowe refleksy ognia padają na blade twarze młodocianych pracowników, użyczając im pozoru zdrowia i fałszywego rumieńca; następnie przychodzi kolej na warsztat szczotkarski, nader zyskowny dla administracyi. Tu znów uczniowie mają się czem pochlubić, mianowicie portretem naczelnika

kraju, zrobionym z włosia —istotnie rzadki objaw mrówczej pracy.

— A to rzeczywiście oryginalna robota!— uprzejmie odzywa się wizytator.

Wtem do uszu jego dolatują chrapliwe a ostre dźwięki muzyki na jakichś dziwnych instrumentach. Ma to być Marsylianka, grana przez miejscową orkiestrę.

Zdarzają się niekiedy przyjemne niespodzianki.

Oto w głównej alei, dziatwa uszykowana w szeregi, prezentuje broń (drewniane fuzyjki) przed panem inspektorem, który krzyknął z podziwu.

— Stać! — zabrzmiała komenda kapitana Caillou, pragnącego popisać się mustrą swoich wychowańców.

Wistocie, widziani zdaleka, w gromadzie, z kepi nasuniętemi na ucho, ubrani w nowe bluzy, paski skórzane, mocno obciśnięte i połyskujące, doczyszczone buty — wyglądali dosyć pokaźnie i świeżo, jak z pudełeczka.

Pan inspektor, znany z tego, że o dwadzieścia kroków człowieka od kamienia trudno mu odróżnić, nie potrafi też i teraz dostrzedz cech chorobliwych, piętna występku, albo znieprawienia u tych istot zwyrodniałych.

Ci surowi augurowie nie chcieli w tem wszystkiem, niestety, uwzględnić punktu naj-

ważniejszego: że to były tylko dzieci, dzieci nadmiernie nieszczęśliwe!...

— Baczność!.. Formować kolumnę na prawem skrzydle!... Prawo!... Na ramię broń!.. Prawo!... Naprzód!... Marsz!...

Liliputcia armia wykonywa te rozkazy ze znakomitą ścisłością. Jakiś chłopak—ex-złodziej kieszonkowy—długi, jak tyka, pełni funkcyę dobosza i wali z całej siły w bęben laską w niklowej oprawie; zachrypnięci trębacze grzmią fanfarę, która przypomina sławny taniec szkieletów. Oddziałki defilują razem i z osobna, w wojennym ordynku, powiewają sztandarem, z marsowemi minami, zdając się brać na seryo tę benefisową sztukę. Lubo w postaci, ani w temperamencie pana inspektora niema nic wojskowego, ta cudaczna parada, na jego cześć urządzona, pochlebia mu w pewnej mierze i nadaje jakoby stopień generała-dowódcy. Przywołuje on tedy „kapitana“ i w kilku słowach objawia swoje zadowolenie:

— Twoi podkomendni, kapitanie, robią takie obroty, jak prawdziwi żołnierze na manewrach.

Wdzięcznym ruchem salutuje schylającą się przed nim chorągiewkę, i przypomniawszy sobie przedstawienia cyrkowe, na które uczęszczał w dziecinnych latach, o mało co nie sięga

do kieszeni, na wzór Napoleona Wielkiego, po tabakierkę, aby poczęstować jednym niuchem dzielnego szefa batalionu.

Ten ostatni może spać spokojnie. Raport o kolonii karnej w Plateau zyska dlań nietylko pochwały, ale i odznaczenia..

Tymczasem stojąc na uboczu, pod murem, z powodu swego kalectwa, Forgeat patrzy na powracający do baraków szereg towarzyszów. Rzekoma kompania, zdala od groźnego wzroku szefa, nie potrzebuje się już krępować. Mali przestępcy idą w nieładzie, zziajani, głodni, a mimo to co chwila któryś z nich odezwie się grubijańskim, cynicznym żartem, lub rzuci przekleństwo. Nigdy dotąd nie wydali się oni biednemu Krystynowi tak strasznymi. Ale do tej odrazy łączy się u niego i litość i pewien tajemniczy, nieodgadniony pociąg. Wie dobrze, ile nagromadziło się w tej zbiorowej duszy nienawiści, gniewu, goryczy; wie, że później przyjdzie kolej na zemstę, rewindykacyę praw słusznych i fikcyjnych. Ale te dzieci cierpią, a w ich przyszłym otwartym buncie przeciwko społeczeństwu znajdą źródło nowe przewinienia, może i zbrodnie!...

Dlaczegoż biedny, odtrącony chłopiec wstydzi się swojej bierności i pokory w obec zuchwalstwa tamtych? Czemu pragnąłby teraz należeć do tej gromadki wyrzutków, od któ-

rych zaraźliwy prąd owiewa go i dusi, niby cuchnąca woń zgnilizny?

Och! jakżeż pojęcia o obowiązku i honorze, szczepione przez Szymona Benoit, słabo się przyjęły w sercu Krystyna!.. A przecież tak niedawno jeszcze, podczas kaźni w izbie dyscyplinarnej przysięgał on sobie dotrzymać słowa umarłemu przyjacielowi, żyć w bojaźni Bożej, kochać i nie tracić nadziei!...

XII.

Powróćmy teraz do innej sfery, i zobaczmy, choćby przez prostą ciekawość, jakie były losy pana Lescuyer junior, odkąd wobec względów światowych i rodzinnych popełnił na progu nowego życia błąd gorszy od win, za które kodeks nędzarzy na galery zsyła.

O dziwo! ten człowiek nie zaznał szczęścia! A jednak kapryśne i rzadko sprawiedliwe przeznaczenie dawało mu w początkach same uśmiechy i fawory.

Po ostatecznym powrocie do Caen, młody prawnik zastał różne korzystne zmiany w domu rodzinnym i stosunkach zewnętrznych. Starożytny gmach, chylący się do upadku, odnowiono; pokoje nabrały cechy mieszkalnej; gro-

bowa woń pleśni i stęchlizny nie zatruwała w nich powietrza; nic już dostępu światła nie tamowało. Portrety przodków, którym goście z mimowolną obawą się przyglądali, legły widać w zapomnienia pyle na jakimś starym strychu. Przy pierwszej, powitalnej wizycie, pani Taburet, Lescuyer przekonał się, iż panna Kamilla niezmiernie wyładniała, a oczy turkusowe tego nieśmiałego dziewczęcia mówiły mu prawie te pochlebne słowa:

— Widzisz, ja czekałam na ciebie!..

Ponieważ niewątpliwie grunt już był przygotowany i wszelkie zawady przez nieboszczyka radcę usunięte, nie pozostawało już nowoczesnemu rycerzowi nic innego, jak wejść z tryumfem do zdobytej fortecy. Otóż serce i posag panny Kamilli, bez wahania i w krótkim przeciągu czasu, panu Lescuyer, niby klucze miasta, na srebrnej tacy ofiarowano.

Pewnego dnia, gdy szczęśliwy narzeczony zajęty był układaniem swoich ślubnych przyborów, służąca przyniosła mu dzienniki poranne. Pomiędzy pokaźną liczbą kart i powinszowań, zastosowanych do okoliczności tak radosnej, znalazł się list adresowany dużem, niekształtnem pismem, w kopercie pomiętej, przybrudzonej. Lescuyer widział już nieraz te litery koszlawe, kreślone drżącą, spracowaną ręką; nie-

gdyś nawet przyspieszały mu one bicie serca, obiecując chwile niewysłowionych rozkoszy.

Paulina — boć dobrze wiadomo o kim tu mowa—donosiła dawnemu kochankowi, że powiła ślicznego, ogromnego chłopczyka, który na chrzcie otrzyma imię Krystyna-Pawła. „Wszak cię to nie rozgniewa? powiedz!“—brzmiało pokorne, a pełne naiwności zakończenie listu.

Biednej gryzetce zdawało się, iż pokrywając milczeniem przeszłość, nie robiąc żadnych wyrzutów, nie żądając wreszcie nic dla siebie, wzbudzi w tym wystygłym już człowieku prostemi swojemi słowy jakieś współczucie, a choćby tylko zainteresowanie względem zjawiającego się, w tylu niefortunnych warunkach, na świat dziecięcia.

Niestety! wiadomość nadeszła w bardzo nieodpowiedniej porze; rzecz naturalna zatem że młodzieniec wybuchnął podrażniony i gniewny:

— A to paradne! Czyż ta niemądra dziewczyna wyobraża sobie i chce wmówić we mnie, że *ja* jestem ojcem jej potomstwa?

I podarłszy list na drobne kawałki, rzucił go w ogień natychmiast, a nazajutrz wobecności całego kwiatu towarzystwa z Caen, przed wielkim ołtarzem katedralnego kościoła, przy wtórze wspaniałej muzyki i śpiewów, klęczał, jako oblubieniec, obok bladej ze wzruszenia panny Letourneur.

O tym samym czasie prawdopodobnie, Paulina, wpatrzona z zachwytem w swoje niemowlę, oczekiwała — po pewnych już zapowiedziach postawionej przez dozorczynię kabały — na rezultat pomyślny wysłanego listu.

Wszakże przeznaczenie widać chciało, aby dama kier i walet karo, nigdy się już w życiu doczesnem zetknąć nie mieli...

Po nagłym, a prawie jednoczesnym zgonie starego radcy i pani Taburet, którzy syci lat i chwały, pozostawili dzieciom dwie olbrzymie schedy, młode małżeństwo rozpoczęło wspólną egzystencyę w Bayeux, gdzie wakowała posada sędziego-inkwirenta.

Zanim się skończyły miodowe miesiące, pan Lescuyer przedsięwziął napisanie dzieła, traktującego prawo ze strony etycznej i społecznej. To też koledzy wyrażali się o nim:

— To chłopak seryo; zajdzie daleko!...

A o pani również przychylnie:

— Jaka milutka kobieta; na żonę dla niego stworzona!..

Krótko mówiąc, wszystko sprzyjało pięknej i dobranej parze. Nie brakło jej w początkach ani zdrowia, ani swobody umysłu, ani majątku, ani ogólnego uznania. Bo też opinia publiczna, wiedziona zawsze poczuciem sprawiedliwości, stwierdza wyrokami swymi ten pewnik, że cnota, której fundamentu nie stanowi

bogactwo, jest marnem i niestałem zjawiskiem. Pragnęłaby niezawodnie ta litościwa wyrocznia, aby wszyscy uczciwi ludzie posiadali dochodne renty, bo tylko kanalia na ubóstwo zasługuje. Na nieszczęście jednak, dzieje się wręcz przeciwnie. Opinia, chcąc ratować zasadę, udaje, że tego nie dostrzega i zamyka oczy zarówno na występki bogaczów, jak i na cnoty nędzarzy, W ten sposób rzeczy i stosunki układają się jaknajlepiej na najlepszym ze światów.

Krystyn Lescuyer dopiął swego, zostawszy typem urzędnika nieposzlakowanej prawości, poważnym obywatelem kraju, małżonkiem przywiązanym i tkliwym. Przyszłość rysowała się dlań różowemi barwami... Niekiedy — ale bardzo rzadko—wspomnienie Pauliny, tak niegodnie porzuconej, zakłócało mu sen i apetyt. Były to jednak przelotne chmurki, które w pełni lata słońce szybko rozprasza, uwydatniając temwięcej cały powab jasnego, bez plamy, widnokręgu.

Bo i czegoż temu wybrańcowi losu brakowało? Nigdy żadnych trosk ani przykrości—praca niewyczerpująca a owocna, szacunek ogólny, żona inteligentna, łagodna, którą kochał szczerze i był przez nią prawie ubóstwianym.

Przysłowie, ta sól narodów, powiada:

„Kiedy dom już jest zbudowany, nieszczęście doń zaraz wchodzi.“

W kilka miesięcy po ślubie milutka pani Lescuyer zaczęła słabować. Przywołany lekarz potwierdził nadzieję powiększenia rodziny, co należało do najgorętszych pragnień obojga państwa, zalecając wszakże, z powodu wątłego organizmu przyszłej matki ogromną ostrożność i bezwarunkowy spokój. Życzliwe przyjaciółki i doświadczeńsze matrony otaczały panią Kamillę masą drobnych a niezmiernie delikatnych starań; mąż zaś często wychodził z biura przed audyencyą albo posiedzeniem, aby przekonać się naocznie, czy jego droga połowica nie popełniła jakiej nieroztropności, mogącej ten stan błogosławiony nadwerężyć. Pokazuje się z tego, że oczekiwanie infanta czy też infantki dynastyi Lescuyer połączone było z nielada udręczeniem i obawami. A tymczasem dziecko grzechu, biedny, osierocony Krystyn Forgeat tułał się po najmizerniejszych zaułkach Paryża, znosząc przytem niesłuszne i srogie kary od brutalnego opiekuna swojej matki.

Choroba pani Kamilli zakończyła się tragicznie. Wśród okropnych męczarni, nie zdążywszy nawet pożegnać nowonarodzonej delikatnej, jak pianka, córeczki, oddała Bogu duszę, nierozbudzoną wprawdzie, ale nieświadomą złego, i jak kryształ czystą...

W wigilię katastrofy sędzia Lescuyer, wysoko ceniony przez władze naczelne, dostał

awans i stanowisko podprokuratora przy Sądzie kryminalnym w Caen. Trudno sobie wyobrazić coś smutniejszego nad ostatni już powrót młodego wdowca w progi rodzinne. Pierwszą jego czynnością było zasięgnięcie zdania powag medycznych co do zdrowia córki, dla której natychmiast wyszukano karmicielkę—włościankę, prawdziwy okaz sił niezużytych, jakie tylko jeszcze w warstwie ludowej znaleźć można. Wyroki lekarskie nie dawały żadnej na przyszłość rękojmi.

— Może się dziecina i wychowa... Należy ściśle trzymać się zasad hygieny... nie spuszczać z oka... w każdym razie będziesz miał pan z nią bardzo wiele kłopotu.

Krystyna Lescuyer ogarniała rozpacz. Przestał pracować. Zamykał się na długie godziny w ponurej bibliotece ojca, i tam z wlepionemi oczami w otwarte a nie czytane księgi, puszczał wodze najczarniejszym myślom, najgorszym przewidywaniom. Upłynęło kilka miesięcy od śmierci żony, a boleść jego wcale się nie zmniejszyła; ratunek mogły przynieść okoliczności i warunki, że tak powiemy, zewnętrzne. Otóż wkrótce sposobność jedyną ku temu celowi nastręczyło wypowiedzenie przez Francyę wojny Niemcom. Lescuyer, nie tyle z poczucia patryotycznego, co z gwałtownej potrzeby działania w innym, niż dotąd, kierunku, wstąpił, jako ochot-

nik do armii Loary i, narażając się na wszelkie niebezpieczeństwa, szukał kuli, któraby przecięła pasmo jego marnego żywota. Po dwa kroć raniony, odbył całą kampanię z chwalebnem za męztwo odznaczeniem.

Ostatecznie, ta niezwykła dywersya dodatnio nań podziałała. Objął nanowo dawne obowiązki, wydobył na jaw niepospolite swoje zdolności; powróciły mu: równowaga umysłu, względny o córkę spokój i chęć do życia. Czas dokonywa takich cudownych uzdrowień.

Już życzliwi koledzy sądowi i niezmordowane w matrymonialnych zabiegach niewiasty radzić zaczęły panu sędziemu nowy związek małżeński, gwoli pociechy dla siebie i opieki nad jego wątłą latoroślą; boć przecież dziewczynka bez umiejętnej a troskliwej ręki kobiety obejść się nie zdoła. Słuszności nikt nie myślał tym doradcom odmawiać, i może osoba interesowana, a przyparta kiedy do muru, powzięłaby w końcu przychylną decyzyę, tyczącą się jego losów, ale czy to wskutek zbytniej gorliwości przyjaciół, czy też z braku sympatyi do zalecanych kandydatek, zamiary poszły w odwłokę.

Pewnego jesiennego wieczoru, po kosultacyi z lekarzem we względzie słabo rozwijającej się córeczki swojej, Lescuyer, bardziej przygnębiony, niż zazwyczaj, poszedł do gabinetu,

aby ukryć boleść przed obcem a niedyskretnem okiem domowników. Stracił już prawie nadzieję utrzymania przy życiu ukochanego dziecka.

W dużym, pustym pokoju, którego mroków tajemniczych nie rozpraszało dostatecznie światło lampy stojącej na biurku, a przysłoniętej zielonym kloszem, nieszczęśliwy człowiek osunął się bezwładnie na fotel i gwałtowne łkanie wstrząsnęło jego zapadłą piersią. Po długiej chwili, pod wrażeniem zapewne otaczających go ciemności, wstał i, zbliżywszy się do kominka, nad którym wisiało ogromne zwierciadło, zapalił dwa z jarzącemi świecami kandelabry, i nagle... cofnął się o kilka kroków, przerażony. W lśniącej tafli szkła odbiła się z wierną dokładnością jego własna postać, ale jakże strasznie zmieniona! Wzrok przyblakły, martwy, rysy zaostrzone, cera barwy wosku, głowa przypruszona przedwczesną siwizną, brwi zsunięte groźnie — wszystko to razem nadawało mu uderzające podobieństwo do nieboszczyka ojca, tego surowego, jak nieubłagany przedstawiciel prawa, starca, którego nigdy, ani w młodości, ani w dojrzałym wieku, zrozumieć i kochać nie zdołał. Te gorzkie wspomnienia wywołały w jego podnieconym mózgu wizyę tak niedawnej przeszłości...

Nie po raz to pierwszy, od czasu swego smutnego wdowieństwa, sięgał pamięcią do je-

dynej epoki życia, która, zapoczątkowana tak pomyślnie i błogo, skończyła się epizodem, przynoszącym bez kwestyi ujmę jego honorowi Niestety! Pobłądził grubo z tchórzostwa i egoizmu. Jakżeż można było postąpić tak nieuczciwie z biedną dziewczyną, której zaufania i bierności nadużył dla krótkotrwałych uciech własnych. Teraz, kiedy przebyte troski i straty moralne zmiękczyły mu serce, wysubtelniły uczucia, widział jasno i bezstronnie swój czyn niegodny i smutne następstwa, których ofiarą padła nietylko porzucona na łaskę losu Paulina, ale i syn jej, bezdomny, ścigany pogardą społeczeństwa sierota!...

— Kto wie? — rozmyślał przesądny trochę, ale pełen wiary w najwyższą Bożą sprawiedliwość Lescuyer—czy klęski i nieszczęścia, jakie mnie w tych czasach dotknęły, nie są wprost karą za moją ciężką winę? Każdy grzesznik, prędzej czy później, pokutować musi. I ja powinienem znieść to z poddaniem. Nie pora już odradzać się do szczęścia, do nowej, swobodnej egzystencyi. Ja, sędzia bezwzględny przekroczeń ludzkich, które nawet Kodeks wyżej stawia od nikczemności popełnionej przezemnie pod wpływem samolubnych pobudek, miałbym nie szukać środków, aby naprawić złe, jeżeli się uda? Najpobłażliwszy kapłan nakazałby mi niezawodnie, zamiast odmawiania modlitw, roz-

dawania jałmużny i innych w tym rodzaju pokutniczych uczynków, zmazać grzech, wynagradzając wedle sił niedolę opuszczonej kobiety. A więc sprobuję!... Droga obowiązku nie łatwa, ale wytknięta nieodwołalnie. Odnajdę matkę i dziecko—pogrążone zapewne w ostatniej nędzy—przyjdę im z pomocą, nie będę szczędził objawów troskliwości i dobroci. Mniejsza o to, czy ów mały Krystyn jest moim synem, czy nie, otrzyma odemnie zasoby materyalne do ukształcenia się na odpowiedniem dla siebie polu, i życzliwe poparcie do końca życia. Może wtedy Opatrzność ulituje się nademną, powróci spokój ducha i zdrowie najmilszej sercu dzieweczki.

Mimo, że ferye sądowe zbliżały się do kresu, Lescuyer w parę dni po tem chwalebnem postanowieniu, pojechał do Paryża. Nigdzie lepiej, jak tu, nie da się przystosować znane wyrażenie: „szukać igły w stogu siana.“

Napróżno przybyły z prowincyi prawnik biegał od rana do wieczora po różnych zakładach, przytułkach, biurach policyi; napróżno kołatał do dawnego mieszkania Pauliny Forgeat na ulicy Ulm — śladu z onego domu nawet nie pozostało. Obiecywał sowitą nagrodę za odnalezienie chłopca z tem nazwiskiem—nigdzie na ślad zaginionych natrafić nie było podobna.

W sześć miesięcy potem sąd pierwszej instancyi służyłby dokładną informacyą panu

podprokuratorowi z Caen, pokazawszy mu wyrok na osiedlenie w kolonii, Krystynowi wydany, ale wtedy jeszcze dziecko przepadło w odmęcie stolicy i cierpiało niewymowne katusze, przygotowując się bezwiednie na zupełną zagładę.

Zniechęcony i znużony do najwyższego stopnia, Lescuyer, po tylu bezskutecznych próbach chciał już opuścić Paryż, gdy przyszło mu do głowy, że malarz Donadieu, a przynajmniej ex-panna Heloiza, udzielą mu jakich, pośrednich chociażby, wiadomości. Rozumie się, że i z tego pomysłu wynikł nowy zawód, ale godziny, przepędzone u starego druha spłynęły jak balsam na niezabliźnione rany samotnika.

Artysta, w swojej, nietyle wspaniałej, co schludnej pracowni na ulicy de Fleurus, lepił właśnie z wosku model do jakiegoś posągu konnego rycerza, gdy nieśmiało uchylono drzwi i zjawił się w nich gość obcy, a przynajmniej wcale nieoczekiwany, z postawą smutną, w żałobie.

Nie obce były rzeźbiarzowi nieszczęścia, przez które przeszedł dawny jego kolega, to też, rzuciwszy mu się na szyję, witał gorąco, serdeczniej, niż zwykle.

Bezładna, przyjacielska pogawędka toczyła się czas jakiś między nimi; usiedli obok siebie tak, jak niegdyś na ławce szkolnej, opowiadania przeplatając miłym do przeszłości zwrotem:

„Czy pamiętasz?“ Potem, w gorącej wodzie kąpany Franek, zawołał:

— Ładnie cię przyjmuję! Przecież to wieczór nadchodzi, a my na głodno strzępimy języki. Musisz zjeść obiad u mnie... Heloiza będzie ci ogromnie rada.

I poszli razem, o zmroku już, do mieszkania *państwa* Donadieu. Skromniutkie ono było— więcej do siedziby rzemieślnika, niż sławnego już w owej epoce rzeźbiarza, podobne. W pokoju stołowym, którego główną ozdobę stanowiły kwiaty i prace gospodarza domu, pani Heloiza, zawsze wesoła i świeża, kładła już trzy nakrycia, i z poufałością prawdziwej mieszczki ofiarowała poważnemu przybyszowi swoje pulchne policzki do pocałowania.

Zaledwie podano zupę, olbrzymi kot o rdzawym połysku, skoczył niespodzianie na obrus, i bez najmniejszych ceremonii usadowił się przy talerzu pani Donadieu.

— A, jesteś nareszcie, próżniaku!— rzekła ta ostatnia tonem macierzyńskim, pochylając się nad faworytką, która nader obojętnie zdawała się wszelką pieszczotę przyjmować.

— Niech cię to nie gorszy, szanowny prokuratorze,—wtrącił pośpiesznie rzeźbiarz.—Mam honor przedstawić ci tego pysznego czworonoga, jako naszą ulubioną wychowanicę... Widzisz, nie urządzamy jeszcze przyjęć oficyal-

nych... najlepszym dowodem tego jest ta zupka z soczewicy... Zresztą dekrety z Messidora nie przeznaczyły miejsca honorowego dla kotów... Traktuje się je wedle osobistej sympatyi... nasza tu obecna gospodyni wtedy tylko spożywa dary Boże z apetytem, kiedy ta kocina dzieli z nią wszelkie przysmaki. Cóż robić?—dodał z pewną melancholią w głosie — jak niema w domu dzieci — przywiązujemy się do zwierząt; trzeba się czemciś zagłuszać!...

Prawdopodobnie ze względu na przyjaciela, humor, iskrzący się dowcipem, nie opuszczał Franka ani przez chwilę, wywołując mimowolne uśmiechy na usta gościa. Poczciwa Heloiza, pełna niewyczerpanego podziwu dla rozumu męża, brała wszystkie jego paradoksy, wygłaszane z subtelną ironią, za dobrą monetę, i tym sposobem dolewała tylko oliwy do ognia.

Z uczuciem zazdrości w sercu Lescuyer pożegnał to miłujące się i dobrane małżeństwo.

— Jak ten Donadieu jest szczęśliwy!—mówił sobie w duchu, wsiadłszy do pociągu odchodzącego o północy do Caen. — On mędrszy był zawsze odemnie, biorąc z życia strony najlepsze; nie ulegał niedorzecźnym przesądom, gardził klasą uprzywilejowaną, szedł za przeznaczeniem swojem i osiągnął cel upragniony... O, ze mną, to już zupełnie skończone!... Nie mogłem naprawić jedynego błędu mojej młodo-

ści i teraz wlec będę potępieńczą egzystencyę z wiecznym wyrzutem sumienia!

Istotnie, mimo absorbującej pracy, która wypełniała mu dnie całe, a często i noce, mimo że ukochanej córce nie groziła już śmierć przedwczesna, biedny wdowiec żył odosobniony od świata w tym ponurym domu, tak szczerze przezeń nienawidzonym w czasach pierwszej młodości. Otaczano go we wszystkich sferach szacunkiem, a nawet sympatyą; ministeryum mianowało go prokuratorem Rzeczpospolitej; przyszłość świetna otwierała się przed nim. Ale Lescuyer nie odznaczał się wysokiemi aspiracyami, widząc w spełnianiu obowiązku jedyne lekarstwo na niezwalczony swój smutek i tęsknotę. Zdarzały się chwile, że troska i niepokój ustępowały na krótko, ale natomiast opanowywała go myśl dręcząca, co się dzieje tam, hen, na szerokim świecie, gdzie cierpi dziecko niewinne, bez rodziny i opieki, które może przeklina tych, co mu życie dali. Coś mu wówczas, niby młot kamienny, spadało na piersi i cisnęło... aż do utraty tchu i przytomności. Czyżby to miarowe kroki Krystyna, wlokącego się resztką zużytych sił po izbie dyscyplinarnej w Plateau, odbijały się tak bolesnem echem w duszy tego nieszczęśliwego ojca?..

XIII.

Było to około szóstej z wieczora, przy końcu sierpnia. Żar przygniatający szedł od rozpalonego do białości nieba, a kulę ognistą przysłaniała jakby mgła z pajęczych nici utkana. Na wązkim placyku, przed dawnym pałacem Sprawiedliwości, przechadzał się żołnierz, pilnując furtki więzienia Conciergerie, i jakiś człowiek, oparty o poręcz mostu, który patrzył bezmyślnie na przepływające fale Sekwany.

W tej stronie bulwarów wały są niższe i rzeka zwęża się znacznie, ztąd pęd wody nabiera podobieństwa do bałwanów morskich; słychać w niej wrzenie nieustanne i tworzą się wiry, które napełniają strachem całą drobną flotyllę łodzi, galarów i spacerowych statków. Nawet wyćwiczony pływak, dostawszy się tutaj, narażony bywa na niebezpieczeństwo każdochwilowe. Pierwsza arkada tego mostu nazwana jest przez paryzkich wioślarzy „arkadą dyabelską,“ gdyż niejedna, grubo naładowana tratwa chwycona w te zawrotne głębie, uległa tu rozbiciu i zatopieniu.

Jeżeli owo nieznane indywiduum, tak uparcie śledzące tę nowożytną Scyllę i Charybdę, miało pewne samobójcze zamiary, to punkt do uskutecznienia ich był doskonale wybranym.

Sądząc jednak z wysmukłej postaci, łagodnego wyrazu twarzy, z obfitości kruczych, naturalnie wijących się włosów, skromnego ale starannego ubrania, młodzieniec ten nie został jeszcze doprowadzonym do kresu, który wywołuje tak rozpaczliwe postanowienie.

Nagle obrócił się, jakby umyślnie odrywając się od nęcącego widoku, i postąpił kilka kroków, utykając na jedną nogę. W ciemnych jego oczach mignęła błyskawica bólu, czy gniewu, natychmiast powściągnięta siłą woli, a może i nawyknienia tylko.

Nie potrzebujemy chyba objaśniać czytelnika, że ten zadumany i smutny obserwator to Krystyn Forgeat, uwolniony w skutek dojścia do pełnoletności od przysądzonej nań przez prawo kary w osadach rolnych kolonii, a który już cztery lata z rzędu błąkał się po Paryżu, szukając nadaremnie pracy i uczciwego zarobku.

Co uczynił z tą wrażliwą i prawą naturą system karny, stosowany do wszystkich przestępców zarówno? W jaki sposób oddziałały na umysł i serce niedojrzałego chłopca bezgraniczna głupota kapitana Caillou i dzika brutalność jego subalternów?

Powiedzmy sobie prawdę, która bodaj trafiła już i do przekonania ogółu, żecudowna teorya odradzania zwyrodniałego pokolenia za pomocą rolnictwa, rzemiosł i t. d., w połączeniu z bar-

barzyńskimi środkami, jakich do tego celu używają mężowie zaufania, zjednywa tym ostatnim złotodajne synekury i orderowe wstążeczki, ale ani na jotę palącej sprawy moralnie zaniedbanych dzieci nie posunie.

Gdyby nie wpływ chorowitego biedaka, takiego np. Szymona Benoit, na otoczenie swoje, czemże w tem środowisku zgnilizny i zepsucia stałby się mały Forgeat? Przestępcą w najgorszym gatunku, straceńcem bez przyszłości! Dopóki żył, dogasającą iskierką własnego żywota ten prawdziwy chrześcijanin i nauczyciel starał się rozniecić światło w drzemiącej inteligencyi sieroty, umacniał go przykładem na drodze obowiązku, ogrzewał serdeczną tkliwością. Długo potem jeszcze Krystyn, jak relikwie święte, przechowywał w sercu drogie wspomnienia swego dobroczyńcy, a nawet odziedziczył po nim ubożuchny spadek: kilkadziesiąt luidorów — owoc długoletniej oszczędności — i złoty zegarek, dużą staroświecką cebulę, z zastrzeżeniem wszakże, aby spadkobierca nigdy się z tym darem nie rozstawał.

Ostatecznie, przy wyjeździe z Plateau, okroiło się kalece blisko sto franków za dokonane przezeń roboty szczotkarskie, i z tymi szczupłymi zasobami wybrał się do wielkiej stolicy dla zdobycia samodzielnego i niezależnego bytu.

Jakie przechodził koleje, zobaczymy niebawem w ciągu dalszego opowiadania.

Przez cały ciąg podróży Forgeat układał sobie w myśli, od czego rozpocznie przeistoczenie swoje z ex-ponsyonarza Plateau na człowieka cywilizowanego, równouprawnionego z innymi wolnymi obywatelami kraju. Należało przedewszystkiem zmienić wygląd powierzchowny, nabrać trochę odwagi i pewności siebie, nie zdradzić bezwiednie zaciągniętych od towarzyszy nałogów, wyrażać się przyzwoicie—jednem słowem, urobić się na modłę wymarzoną przez Szymona Benoit, któremu przecież wstydu on, wdzięczny do zgonu uczeń, nie przyniesie.

Niestety! w cóż się najlepsze zamiary ludzkie obracają? Niezgrabnego chłopaka, z miną spłoszoną, bez rekomendacyi, referencyi, z jawnem do tego kalectwem, spotykało wszędzie, gdziekolwiek się udał, przyjęcie zimne, podejrzliwe.

— „Z kąd przybywasz? Czem się zajmowałeś poprzednio? Jaką potrafisz robić robotę?“

Na te pytania, stawiane ostro, niedwuznacznie, Krystyn odpowiadał wymijająco, jąkał się, plątał, więc posądzano go o zwykłe w takich razach kłamstwo.

Zaraz na wstępie kupno nowego ubrania, hotel, w którym trzeba było zapłacić za miesiąc z góry, prowizya dla pośredniczących w wyszu-

kaniu pracy, naruszyły znacznie złożony kapitalik. Odbywając niegdyś dalekie po Paryżu wycieczki z owym cyganem Natolem, Forgeat przyzwyczaił się do bezcelowego chodzenia, ot tak, dla własnej przyjemności, i obecnie też, pod pretekstem wynajdywania wskazanych adresów, biur i kantorów, wybierał najruchliwsze dzielnice, szedł, bez pośpiechu, aby nasycić się swobodą i widokiem ulubionego każdemu Francuzowi miasta. Ta drobna na pozór słabostka pociągnęła za sobą opłakane skutki. Przedewszystkiem poszło na marne dużo czasu, który można było korzystniej zużytkować, następnie Krystyn, zawsze więcej bierny, niż przedsiębierczy, odkładał z dnia na dzień starania o pracę, a następnie, uległszy popędowi budzących się nagle zmysłów, roztrwonił sporo pieniędzy na niskie brutalne uciechy.

Dopiero, gdy zasoby jego zostały prawie że wyczerpane, zatroskał się o przyszłość swoją, i po wielu trudach i upokorzeniach znalazł, bardzo mizerne zajęcie. Na wakujące miejsce subiekta w jakimś prowizorycznym bazarze przyjęto nieznanego nikomu chłopca, a ponieważ nie umiał zręczną blagą wabić publiczności, a przytem patrzeć przez szpary na nadużycia doświadczeńszych swoich pomocników, wydalonym został po upływie paru tygodni. Pierwsza ta próba wypadła jaknajgorzej; nędza czaiła się

znów na biedną ofiarę układu społecznego i nieprawości ludzkiej.

Każdego ranka doręczano Krystynowi ustne wezwanie od właściciela hotelu o zaległą opłatę mieszkania, co wieczór suszył sobie głowę do kogo nazajutrz zwrócić mu się wypadnie, aby o cokolwiek ręce zaczepić, w końcu, znużony żelazną koniecznością, zdecydował się iść do biura Administracyi kolonii karnej z prośbą o robotę.

Tam również pan naczelnik, dostojna i odpychająca figura, odprawił go z niczem, dodawszy naukę moralną:

— Mój paniczu — wziąłeś na siebie inną, jak widzę skórę — trzeba było stawić się tutaj natychmiast po powrocie z Plateau, teraz mamy czas ogórkowy... A Bóg wie zresztą, co się z ciebie zrobiło przez te trzy miesiące, odkąd bruki paryzkie zbijasz?.. Co do mnie, to dałem sobie słowo, iż nadal podobnych tobie osiedleńców przyjmować nie będę.

Klątwa urodzenia i win niepopełnionych, cudzych, zaczynała ciążyć. Na zaspokojenie najpilniejszych potrzeb można było jeszcze znaleźć odpowiednią kwotę, zaniósłszy do zastawu ów pamiątkowy zegarek, ale Krystyn odpychał tę pokusę resztą swojej słabej woli. Nie! nigdy się nie rozstanie z tym talizmanem, w którym

zdawało się bić jeszcze serce szlachetnego przyjaciela.

Pewnego wieczoru, w zimie, z pustą kieszenią i takimże żołądkiem—jedna bułeczka spożyta rano stanowiła całodzienny jego posiłek — Forgeat krążył wolnym krokiem dokoła skweru przy kościele Ś go Jakuba, gdy jakiś człowiek zaczepił go niespodzianie rubasznym wykrzyknikiem:

— Patrzcie państwo, a to idzie „kulawy!"

Przydomek powstał naturalnie w Plateau.

— Jak się masz, Mahurel?—odparł zaczepiony niechętnie.

Dotychczas nie zdarzyło mu się, ku wielkiemu swemu zadowoleniu, spotkać któregokolwiek z dawnych towarzyszy niedoli, a ten właśnie należał do bandy najgorszych przestępców, i osobiście mu był wstrętny.

Mahurel pochodził z rodziny kryminalistów, wyróżniając się między wychowańcami kolonii tem, że ojca jego, jako zbrodniarza, na śmierć przez powieszenie skazano, i że lubił to z pewną dumą powtarzać.

Nie na każdego spływa od urodzenia podobny zaszczyt; jestto szlachectwo kaźni!..

Mahurel z Krystynem nie zbliżali się nigdy do siebie, nie pracowali nawet w jednym warsztacie. Pierwszego uważano w kolonii za istotę zupełnie zwyrodniałą, o czysto zwierzęcych

instynktach. Życie na wolności nie wpłynęło dodatnio na młodego chłopaka; ani odstręczająca powierzchowność, ani temperament burzliwy nie uległy żadnej zmianie. Obejrzawszy od stóp do głów Krystyna, który, pomimo grożącej mu nędzy, schludnie i przyzwoicie był ubrany, zawołał urągliwym tonem:

— Do palarusza! Garnitur, melonik, świeża bielizna! Dostaliśmy chyba jakąś schedę!... Płacisz naparstek absyntu, czy nie? Gadaj odrazu!...

Krystynowi nagle cała nieszczęsna przeszłość stanęła w oczach, ale siłą nawyku odpowiedział sucho, w tej samej gwarze:

— Grubo się mylisz, mój stary... Ani fajgla w kieszeni!..

Mahurel rozśmiał się bezwstydnie.

— Tak? Ani jednego fajgla, powiadasz?.. A więc, na nic ci się nie przydało, żeś był grzeczny, jak panienka, w naszej kolonii, i że wyszedłeś z dobrą notą, pod numerem pierwszym?.. Czy to podobne? Niech wszystko dyabli porwą!.. Żeby takie małpy, jak ty, nieprzymierzając...

— Nie inaczej—przerwał Forgeat, popchnięty jakąś niezwalczoną ochotą poskarżenia się przed podobnym sobie nędzarzem—bryndza kompletna, wierzaj mi, a w dodatku głodno i chłodno... od rana łyka się tylko ślinkę...

— No, to ja coś wynajdę... Chodź ze mną do teatru Châtelet... nibyś ty trochę felerny... ale to się jakoś połata... Jestem w dobrej komitywie z dyrektorem statystów, ojcem Ernestem; on cię na pewniaka zamówi... a dwadzieścia sous'ów co wieczór wpadnie do portugalii... Od jutra puszczamy się na występy... Chcesz? Rzeknij że prędzej...

Dwadzieścia sous! Tożto prawdziwe zbawienie!.. Będzie czem komorne zapłacić i nie zdechnie się z głodu.

— Ba! Rozumie się, że chcę, i jak jeszcze... Bóg zapłać! Mahurel, idźmy, a ostro!..

W pięć minut po tym układzie, pobiegli kłusem obydwaj do teatru. Na podwórzu ze szklanym dachem zebrała się gromadka gawiedzi ulicznej, której skrupulatny przegląd robił stary, o szpakowatych wąsach, weteran sceny, pan Ernest we własnej osobie.

— Zaczynasz mi teraz sprowadzać kaleki— gderał po cichu szef statystów—jemu się zdaje, że już przeznał sztukę na wylot, i ma prawo pakować do mnie swoich protegowanych. Mam, na szczęście, kilku ładnych kawalerów, którzy mogą zostać feudalnymi panami, a ty, urwisie,— dodał zachęcająco, zwracając się do Mahurela— i twój kmotr jesteście zaledwie zdatni, żeby wmieszać się między „*lud*“... Ostatecznie, podejmujesz się nim zająć, nieprawdaż? A pa-

miętaj dać mu kułaka, kiedy zawołają „*trzy*“... niech wrzeszczy wtedy, wraz z drugimi, na całe gardło: „Śmierć Conciniemu!“... Po przedstawieniu, jak wiadomo, wypłata. Dalej, ruszajcie się—do garderoby!..

W przerwach między dwoma czarodziejskimi obrazami, teatr Châtelet wystawiał zazwyczaj jakąś tragikomedyę. Tym razem wybrano historyczny niby dramat, którego treść osnuwała się dokoła śmierci marszałka D'Ancre.

Zaprowadzony w pośpiesznym tempie do pokoju figurantów, ohydnej nawet dla byłego więźnia dziury, Krystyn wdział na siebie średniowieczny kostium, i wedle wskazówek Mahurela udawał, jako tako, człowieka z ludu, krzycząc przy wejściu młodocianego Ludwika XIII: „Niech żyje król!“ albo też wygrażając pięściami faworytowi Regentki. Całe to sceniczne otoczenie do złudzenia przypominało kolonię karną w Plateau; te same fizyonomie, takie żarty sromotne, taż gwara złodziejska, antypatyczna.

Przy odgłosie „*trzy*,“ pan Ernest, kierujący dotąd chórzystami, wpadł niespodzianie w sam środek komparsów.

— Baczność!—szeptał wyraźnie—zważajcie na ukazanie się królowej-matki!.. A jednozgodnie, moje dzieci: „Precz z Włochem! Na śmierć Concini!..“

Aktorka mająca być znieważoną przez te wrzaski, dawna piękność, w rodzaju Junony, obwieszona klejnotami, niby obraz cudami słynący, zjawiała się wtedy majestatycznie i, zwracając się do kabotyna, który jej towarzyszył, mówiła półgłosem — co znaczy tak, aby ją widzowie z galeryj wszystkich pięter usłyszeć mogli — „Ach! panie marszałku, jakże cię ten lud nienawidzi!“

Przez ten czas Mahurel pakował do uszu Krystynowi rozmaite komentarze:

— To jest, widzisz, pani Armand... Za nieboszczyka Badingué gadali o niej ciągle, bo była gładka i okrągła, jak pomarańcza... A te jej świecidełka na szyi i kolczyki, płaszcz — to wszystko warto najmniej sto tysięcy czerwieńców... To wcale nie szkło, tylko kamienie... Ale, pilnuj się, „kulawy,“ jeżeli chcesz jutro dwudziestówkę zarobić... Ja się już darłem, teraz na ciebie kolej; „Śmierć Conciniemu!“

I nazajutrz i przez dni następne Forgeat, mimo odrazy do nowego zajęcia, sumiennie odkrzykiwał swoją *rolę*, aby mieć parę kiełbasek parowych i kromkę chleba na obiad.

Pewnego wieczoru, przy okienku do kasy, spostrzegł jakiegoś grubego pana w długim paltocie, który zapewne dla odróżnienia się od kasyerów, reżyserów, lampiarzy i t. d., przypiął orderową wstążeczkę na klapie surduta. Na-

zwisko jego, podawane z ust do ust, wywołało szmer pełen szacunku i instynktownej obawy między statystami.

„Pan Mauduis, komisarz delegowany“...

— Cóż to znowu za parada? — mruknął przez zęby Mahurel — czego od nas chce ten włochaty niedźwiedź?.. Czy to nasza wina, że pani Armand swój kolczyk zgubiła?..

Kiedy figuranci defilowali przed panem Ernestem szeregiem, wyciągając dłonie po należną im zapłatę, pan Mauduis, z wprawą wyżła, ułożonego do polowania, śledził uważnie każdy ich ruch i wyraz twarzy. Jednakże wypłata odbyła się bez żadnej przeszkody.

Wracając do swej nędznej siedziby, Krystyn spotkał na rogu ulicy, ku wielkiemu swemu zdziwieniu, czekającego nań Mahurela.

— Słuchaj, „kulawy,“—zaczął gorączkowo i śpiesznie ten ostatni, z miną zaniepokojoną ale radosną—słuchaj i odpowiedz mi po namyśle. Ja się nie mylę, co?... Ty przecież nie zdradziłbyś, cokolwiek się zdarzy, swego towarzysza, mój stary brachu... dałem ci sposób do życia przez cały tydzień, a to nie bagatela...

— Możesz być zupełnie tego pewnym. Znamy się na wdzięczności.

— A więc, taka jest sprawa. To mnie się trafiła gratka z tym kolczykiem pani Armand... Nie ściągnąłem go... słowo daję, tylko podnio-

słem z ziemi za ścianą od kulis... Nikt mię nie widział... Brylant, jak ziarnko grochu... naprawdę... kosztuje pewno z jakie trzy tysiączki... To się nazywa złota żyła... pierwszy raz w życiu... Dopiero to będzie frajda... dla nas dwóch, rozumie się! Wiesz, że ja sknera nie jestem... pojedziemy na całego!..

To cyniczne zwierzenie zbudziło w duszy Krystyna uczucie wręcz przeciwne. Oburzony, odparł z gniewem:

— Strzeż się!.. to nie może być twoją własnością!.. Lepiej oddać kolczyk zawczasu... I tak dostanie ci się nagroda...

Ale Mahurel rozszerzał źrenice ze zdumienia, siląc się na pojęcie tego dziwnego argumentu.

— Oddać? taki brylant? Chyba oszalałeś!.. Żeby pani Armand wsunęła mi luidora w łapę i, zrobiwszy przyjemną paszczę, powiedziała przy pożegnaniu: „To bardzo ładnie z twojej strony, mój chłopczyku... Adiu!...“ Wcale nie myślałem dotąd, żeś skończony idyota. Spojrzyj-no tylko na mnie, czy ja jestem podobny do tego „zacnego furmana,“ którego malują na szyldach, z biczem i czapą w garści, jak oddaje burżujowi pugilares, zostawiony przypadkiem w jego budzie? Widzisz, mój stary, ja wcale nie ukradłem kolczyka; wraź-że to sobie w łeb odrazu. Wszystko, co spadnie w rów, to dla

żołnierza, jak to mówią. Gdybyś ty, łażąc sam, niby żółw, po bulwarach, znalazł jakie dwadzieścia franków, to byś je zaraz odniósł do biura policyi? Prawda? A mógł te pieniądze zgubić kto z naszych, komu by się później kiszki z głodu skręcały. Ale pani Armand! Facetka, która sobie uzbierała kupę grosza, ma powóz, szkapy tęgie, jak hrabiny, i szkatułę napchaną, co mało nie pęknie, dyamentami, perłami, dyabli wiedzą nie czem... Podług ciebie, ja powinienem kontentować się napiwkiem, a zguby nie schować do własnej kieszeni, bo mię za to pochwalą, a w końcu... wyśmieją... Gadaj zdrów!... Niema głupich!.. Nagroda za cnotę tego bałwana Montyona, to nie w moim guście!.. Jeżeli takim zdechlakom, jak my obaj, nie wolno skorzystać nic od tych ropuch, które się przewalają na złocie, to niech jasny piorun wszystko spali!...

Do takiej logiki i braku wyobrażenia o tem, co godziwe, Krystyn od dawna się przyzwyczaił. Wszak nie inaczej rozumowaii jego towarzysze w kolonii, nie inną pobudką kierował się Natol, zanim go ręka Sprawiedliwości moralnych zasad uczyć miała.

— Ostatecznie, rób, jak chcesz—rzekł, ruszywszy ramionami.—Nie moja rzecz cię nawracać. Wiesz dobrze, że tajemnica między nami pozostanie... Ale tak szczerze mówiąc, dlaczego mi ją powierzyłeś?

— Patrzcie go, niewdzięcznika!.. Człowiekowi kapnęło trochę mamony raz przecież. Zapraszam pana na kufelek, kolacyjkę, i co za tem idzie... Któż bo lubi jeść i pić w pojedynkę?.. A tu masz, chłopie, podziękowanie!

Ponieważ Krystyn chłodno i ostrożnie przyjmował te objawy serdeczności i dobrego humoru Mahurela, ten ostatni, skonfudowany trochę, zaryzykował dalszą grę.

— No, bracie, karty na stół!.. Możesz mi oddać wielką przysługę... Mam wprawdzie świecidełko w ręku... ale jak je rozmienić na drobniejszą monetę?.. Iść z tem do lombardu?.. Padłoby na mnie podejrzenie... Jedna jest tylko rada: papa Soldmajer, który pożycza na fanty.. O, ten zawsze bierze każdą rzecz bez pytania, zkąd ona pochodzi... tylko że żydzisko, psia wiara, prosty złodziej! Ja już miałem różne z nim interesy... Takie bagatele... „znalezione“... On gotów dać mi dwieście franków za kolczyk, a to warto może dziesięć razy więcej. Skorzystałby pewnie, bo ja się na cenach wcale nie znam... Więc sobie zaraz pomyślałem: z „kulawym“ łatwiejsza będzie sprawa — nie stawiaj-że się na początek—młodzieniec, jak się patrzy, nie brzydki, w garniturze, powaga nie byle jaka... gdybym go też zaprowadził do lichwiarza i powiedział: „temu oto facetowi dała panna dyament do sprzedania, i basta... Fanciarz

wszystkiemu uwierzy... a może oni tak udają?.. W każdym razie przyjdzie mu do głowy: „A nuż tamten mędrszy od Mahurela?“ I z samego strachu beknie z tysiąc ośmset franków? Wtedy dla ciebie odkłada się trzecia część, a ja w te pędy do krawca, i za godzinę obaj szykowne chłopaki walimy do *prawdziwej* restauracyi, później na wesoły balik... aż do białego dnia! Coś mi się zdaje, że pan dobrodziej ma jednak jakieś skrupuły—gronostaje mu się chyba posmolą — i kamratowi w kłopocie nie chce wygodzić, a kamrat wynalazł żyłę, co nam daje dach i chleba kawałek od tygodnia przynajmniej... Oj! „kulawy,“ tobie z oczu widać, że mię odprawisz z kwitkiem... słuchaj, byłbyś gorszym od całej tej kanalii, co to ich porządnymi obywatelami nazywają.

Krystyn słuchał uważnie, i ciężka walka toczyła się w jego sercu. O, jasnem było, jak na dłoni, czego odeń żądano. Zostać spólnikiem kradzieży, dopomódz do niecnej tranzakcyi!..

W kolonii za niewzruszoną zasadę uznawano pomiędzy małoletnimi przestępcami, że przyjaciela, kolegę w potrzebie opuszczać nie wolno. Jakkolwiek zdeprawowaną jest młodzież, zawsze u niej szlachetne popędy się znajdą. Forgeat, nawykły do tej solidarności, nie śmiał odmówić teraz swego poparcia Mahurelo-

wi, zwłaszcza, że przysługa należała do rzędu nader niebezpiecznych. Już przecież był posądzony o tchórzostwo i niewdzięczność.

— A więc dobrze — rzekł po krótkim namyśle. — Zrobię to, czego wymagasz odemnie... Chodźmy do owego żyda.

— Ślicznie! — zawołał Mahurel, podskakując z radości. — Omnibus nadjeżdża, właśnie w naszą stronę... Pozostało mi akurat dziesięć sous.. Pakuj się na górę!

W pół godziny potem wysiedli na przedmieściu Montmartre, przy rogu ulicy Cadet, i weszli do małego na pozór sklepiku.

Wnętrze tej brudnej nory posiadało charakterystyczną cechę prywatnych lombardów: nieład malowniczy, budzący niezdrową ciekawość. Na półkach, hakach, stołach wisiały lub leżały podniszczone ubrania, suknie, mundury, instrumenty przeróżne, obrazy i t. d. Z kasetki oszklonej wyzierały niedyskretnie kosztowne koronki, jakieś przedmioty pamiątkowe w rodzaju miniatur, cudnie malowanych i w złoto oprawnych, obrączek i krzyżów Legii z wyblakłą wstążeczką, których posiadacze rozstawali się z niemi zapewne w przystępie rozpaczy, zagrożeni nędzą.

Cała epopea niedoli ludzkiej!

Za osobną witryną widniał napis pociągający: „Sprzedaż okazyjna“ i cena każdej sztuki

biżuteryi w minimalnej cyfrze, dla zachęty prawdopodobnie.

— Idźmy tam—szepnął zły duch Krystyna.

Za dużą ladą, w pół-cieniu, siedział łysy, zgarbiony, z krogulczym wzrokiem Soldmayer, czyszcząc kawałkiem flaneli piękną, złotą bransoletę.

Na widok dwóch przybyłych interesantów, wrzucił ją coprędzej do woreczka i, wolno powstawszy, powitał gości skinieniem głowy.

Powierzchowność wszechmocnego lichwiarza nie przemawiała na jego niekorzyść. Przeciwnie, sądząc z wykwintnego ubrania, grubej dewizki od zegarka, sygnetu z brylantem na palcu i złotych binokli, można go było wziąć za akredydowanego agenta, operującego na giełdzie.

— A, to ty, Mahurel!—odezwał się głosem miękkim, opatrując podejrzliwie obu chłopców.— Drugiego nie znam... któż to jest, i co was tu sprowadza?..

Ominąwszy prezentacyę towarzysza, Mahurel zaczął trzepać w swojej szkaradnej gwarze ułożoną zawczasu bajkę: „Młody człowiek, w którym zakochała się piękna dama... faworytka pewnego księcia... tamtego puściła kantem, bo ten wart, żeby dla niego głowę stracić. I jak jeszcze!.. A markiza musi teraz po jednemu wynosić z domu swoje biżuterye... Na

dziś przypadł kolczyk... Przepyszne dyamenty!.. Drugi od pary schowała na czarną godzinę... Tymczasem zaufała ulubieńcowi“

Soldmayer przerwał tę gadaninę rubasznym śmiechem.

— Wszystko blaga od początku do końca! Dama zgłosiłaby się osobiście. Ale mniejsza o to. Pokażcie ten kolczyk, a ja wam oznaczę cenę... cenę przystępną... Tylko pamiętajcie o moich warunkach. Po załatwieniu interesu, jesteście dla mnie ludźmi zupełnie obcymi—żadnego z was nigdy nie widziałem.

Krystyn, na dany znak przez Mahurela, wyjął owinięty w papier klejnot i wręczył go żydowi. Krople zimnego potu perliły mu się na czole. Czuł, że mieszając się w tę nieczystą sprawę, ubliża sobie i przeniewierza się pamięci swego idealnego mentora.

Zapewne dla dokładniejszego zbadania *fantu* lichwiarz zbliżył się do okna i długo, długo przyglądał rzucającym tęczowe blaski kamieniom. Następnie, z powagą wymienił cyfrę:

— Trzysta franków!..

Mahurelem coś wstrząsnęło.

— Starego czepiają się żarty!..—syknął ze złością.—Kpiny, czy co? Ale pan może nie wie, że z „kulawym“ tak robić nie wypada... on zna się na rzeczach... prawda, bracie? Trzysta pa-

pierków?.. To szkoda czasu i gęby... Zabierajmy się... u *ciotki* nas lepiej przyjmą...

— W miejskim lombardzie, moje baranki— rzekł pojednawczo Soldmayer — trzeba pokazać legitymacye, zostawić swoje adresy... Tam chyba nie pójdziecie... Ale ja jestem łatwy do zgody, postąpię wam na dwadzieścia luidorów...

Te szkaradne targi między złodziejem a paserem trwały jakiś czas.

Na nieśmiałą propozycyę Mahurela wzięcia tysiąca franków, Soldmayer udał srodze niby obrażonego; wtedy przeciwnik posłużył się inną bronią, t. j. pochlebstwem. I to nie wiele pomogło. Z niewzruszonym spokojem padały z ust lichwiarza jedne i te same wyrazy:

— Czterysta... powiadam, ani grosza więcej!

Ostatnia nadzieja była w pośrednictwie Krystyna, ale ten milczał z obrzydzenia i wstydu, że nietylko jest widzem, ale i aktorem tej ohydnej sceny.

W końcu elokwencya głównego interesanta przeważyła szalę, i zgodzono się na franków pięćset.

Odsunąwszy w jakiś ciemny kąt cały stos odzieży, lichwiarz otworzył szkatułkę żelazną, przymocowaną do ściany, na której, gwoli obrony przed napastnikami, spoczywał lśniący, z niklowanej stali rewolwer; pieniądze leżały tam

w nieładzie, chowane zapewne z pośpiechem w miarę napływu gości.

Wszystkie te drobne szczegóły zarysowały się, rzecz dziwna, z nadzwyczajną dokładnością w pamięci biednego Forgeat. Patrzył, jak osłupiały, a serce biło mu niespokojnie; i straciwszy poczucie rzeczywistości, sam nie wiedział kiedy, popchnięty przez Mahurela, znalazł się na ulicy.

— A to pech!—mruczał ten ostatni z wyraźną do spólnika urazą.—Obiecałem ci trzecią część zysku, to prawda, ale dostaniesz tylko jedną setkę... jako dowód mojej głupiej dobroci... No, zawsześ mi trochę dopomógł... Brylanty sprzeda ten żyd podły za grubą sumę... dałbym za to szyję... A żebyś był chciał rozdziawić paszczękę i pisnąć z łaski swojej jedno choćby słówko...

Krystyn gwałtownie odepchnął rękę, podającą mu zmięty banknot, nie wahając się ani chwili.

— Schowaj dla siebie wszystko, Mahurel... Ja nie przyjmę tych pieniędzy... Schowaj i bądź zdrów!...

I o ile mu kalectwo dozwalało, umknął z przed oszołomionego towarzysza między tłum, gromadzący się zazwyczaj o tej porze na przedmieściach Paryża.

. . . . . .

W ciągu czterech lat nieprawy syn pana Lescuyer, prześladowany od losu, opuszczony od ludzi, bez praw, przywilejów, zdolności, nauki, a nawet mocnej pięści, bytował nędznie na bruku miejskim, nie splamiwszy się ani jednym karygodnym czynem. Zarabiał na chleb we wszelki możliwy sposób, ale zawsze uczciwie; zbierał, jak biedne wróbelki zaskoczone zimą, okruszyny, które spadały ze stołu możniejszych tego świata. Niekształtne, mało wyrobione pismo—ręka, do ciężkiej pracy nawykła, traci swoją elastyczność, jak wiadomo—pozbawiło go zajęcia biurowego, o czem marzył w skrytości ducha. Wszędzie odprawiano biednego petenta szablonową repliką:

— Nic dla pana zrobić nie możemy; nietyle inteligencyi, co kaligraficznej wprawy w palcach nam potrzeba

Sam Napoleon Wielki, którego autografy były nieczytelne, nie otrzymałby w żadnej dykasteryi najskrommniejszej nawet posady kancelisty, a cóż dopiero powiedzieć o człowieku, mającym tylko swój czas do zaofiarowania.

To też dostawały mu się, na dnie lub godziny, zajęcia, które inni wprost odrzucili. W skwarne, lipcowe upały i podczas styczniowych, rozdeszczonych wieczorów, sprzedawał prospekty na rogach ulic, zabawki dziecinne, ptaki śpiewające w klatkach — szczęśliwy, że

uzgarnianymi groszakami może zaspokoić niezbędne swoje potrzeby.

Po kilka razy udało się Krystynowi otrzymać miejsce stałe. I tak, przez pół roku pełnił obowiązki subjekta w składzie męzkich ubrań, następnie roznosił listy i posyłki — nie pieniężne, rozumie się — u jakiegoś handlowca. Ale bardzo rychło oba stanowiska przepadły. Krawiec zbankrutował, agenta zaś, posądzonego o sprzeniewierzenie, aresztowano i zamknięto w więzieniu.

Jednem słowem, niepowodzenia i zawody na każdym kroku!

Krystyn sypiał teraz w przytułkach noclegowych, posilając się raz na dobę w podrzędnej garkuchni. Kogóż tam spotkać można było? Włóczęgów, recydywistów, ex-wychowańców kolonii w Plateau, którzy powrócili do dawniej praktykowanego rzemiosła, t. j. kradli i chełpili się tem cynicznie. Kiedy wołano na niego: „jak się masz, kulawy“ i po koleżeńsku częstowano kieliszkiem cuchnącej wódki, stępiały już moralnie chłopak nie opierał się tym wezwaniom, nie odczuwał wstrętu do tej kałuży; newet milcząca jego aprobata dowodziła, że ostatnie skrupuły rozpraszały się, jak mgła, pędzona ostrą wichurą, i w miękkim, chwiejnym jego charakterze nastąpiła chwila przełomu. A, bo też to i egzystencya tych nędzarzy straszną jest;

i los względem nich okrutny i społeczeństwo nielitościwe!

Ten dwudziestopięcioletni człowiek, wysoki, dobrze zbudowany, o sympatycznej, urodziwej powierzchowności, nie zaznał dotąd miłości żadnej kobiety, w szlachetnem tego słowa znaczeniu. Kiedy zdarzyło mu się zarobić jakąś większą kwotę pieniedzy, topił ją w niecnych uciechach aż do ostatniego grosza, cierpiąc potem głód, i troszcząc się bezowocnie o jaki taki dach nad głową. Pamiątka po Szymonie Benoit, z którą obiecał nigdy się nie rozstawać, złoty, staroświecki zegarek, dawno już oddaną została do lombardu, tylko przez poszanowanie drogich wspomnień, a może z przesądnej obawy utracenia tego jedynego skarbu, nosił zawsze przy sobie dowód zastawniczy, regularnie w terminach oznaczonych opłacany.

XIV.

Gdy w dusznej, przytłaczającej atmosferze sierpniowego wieczoru widzieliśmy Krystyna Forgeat, jak śledził wzrokiem tępym zawrotny bieg rzeki, pod arkadą Dyabelską, nieszczęśliwy był wtedy u kresu sił i odwagi. Od tygodnia szukał pracy, bez żadnego rezultatu—Paryż

bowiem w letnich miesiącach jest wyludnionym, jak cmentarz — przez całą dobę nie miał co do ust włożyć. Wyczerpany głodem i rozpaczą, patrzył na rzadkich przechodniów z niemą prośbą o pomoc. Wszyscy jednak omijali go bez zwrócenia uwagi na tę dziwną postać, która przecież jałmużny nie zdawała się żądać. Jakiś mały uczeń, wracający ze szkoły, upuścił, w roztargnieniu zapewne, wprost pod jego stopy dużą kromkę chleba. Krystyn, obejrzawszy się starannie dookoła siebie, rzucił się na tę zdobycz niespodziewaną, i z wilczym apetytem ją wchłonął. Następnie powrócił na miejsce obserwacyjne, i w ociężałej głowie zaczęły mu wirować, nakształt tych fal niebezpiecznych, czarne, złowróżbne myśli.

Skończyć samobójstwem? Skrócić za pomocą jednego do wody skoku te niewysłowione męczarnie? Może. Ale nawet to instynktowne w nim pragnienie wymagało pewnej dozy energii i stanowczości, aby zamienić się w czyn, a on ich, niestety, nie posiadał już wcale.

Pierwsze uderzenie godziny siódmej na ratuszowym zegarze wyrwało go z tego bolesnego odrętwienia. Drgnął, jak ktoś raptownie zbudzony. Cała groza położenia przedstawiła mu się jasno, w potwornych zarysach. Gdzie na to rada, w kim ucieczka? I nagle przy-

pomniał sobie o kwicie na zastawiony zegarek, który można było sprzedać za najmniejszą choćby cenę.

Tak. To ostatnia deska ratunku!.. Starą, szczerozłotą cebulę oceniono na sto franków. Forgeat dostał za nią tylko czterdzieści — jest zatem szansa otrzymania przy złożeniu dowodu, jako fantu, od jakiego lichwiarza przynajmniej kilkunastu jeszcze franków. Nie umrze z głodu narazie, bo o przyszłości wyrokować trudno... Albo nie! — Zwierzęce popędy wzięły górę.

— Jak tylko zgarnę mamonę—układał sobie, idąc szybkim krokiem — siadam na werendzie u Gamache'a; filiżanka kawy, pół butelki likieru, dobre, mocne cygaro i jedna, co ładniejsza, z panienek, które się tam snują — oto moja uczta i nagroda za tyle mękil...

Ej! szlachetny, a nieprzewidujący Szymonie Benoit, na co się zdały twoje heroiczne wysiłki? Dar, mający być puklerzem przeciwko pokusom i upadkowi moralnemu ucznia twojego, nie przyniósł mu szczęścia, nie obronił od złego!..

Po czterech latach nieustannej z losem i przeciwnościami walki, Krystyn zmuszony jest żywić się kawałkiem chleba, znalezionym na ziemi, z czystego przypadku...

Władysława Rudzińska

Dosyć tych sentymentów i świętych pamiątek!

Gdzieby się tu dało zfaciendować jak najprędzej kwit lombardowy? Przecież lichwiarzy w Paryżu nie braknie. Jest ten żyd z ulicy Cadet, do którego chodzili obaj z Mahurelem... Oszust, wydzierca—to prawda, ale oni wszyscy jedno warci. A jeżeli nie da trzydziestu franków, sprobujemy gdzieindziej. Trzeba się przekonać najpierw, czy buda jego jeszcze nie zamknięta.

Zmrok szary rozpościerał się już na wązkich zaułkach przedmieścia, niebo nabierało ołowianej barwy, zapalano gaz tu i owdzie, wozy i omnibusy dudniły po nierównym bruku.

— Nieustępne i twarde, jak kamień, żydzisko! — rozważał w duchu Forgeat — a niewierny, gorzej turka... Jakbym go widział zamykającego ostrożnie szkatułę z pieniędzmi... a tuż obok leży nabity rewolwer, przygotowany w razie napadu złodziei.. Żaden z tamtych nie ukradł tyle, co on... Niech siedzi w piekle po uszy, bylebym ja przedtem wyciągnął od niego tyle, wiele mi potrzeba... Bo już dzisiaj żałować sobie nie myślę.

Wszedłszy do sklepu, oświetlonego tylko jedną wiszącą lampą, nie zastał w nim, trafem szczególnym, ani żywej duszy. Soldmayer, zagłębiony w fotelu, z otwartą księgą na kola-

nach, podniósł szybko głowę, zadając zwykłe pytanie:

— Co pan sobie życzy?

Krystyn wydobył szybko dowód zastawniczy z kieszeni i podał go lichwiarzowi.

— Ile ja za to mogę dostać?—rzekł ostrym tonem.

Zamiast odpowiedzi, żyd, któremu przez te lat kilka nie przybyło ani jednego siwego włosa, ani jednej zmarszczki na bladej, nalanej twarzy, założył złote binokle, odczynał dokument, i z wielką uwagą zaczął się klientowi przypatrywać. Po chwiii, widocznie jakieś niekorzystne dla gościa wspomnienie przeszło mu przez głowę, gdyż odezwał się z odcieniem nieufności:

— Ja was znam już, mój panie... Zdaje mi się, żeś tu był kiedyś... z Mahurelem.

— Pamięć tego łotra nie zawodzi — myślał, podrażniony na wstępie Forgeat.—A dlatego, że służyłem za spólnika złodziejowi wtedy, teraz mię niezawodnie po szelmosku ograbi. Ale ja nie ustąpię. Musi mi dać trzydzieści franków!

— Biedak, ten Mahurel...—ubolewał stary Judasz. — Czy nie miałeś od niego listu z Nowej Kaledonii? Ale bo też pomysł niefortunny żeby się przyłączyć do bandy, która operowała letników na prowincyi. Na tem się nic nie zy-

skuje, lub bardzo mało. No, a pięć lat galer, to nie bagatela, nieprawdaż?.. Istotnie, nie wiadomo panu, co on tam porabia w Noumi? Przecież to twój przyjaciel i towarzysz.

Niecierpliwość i gniew ogarniały Krystyna.

— Możesz mi pan wierzyć, albo nie, jak mu się podoba. Ja nie jestem złodziejem i nie widziałem Mahurela od tej pory, kiedyśmy ten targ o kolczyk u pana prowadzili. Dziś chodzi o zupełnie coś innego. Wiele można na taki kwit dostać?

Soldmayer skrzywił się znacząco, szkaradnie.

— Te ich dowody zastawnicze z lombardów akcyjnych to zawsze przesolone... Tam płacą więcej, niż połowę wartości fantu... To wcale nie dla mnie za interes... Zegarek złoty, puszczony za czterdzieści franków—cóż to może być?.. Familijna cebula, z zepsutym werkiem i połamanemi sprężynami... Nie mam wielkiej ochoty na takie rzeczy pieniędzy ryzykować... Zresztą, przez pamięć na Mahurela...

I patrząc Krystynowi prosto w oczy, zapytał:

— Weźmiesz pan piętnaście franków...

— Ani myślę!.. Zegarek staroświecki—to prawda, ale obiedwie koperty, choćby ocenione na wagę złota, warte są najmniej pięć luidorów... Niech się pan nad tem zastanowi i da

mi parę czerwieńców. Drugie tyle przypadnie mu czystego zysku, zaręczam.

— To już lepiej odnieść to tatusiowi odrazu, a pieniądze będą pewne! — zawołał żyd z cynicznem śmiechem. — Nie! oni są wyborni, ci młodzi ludzie!.. Czy wam się zdaje, żeście mię wzięli na tę blagę wtedy, przy zastawianiu kolczyka?.. Żebyś był przyszedł, kawalerze, sam, bez tego nicponia oderwanego od stryczka, Mahurela — jednem słowem..! to, kto wie? możebym ci dzisiaj uwierzył... Już zawczasu słyszę twoje bałamutne gadanie: „Babcia zostawiła mi tę pamiątkę, trudno mi się z nią rozstać, wykupię niedługo“ i tym podobne faramuszki. Czterdzieści franków? Dalibóg, paradne!.. Przychodzi to tałałajstwo niewiadomo zkąd, zabiera człowiekowi pracy czas, kłamie, wmawia, i żąda gotówki, jak jaki przemysłowiec, albo poważny kupiec, na poczekaniu... Widzisz, mój panie, gdyby nawet jaka uboga wdowa z gromadką dzieci odważyła się na taką propozycyę, nic bym jej więcej nie dał, chociaż mam dobre serce... Powiedziałem swoją cenę... Chcesz piętnaście franków?.. Nie?.. Żegnam...

Krystyn drżał z oburzenia. Nerwy wypowiadały mu posłuszeństwo. Uczucie wściekłej nienawiści przeciwko temu nikczemnikowi owładnęło nim nagle z niepojętą siłą. Do oszustwa wyraźnego, podłego, dodać upokarzający sar-

kazm... O! tego już znieść niepodobna!.. Z jakąż dziką rozkoszą wypoliczkowałby tę twarz Judasza! Ale na co się to przyda? Trzeba szukać innego lichwiarza... A czy znajdzie się między nimi choć jeden uczciwy?..

— Dosyć tego! — syknął przez zaciśnięte zęby.—Przyjmuję!..

Soldmayer, wzruszywszy lakceważąco ramionami, poszukał w kieszonce od kamizelki żądanej monety, a gdy ta okazała się niewystarczającą, poszedł w głąb sklepu, aby otworzyć wiadomą szkatułkę, przymocowaną do muru.

W jednem oka mgnieniu, niby druzgocące uderzenie piorunu, które wznieca raptowny pożar, w mózgu Krystyna powstała straszna idea... zbrodni.

Przypomniał sobie ową kasetkę ciężką, napełnioną banknotami, rewolwer o zimnym, stalowym połysku, i gwałtowne pragnienie zgładzenia ze świata Soldmayera oślepiło go nagle, jak błyskawica, rozpalając krew w żyłach, powstrzymując bicie serca.

A! pomysł szalony, niedorzeczny, niewykonalny!..

Tygrysim skokiem Krystyn rzucił się na lichwiarza, obalił go na ziemię i, zanim żyd w najwyższem przerażeniu zdołał o pomoc zawołać, napastnik pochwycił broń i trzykrotnie strzelił w głowę ofiary.

Krew trysnęła strumieniem, oczy powlekło bielmo—członki zesztywniały w jednej chwili.

Oprzytomniawszy, na widok tego trupa, Forgeat cofnął się ze zgrozą. Zdawało mu się, że do sklepu wchodzi tłum ludzi obcych, wskazują na mordercę, wiożą go i uprowadzają ze sobą. Nic z tego wszystkiego!

Czyste złudzenie nerwów wzrokowych.

Turkot, gwar i zgiełk uliczny zagłuszyły huk wystrzału.

Na pół obłąkany ze strachu, zbrodniarz cisnął rewolwer, nabrał pełnemi garściami pieniędzy ze szkatułki i, wypchawszy niemi kieszenie, wybiegł szybko.

Nieustannie płynąca fala przechodniów uniosła go wkrótce bez śladu.

Cztery lata! Ten nieszczęśliwy człowiek walczył przez całe cztery lata, dzień po dniu, godzina po godzinie, z pokusami, z własną słabością, głodem, nędzą, aby nie zejść z drogi prawej, aby pozostać uczciwym. I oto, w przystępie szału momentalnego popełnił kradzież i zabójstwo. Jaskrawe światło, bijące z okien jakiejś kawiarni, padło na ręce Krystyna. Ani jednej kropli krwi!... Tem lepiej!... Stało się... nakoniec...

On już tyle w swem krótkiem życiu wycierpiał, że ta zbrodnia stanęła przed jego roz-

ognioną wyobraźnią, jako brutalny akt wyzwolenia. Ponieważ niebezpieczeństwo żadne nie groziło mu natychmiastowo, więc przystanął i głęboko, pełnemi piersiami, z wyraźną ulgą odetchnął.

XV.

Nazajutrz po dokonanem morderstwie, o którem wieść nie doszła jeszcze do uszu chciwej sensacyjnych wrażeń publiczności paryzkiej, pan Lescuyer, obecnie już na posadę sędziego Trybunału przeniesiony do stolicy, pracował usilnie w swoim ogromnym gabinecie przez kilka godzin z rzędu. Z gęstych, siwych włosów, twarzy pomarszczonej, woskowo bladej, ściągniętych groźnie brwi, można go było wziąć za starca, a bez żadnej wątpliwości przynajmniej, za nieodrodnego syna ś. p. starego radcy.

Pomimo szybko powstałej, świetnej prawie karyery, pan Lescuyer nigdy się nie czuł szczęśliwym. Złożyły się na to różne okoliczności, a głównie straty rodzinne.

Dwudziestoletnia już córka, zawieszona przez ten długi okres czasu między życiem

a śmiercią, zgasła na rękach ojca w roku ubiegłym.

Zamiast pogrążyć się w nieuleczalnej rozpaczy, Lescuyer wytężył wszystkie władze intelektualne w kierunku produkcyjnym, i zabrał się do napisania wiekopomnego dzieła z dziedziny prawa karnego. Pięć tomów, a było to dopiero połowa całości, które wydawcy dużem staraniem i kosztem w świat czytający puścili, zdobyły autorowi poczestne miejsce między legistami. W Izbie sądowej, której został członkiem od niedawna, wysoko ceniono jego głęboką wiedzę i bystrość sądu; koledzy, a nawet zwierzchność, żywili dlań prawdziwy szacunek, i można śmiało powiedzieć, że wybitne stanowisko mógłby był osiągnąć bez trudu w tej hierarchii. Ale ten zimny, poważny, nieskazitelnych obyczajów i charakteru jurysta umiłował jedynie pracę, jako pocieszycielkę i dźwignię w zawodach życiowych, a podszepty ambicyi i światowe ponęty obcemi mu zawsze i niemiłemi się wydawały.

Jakkolwiek w porze feryi wszyscy urzędnicy mają zupełne prawo do wypoczynku, Lescuyer miesiące letnie, najprzykrzejsze dla przebywających w mieście, przeznaczył na wykończenie szóstego tomu swego dzieła.

Nie śmiemy twierdzić, że ta wyczerpująca robota dała jego umysłowi pożądany spokój

i zapomnienie. Wielka wina młodzieńca, dowód szczególnego egoizmu i braku tkliwych stron serca, zaciążyła nad całą egzystencyą człowieka dojrzałego wiekiem i doświadczeniem. Na dnie jego sumienia pozostały niezatarte ślady, których echo mąciło czasem melancholijny nastrój tej duszy, zamkniętej w sobie, jakimś ostrym, bolesnym rozdźwiękiem. Napróżno Lescuyer mawiał do siebie, w długich godzinach rozmyślań nad przeszłością:

— Przecierpiałem już tak wiele—niech to starczy za pokutę..

Potem przychodziła zaraz inna, słuszniejsza refleksya:

— Jakżeż ja mogę sądzić własny postępek? Nie wolno mi rozgrzeszyć się, dopóki złe nie jest naprawione.

I wertował uparcie stare księgi, zaciekał się nad badaniem praw przyrodzonych i nabytych jednostki ludzkiej, szukając w tem niejako usprawiedliwienia dla czynu, na który niema odnośnego paragrafu w żadnych Voluminach Legum. Owego dnia jednak denerwujący wpływ atmosfery, wprost ziejącej ogniem, udaremniał wysiłki cichego pracownika.

— Dosyć tego na dzisiaj! — rzekł, odsunąwszy nagromadzone na biurku foliały - duszę się formalnie. Trzeba odetchnąć innem powie-

trzem. Zanadto jestem osamotniony tutaj, w tych czterech ścianach!.. Ach! Co za życie!.

Wyjrzał przez okno, ale nie spłynęło nań ztamtąd kojące wrażenie. Niebo pokryte, jakby ołowianym pancerzem, plac Królewski pusty, gdzie tułają się jeszcze dotąd wspomnienia upadłej wielkości, martwy, z szarego wykuty marmuru posąg Ludwika XIII, rzadcy przechodnie, obezwładnieni upałem, i drzewa przysypane kurzem miejskim, przedwcześnie pożółkłe od gorąca — oto wszystko. Widok niezdolny odżywić niczyjego pognębienia.

Jak zwykle w takich razach, znalazła się ucieczka.

Lescuyer przypomniał sobie o dawnym przyjacielu, z którym nie widzieli się od kilku prawie miesięcy.

Nic nie pomogły nagrody, medale, zamówienia, okazała pracownia, nawet własny ogródek objętości sporego półmiska, rzeźbiarz, znany i chwalony ogólnie, zawsze na brak fortuny utyskiwał. Co prawda, to trudno było jego żartów na temat własnej osoby, na pół ironicznych, na pół smutnych, za narzekanie poczytywać; istota obdarzona taką pogodą umysłu, jak Franek Donadieu, nigdy nieszczęśliwą się nie czuje, i żalu do świata mieć nie może—starczą jej bowiem zasoby serca i aspiracye wyższego autoramentu: umiłowanie sztuki.

Aby dostać się do mieszkania artysty, trzeba było przejść pół Paryża co najmniej, i Lescuyer, zadowolony na tę chwilę z takiej odległości, szedł wolno przez Quartier Latin i ogród Luksemburgski, opędzając się natrętnym wspomnieniom, które go tu zewsząd oblegały. Na placyku, blizko gmachu Obserwatoryum, zastąpiła mu niechcący drogę jakaś osoba korpulentna, w eleganckiej, rannej toalecie, słomianym kapeluszu na jasnych, jak słońce, włosach, która popychała przed sobą wózek dziecinny, wdzięcznie przybrany, a w nim śliczne maleństwo.

Pociągnięty tym obrazkiem, Lescuyer spojrzał uważniej, i ku wielkiemu swemu zdziwieniu, poznał panią Heloizę Donadieu. Mimo otyłości, w skutek której posągowe niegdyś kształty kobiety straciły pierwotną doskonałość, nic jej nie ubyło na wdzięku w wyrazie twarzy i dobroci spojrzenia. Zawsze jednako wesoła, uśmiechnięta, prosta i szczera w obejściu, Heloiza nietylko pozostała kochającą towarzyszką swego męża, ale i opiekunką ubogich modelek, które mu pozowały, i niejedną z nich z błędnej ścieżki zdrowemi a życzliwemi radami nawróciła.

— Ach! to pan, drogi przyjacielu!—wołała radośnie, ściskając poważnemu juryście dłoń po męzku, z zamaszystością. — Jak to dobrze, że

myślisz nas odwiedzić! Mój „bożek“ dziwi się ogromnie pańskiej nieobecności.

— A czy zdrów? Po dawnemu bezkłopotliwy?

— Naturalnie. Zaraz go pan zobaczysz. Krąży z drugiej strony kanału, i tutaj naznaczyliśmy sobie spotkanie... Zostanie pan u nas na obiedzie, spodziewam się... Mam akurat wybornego melona...

Lescuyer, przyjąwszy zaproszenie, przypatrywał się ciekawie dziecku, które usnęło tymczasem w swojej ruchomej kolebce.

— Ależ, prawda!.. Muszę panu zaprezentować naszego małego „ludożercę.“

— Ludożercę?—powtórzył zdumiony sędzia.

— Nazywamy go tak, bo ma potworny apetyt... Wzięliśmy sobie tego bębna przed pół rokiem na zupełną własność. Franek ubolewał często, że w domu pustka—ani hałasu, ani wesołości, niema kogo pieścić i strofować. Zwierzątko, choćby miłe i ładne, to nie zastąpi przecież dziecka, co nas rozumie i kocha. Cała menażerya się u nas przewinęła: psy, koty i ptaki najrozmaitsze, a ja widzę, że „bożek“ wciąż czegoś innego pragnie! Więc idę po rozum do głowy i mówię mu tak nawiasowo: „A możebyśmy przybrali sobie i wychowali jakiego synka?“ I pewnej niedzieli ja, z umysłu milcząca, on rozradowany tym zamiarem, udajemy się do

Schronienia podrzutków, gdzie przy ogromnym napływie dzieci, tylko wybor jest trudny. Franek podpisał plikę papierów z pieczęciami, i dano nam odrazu „ludożercę.“

Heloiza opowiadała to wszystko z nadzwyczajną prostotą, a jej poczciwe spojrzenie przenosiło się kolejno z uśpionego niemowlęcia na wzruszoną twarz mężczyzny.

— Jacy wy nieopisanie dobrzy jesteście oboje—szepnął Lescuyer, do żywego dotknięty porównaniem tego miłosiernego czynu z własnem samolubstwem.

Nie leżało bynajmniej w intencyach pani Donadieu urazić gościa w jakikolwiek sposób, a to zestawienie nasunęło się bezwiednie prawie krytycznemu jego umysłowi.

— No, przechodzę teraz do szczegółów — prawiła w dalszym ciągu kobieta—mój wychowaniec ma rok niespełna, karmi się sztucznie za pomocą flaszki i posiada urodę wyjątkową, nieprawdaż?.. Cała ta sprawa nie kosztowała nas ani trudu, ani pieniędzy... Ale pomysły miewam świetne, proszę mi to przyznać. „Bożek,“ stale dotąd zachwycony, jest w siódmem niebie, a kochamy malca nie gorzej od tamtych czworonożnych ulubieńców... Biedna dziecina!.. Czy podobna, aby byli na świecie rodzice tak wynaturzeni?...

Nagle, rzuciwszy okiem w stronę Lescuyer'a, dodała znacznie łagodniejszym tonem:

— Nie! Nikomu nie trzeba złorzeczyć!... Temu winną jest tylko nadmierna nędza...

Lescuyer czuł, że rumieniec wstydu pali mu czoło, więc aby zatrzeć to przykre wrażenie, Heloiza krzyknęła:

— Otóż i sam „bożek“ się tu nareszcie zjawia!

Artystę ubiegłe lata niewiele zmieniły. Mimo czupryny i wąsów szpakowatych, zachował cechy młodości w fizyonomii, postawie i ruchach.

— A! bywajże, bywaj, szanowny trapisto! Memento mori!—odezwał się na powitanie z serdecznością w głosie. — Nie wiem, który z nas głupszy, co?... Bierzemy życie każdy z odwrotnego końca! No, ostatecznie, kiedy zdobyłeś się na to ustępstwo dla mnie i wyszedłeś ze swojej celi—wszak i cyganie podobno pozwolą się wieszać dla miłej przyjaźni — to zjedzmy obiad wspólnemi siłami. Dobrze? Doskonale trafiłeś, mój bracie, z oddaniem nam wizyty, bo jutro umykamy na wieś; aż do ostatnich dni jesieni trzeba obcować z przyrodą. Jestto modne i.. skuteczne. No, niech cię ucałuję, kochany Krystynku!..

Krystynek, co prawda, miał wygląd starca i powagę zakonnika, ale przez nawyknienia lat młodocianych, a zwłaszcza szczerą, koleżeńską

przyjaźń, Donadieu nigdy go inaczej nie nazywał.

— Heloiza pokazywała ci już zapewne naszego bachora? – rzekł znowu, spoglądając tkliwie na śpiącą dziecinę.

— O, tak — odparł Lescuyer — wiem o wszystkiem, i poznaję waszą dobroć w tym czynie szlachetnym.

— Ba, ba!—przerwał rzeźbiarz na pół seryo, na pół rubasznie—także mi wielka zasługa!.. Zwierzęta nam nie wystarczały—ot i cały sekret... One wcale gadać i uśmiechać się, jak ten np. malec, nie potrafią. U niego obejdzie się bez naciśnięcia sprężyny, żeby powiedział „tata“ albo „mama,“ a przytem tak komicznie przewraca się po ziemi. Zaledwie ujdzie kilka kroków — bach, i zaraz organki aż miło!.. Ale jakiż ja strasznie głodny! Słuchaj-no, matka, możebyś tak kucharkę w szybszy ruch wprawiła? Już siódma, bardzo późno... a nie zapomnij przydźwigać z piwnicy jakiej butelczyny wina... wiesz, tego z wyższej półki. Nie traćmy drogiego czasu, proszę moich państwa! Żeby awantury w domu nie zrobić, opóźnimy umyślnie nasz powrót z tym młodzieńcem. Do widzenia!..

— Ja tylko pobiegnę po deser, coś słodkiego—szepnęła Heloiza mężowi na ucho.

Przyjaciele szli zwolna. Artyście, wpatrzo-

nemu w kolebkę, przyszło nagle do głowy, że jego towarzysz poniósł świeżo taką ciężką, niepowetowaną stratę, że jest w żałobie, i prosta delikatność nakazywała powstrzymywać wobec niego swoje objawy błogiego zadowolenia. To też czemprędzej powiedział:

— Prawdziwe ze mnie bydlątko!. Popisuję się z tem mojem rzekomem ojcowstwem, nie bacząc zupełnie na twoją boleść i smutek. Nie masz żalu o to, stary druhu?..

— Jak możesz przypuścić coś podobnego? — odrzekł Lescuyer, któremu wzruszenie ściskało, jak kleszczami, serce.

Przyszedłszy do domu, towarzystwo nie odrazu zasiadło do stołu. Aby spokojnie spożyć obiad, pani Donadieu musiała najpierw asystować przy nakarmieniu i ułożeniu na nocny spoczynek dziecka, przyczem nie obeszło się bez pieszczot i zachwytu. Istotnie, chłopczyk był ładny, różowy, i nad wiek silny.

— Dzieciństwo Gargantuy — rzekł Lescuyer, mimowolnie się uśmiechnąwszy.

— A! żebyś jeszcze zobaczył tego panicza w stanie natury—pycha, wierzaj mi—unosił się rzeźbiarz — ja go uwiecznię; już pierwszy szkic zrobiony.

Kiedy nareszcie przybrani rodzice cokolwiek z egzaltacyi ochłonęli, zaczęła się przy jedzeniu swobodna pogawędka.

Jako ex-gryzetka paryzka, co znaczy mało oświecona a ciekawa, Heloiza czytywała w dziennikach tylko artykuły o sensacyjnej treści i rubrykę spraw kryminalnych, więc i teraz zaczepiła gościa swego nagłem pytaniem:

— Ale, ale, co też pan sędzia myśli o wczorajszym wypadku? Morderstwo na ulicy Cadet...

Fakt wspomniany był zupełnie obcym panu Prokuratorowi.

— Jakto? Taka okropna zbrodnia? I pan o niej nie słyszał dotąd? Przecież to należy do pańskich atrybucyi. Natychmiast opowiem. Właściciel składu starej garderoby został zabity we własnym sklepie, wieczorem, w najludniejszem przedmieściu Paryża. I to kulą z pistoletu!.. I niema świadków. Zabójca odszedł sobie najspokojniej, ze zrabowanemi pieniędzmi, naturalnie... i przepadł, jak kamień w wodzie... Cały dzień o niczem innem dokoła nas nie mówią... Aż strach jeży włosy na głowie!.. To pan chyba nie miał w ręku rannego Petit Journal?

— Ona słusznie się dziwi — wtrącił Donadieu, żartując. — Cóżby cię więcej interesować mogło od zwykłego bandytyzmu? Te ptaszki przeważnie dostarczają ci roboty... Z tego masz chleb, nieprawdaż?..

Poczciwą mieszczkę najbardziej zdumiewała bezczelna odwaga i bezkarność zbrodniarza.

— No, niech pani będzie pewna, że on niedaleko tem zajedzie—odezwał się zamyślony Lescuyer;—jeżeli rzeczy tak stoją, jak dziennik głosi, to go przytrzyma policya niebawem. Ja zgaduję, co to za rodzaj przestępcy: Urlopnik na oku władzy niezawodnie, który zacznie wydawać skradzione pieniądze bez miary i ostrożności, i przez to się zdradzi. Może już jest w więzieniu o tej porze.

— Tem lepiej — zawyrokowała Heloiza — niech mu utną szyję! Jak tacy złoczyńcy grasują, nie można spać bezpiecznie!..

Donadieu subtelniejszy i w gruncie więcej tolerancyjny, niż żona, był stanowczym przeciwnikiem kary śmierci.

— Zwolna, zwolna, mościa pani. Niechaj wywożą do innych części świata tę hołotę, niech jej każą ciężko pracować, i owszem, nie stawię temu żadnych przeszkód. Ale szubienica, gilotyna. Brr! to straszne! Zaraz znać, moja droga, żeś tego na własne oczy nie widziała!..

I w kilku malowniczych rzutach dał obecnym obraz niewymownie smutny egzekucyi pewnego skazańca.

Było to w pełni lata, pod błękitnem sklepieniem niebios. Mrowisko ludzkie roiło się na placu kaźni, wydając krzyki, gwiżdżąc i śpiewając na przemiany. Nic mu nie imponowało: ani powaga «chwili, ani ponuro zbliżająca się

śmierć, ani widok tortury człowieka!.. Widowisko stokroć więcej zajmujące od wielu innych. Taki upadek i spodlenie w tej dzisiejszej społeczności, że aż zgroża, iż do niej należymy. Kiedy zakomenderowano: „Prezentuj broń!" rozpoczęła się ohydna scena: wycie, urąganie nieszczęsnej ofierze tego rozbestwionego tłumu. Ach! gdybym żył jeszcze sto lat, nigdy tych wrażeń nie zapomnę... Wszyscy przeciw jednemu! Publiczność, magistratura, wojsko, oprawcy!.. Nie! To rzecz przerażająca, piekielna!..

— Występek musi być jednak ukarany!— rzekł głosem twardym Lescuyer. — Wymaga tego prawo i porządek społeczny.

Ale artystę te argumenty nie przekonały. Zapalił się do obrony swego twierdzenia, i perorował w dalszym ciągu równie gorąco i poczciwie: „Kara śmierci, to szczątki epok barbarzyńskich. Niewolno odbierać życia podobnej sobie istocie, bez względu na pobudki, które ją do zbrodni popchnęły. Należy sądzić przestępcę nie według czynu pojedyńczego, ale według całości jego stron dodatnich, temperamentu, woli i środowiska, w którem egzystuje. Ileż to razy haniebne postępki uchodzą bezkarnie, ponieważ nie zostały przewidziane i objęte Kodeksem."

Na niedowierzające ruszenie ramion przyjaciela, wybuchnął nowem oburzeniem:

— Wierzaj mi, że te idee ugruntowały się we mnie jeszcze mocniej, kiedyśmy poszli z żoną do Schronienia podrzutków, aby wziąć ztamtąd naszego malca... Co za przygnębiający widok! To potomstwo, owoc miłości i grzechu, takie nędzne, chorowite, często z dziedzicznem kalectwem, które im na zawsze pozostaje. O! nie łatwo nam było wyszukać zdrowego dziecka. Ale dajmy na to, że staranna opieka, hygieniczne warunki zniszczą wszelkie niedobory i wady organizmu tych biedaków — jakaż przed nimi otwiera się przyszłość? Co ich czeka po wyjściu z przytułku? Nędza absolutna, a następnie zatopienie się w kałużach życia.. Gdyby mi powiedziano, że zabójca lichwiarza z ulicy Cadet jest dzieckiem nieprawem, a ja mógłbym należeć do grona sędziów przysięgłych, ach! wielebym też, dla złagodzenia wyroku, przytoczył okoliczności łagodzących. Czy wiesz, co mi nurtowało po głowie, gdy patrzyłem na te zastępy sierot? Oto myśl o ich nikczemnych ojcach, którzy bezmyślnie, albo z głębszą premedytacyą porzucili uwiedzione przez siebie kobiety.. Bo to zawsze jedna, stara, jak świat, historya!.

No, mój dostojny magistrze prawa, otwórz Volumina Legum, przewertuj rozdział o docho-

dzeniu ojcowstwa... *motus*!... Tak, położywszy dłoń na sercu, sięgnąwszy aż na dno sumienia, czy możesz utrzymywać, że taki czyn nie woła o pomstę do nieba? Gdzież jest wasza nieomylna sprawiedliwość? Czy podobny uwodziciel nie powinien być karany więzieniem?

Blady, jak płótno, z oczyma spuszczonemi, nerwowo drżący na całem ciele, Lescuyer słuchał tej długiej przemowy, której każde słowo chłostało go, niby ostrym biczem, w milczeniu ponurem.

Może zapalny, ale pełen delikatności gospodarz domu spostrzegł wywołane na gościu wrażenie, dosyć, że bardzo szybko przechodząc do innych, mniej drażliwych tematów, rozpoczął żartobliwy opis pracowicie przez siebie spędzonego dnia, i karyery, nadspodziewanie świetnej jednego z miernych, a w modzie będących malarzy.

— To prawdziwie śmiechu warte!.. Ciskają ci na wstępie już piaskiem złotym w oczy! Kartę odbiera groom w liberyi, odziany na wzór służby z przedmieścia Saint-Germain, i niesie ją swemu panu majestatycznie, na srebrnej tacy... A przedpokój, ze lśniącą posadzką i rzadkiemi krzewemi,. a schody monumentalne, z dębu rzeźbionego... Człowiek taki marny, jak ja, lęka się poprostu tych wspaniałości... Zastałem tego cygana, Verdala, przy malowaniu małego

czarnego pudla, z kosztowną obrożą na szyi. To paskudne zwierzątko stanowi nieodbitą część obrazu, t. j. portretu pięknej kreolki, której mąż był prezydentem rzeczypospolitej Ekwador, czy jakiejś tam innej, przez jedną naturalnie dobę, akurat tyle czasu, aby zdewalizować kasę tego wielkiego mocarstwa. Proszę sobie wystawić komiczną sytuacyę mistrza pendzla, który chcąc utrzymać pozującego pieska w niezbędnym spokoju, musiał mu co kwadrans kłaść w pyszczek spore kawałki cukru. Ale to wszystko robi się teraz dla miłego grosza. Verdal maluje całe dnie bez przerwy tak, jak maszyna pończosznicza np., portrety po dziesięć tysięcy franków, i napycha sobie tym sposobem trzos, nie gorzej od wielu handlujących nierogacizną. Mówią o nim złośliwi koledzy, przez zazdrość zapewne, że nos wyciera zazwyczaj dopiero po zachodzie słońca, każde bowiem położenie palety wytrąca mu z kieszeni conajmniej jednego luidora, a już katar, to prawdziwa dlań klęska. I taki rzemieślnik śmie ubiegać się, aby go przyjęto do Akademii, a traktuje biedniejszych z partesu, nie zawsze łaskawie. Tak, moi drodzy, przy poniewierce sztuki, artyści na psy zejdą!..

XVI.

Około jedenastej, przywrócony do równowagi umysłu, a nawet rozbawiony po trosze, Lescuyer powracał do domu. Noc była pogodna, gwiaździsta, chłodne powiewy oczyściły atmosferę. Na werendach kawiarni, przed drzwiami sklepów rozsiedli się właściciele tych zakładów, używając, w negliżu po większej części, dobrze zasłużonego wypoczynku.

Pan prokurator nie śpieszył się; wciągał w płuca ożywczą woń rosy, przystawał gdzieniegdzie, aby dłużej oddychać świeżem powietrzem. Ta chwila swobody, oderwania od trosk i pracy, wydawała mu się wyjątkowo pożądaną i miłą.

Wszedłszy do swego gabinetu, zapalił więcej świateł — lampy nie gaszono tam nigdy — i zatarł ręce z zadowoleniem.

— Jak to dobrze, że odwiedziłem dziś tych sympatycznych ludzi; trzeba mi to częściej robić... Teraz i robota pójdzie żwawiej. Spacery są widać dla mnie koniecznymi.

Zanim jednak usiadł przy biurku, wpadły mu w oko świeżo przez służącego przyniesione dzienniki. Na wierzchu leżała gazeta Temps, a na pierwszej stronicy widniał sensacyjny tytuł kroniki wypadków dnia: *Zbrodnia na ulicy Cadet. Morderca aresztowany.*

— Ach!—pomyślał Lescuyer — to ta sprawa, którą się tak żywo przejmuje poczciwa Heloiza... Złapali winowajcę.. Tem lepiej... Będzie miała kobiecina o czem rozprawiać ze sklepikarką i kumoszkami, przez czas pewien.

I roztargnionym wzrokiem przeglądał doniesienie:

„Publiczność paryzką, interesującą się zawsze zdarzeniami większej wagi, z przyjemnością pośpieszamy zawiadomić, że zabójca żyda, utrzymującego prywatny lombard przy ulicy Cadet, został ujęty we dwadzieścia cztery godzin po dokonaniu morderstwa. Nasi czytelnicy przypominają sobie zapewne, że przy zwłokach ofiary znaleziono kwit zastawniczy, krwią zbryzgany. Stanowił on cenną wskazówkę dla władz policyjnych, gdyż nazwisko, umieszczone na nim, posłużyło do odnalezienia winowajcy. Jest to niejaki Krystyn Forgeat.“

Lescuyer drgnął. Ze zlodowaciałych jego rąk gazeta wysunęła się na podłogę.

Krystyn Forgeat!.. Ależ Forgeat, to było nazwisko Pauliny; ona synowi dała imię Krystyna, na pamiątkę... czyją?.. No, ojca, rozumie się. Ach! Lescuyer dawno oswoił się z temi zgłoskami, które dlań występowały teraz, jak nowe ostrzeżenie, niby to stare „Mane, Tekel, Fares,“ kreślone ku opamiętaniu winnych niewidzialną dłonią Opatrzności.

Jeszcze przed paru laty, robiąc bezowocne poszukiwania matki i dziecka, widział je tylokrotnie w druku, na piśmie, w sprawozdaniach, listach i policyjnych raportach.

Imię to jest rzadko na chrzcie używane, a w połączeniu z nazwiskiem Forgeat, nie może być jedynie zbiegiem okoliczności. Kwestya rozwiązana—fakt niewątpliwy! Syna jego i Pauliny prawo ściga i karze, jako mordercę!..

Pod uderzeniem tego nagłego ciosu Lescuyer traci władzę myślenia, ale odruchowo biorąc dziennik, czyta dalej, co następuje:

„Trudno tym razem nie przyznać naszym agentom nadzwyczajnej zręczności i pospiechu w działaniu.

Inspektor policyjny, Bosse, specyalnie mianowany, jak wiadomo, do nadzoru nad różnymi domami dla przybłędów i włóczęgów, znał z widzenia owego Krystyna Forgeat, wieku lat dwudziestu pięciu, wychowańca kolonii rolnej w Plateau, który, po opuszczeniu zakładu, tułał się bez określonego zajęcia, i utrzymywał stosunki z kilkoma podejrzanemi indywiduami, równie, jak on, ztamtąd już uwolnionemi. Jakkolwiek człowiek ten nie bywał kryminalnie karanym, poszlaki musiały się skierować przeciwko niemu. Obecnie możemy odtworzyć sobie przebieg całego ohydnego aktu. Forgeat żądał od Soldmayera wypłacenia pewnej kwoty

w zamian za kwit lombardowy, i w skutek jakiejś sprzeczki, prawdopodobnie, dopuścił się zbrodni, wystrzeliwszy doń z rewolweru. Ale na miejscu przestępstwa, spełnionego z niesłychanem zuchwalstwem, w sklepie z błyskawiczną lampą, przy drzwiach, na ulicę otwartych, pozostały corpus delicti: broń, kompromitujący papier i rozsypana w pośpiesznej ucieczce moneta. Nasi agenci udali się niezwłocznie na bulwar Rochechouart, gdzie Forgeat w jakimś podrzędnym hotelu mieszkał od kilku tygodni. Lokatora nie było. Na szczęście, będąc, dzięki inspektorowi Bosse, w posiadaniu dokładnego rysopisu zabójcy, którego między innemi właściwościami poznać łatwo można, ponieważ kuleje cokolwiek, władze policyjne pod wodzą głównego agenta, pana Melon, zdołały odnaleźć i ująć na dworcu kolei Północnej Krystyna Forgeat w chwili, gdy wsiadał do pociągu o godzinie jedenastej i pół wieczorem. Lubo przy nim znaleziono znaczną sumę pieniędzy w złocie i asygnatach bankowych—dowód niezaprzeczony rabunku—przestępca oporu żadnego nie stawiał, ale, przyznając się do winy, kładł nacisk na to, że morderstwo popełnione zostało bez premedytacyi, pod wpływem jedynie gwałtownego rozdrażnienia w rozmowie z żydem.

Przestępcę osadzono w więzieniu Dépôt, dziś o drugiej."

Treść tego dziennikarskiego sprawozdania we wszystkich szczegółach zgodną była z opowiadaniem pani Donadieu, i w pamięci prokuratora uprzytomniła wiele podobnych wypadków, które zmuszony brać pod rozwagę, dekretował z bezwzględną surowością, wedle litery prawa. Nigdy mu wówczas na myśl nie przyszło, że między tymi niepoczytalnymi niekiedy złoczyńcami znajduje się może jego własne dziecko, któremu zgotował los pariasa. Teraz hallucynacyą podnieconej wyobraźni widzi go na ławie oskarżonych, z głową spuszczoną, w łachmanach, widzi cel nienawistnych spojrzeń ludzi porządku, i ciekawości bezmyślnego tłumu; widzi siebie, jak ręką, wysuniętą z czerwonej togi, wskazuje go gremium przysięgłych, wymagając dlań kategorycznie i stanowczo — nie uniewinnienia, ale ciężkiej kary. Przecież jednego chłopca-sierotę skazano na śmierć głównie z tej przyczyny, że głos prokuratora zwyciężył głosy obrońców. A zawsze czynionem to było bez najmniejszego wahania, bez skrupułów, z czystem jakoby sumieniem. W wywodach swoich orator nielitościwy, kładąc na szalę okoliczności łagodzące, jak: brak rodziny, oświaty, haniebne otoczenie, pokusy małoletnich oskarżonych, dodawał słowo potępienia, które przeważyło tamte pobudki, a to wszystko w imię zagrożonej i uprawnionej do srogiego odwetu społeczności.

Nie! to niepodobieństwo!.. To byłaby zbyt wielka monstrualność!... Lescuyer nie jest ojcem tego mordercy, rabusia, bandyty! A wreszcie, to matka, dziewczyna złego prowadzenia, pozostawiła mu te zbrodnicze instynkty.

Stary, nieskazitelny stróż prawa pełnił zawsze tylko obowiązki, przynależne jego zawodowi, i odpowiedzialności za błędy cudze na barki swoje wziąć nie chce i nie powinien!

Były to fałszywe argumenty, którymi ten człowiek krzepił się i gromadził je, aby zyskać absolucyę we własnem przekonaniu i opinii świata. Ale plama na charakterze świadomego własnych zboczeń młodzieńca nie dała się dotąd zetrzeć żadną siłą rozumowania. Sumienie odzywało się po tylu latach mocniej, wyraźniej, dotkliwiej!..

Rozgorączkowany, z tętnami pulsującemi gwałtownie w skroni, ciałem trzęsącem się, jak w parokzyzmie febry, Lescuyer przebiegał pokój z końca w koniec, biorąc od czasu do czasu fatalny dziennik do ręki Litery czarne, straszne, zdawały się skakać po papierze, a nazwisko *Krystyna Forgeat* ognistemi znakami na jego tle występowało.

Godziny upływały niepostrzeżenie; na zegarze wydzwoniła godzina druga, gdy nareszcie nieszczęśliwy pokutnik u kresu sił fizycznych i pognębienia moralnego, padł na fotel i, oparł-

szy głowę na dłoniach, zasnął snem ciężkim, kamiennym.

Jakby dla przepełnienia tej czary goryczy, nawiedził go sen przerażający, okropny

O brzasku chmurnego dnia, na placu La Roquette, z poza szeregów wojska i band gawiedzi sterczała gilotyna, gotowa już ostrem cięciem zniweczyć jedno istnienie ludzkie. Majaczące w dali drzwi więzienia były jeszcze zamknięte. Czekano niecierpliwie ostatniego aktu tragedyi. Zwolna, cicho posuwać się zaczyna orszak żałobny. Kapłan, obejmujący w ramionach skazańca, szepce mu modlitwy przedśmierne, starając się jednocześnie zasłaniać sobą piekielną machinę.

Mimowolny i przypadkowy świadek tej egzekucyi, Lescuyer, wzruszony, z trwożnem przeczuciem w sercu, które mu w piersiach biło ze zdwojoną szybkością, lękał się i pragnął zarazem ujrzeć twarz delikwenta. I oto ukazały mu się rysy młodzieńca w chwili, kiedy głowę jego kładziono na pieńku. Tak! Ta twarz, te ciemne, bystre oczy, pod groźną brwią, toż to są ich cechy rodzinne, to obraz dziada, ojca, wierny w najdrobniejszych szczegółach. Teraz swego syna, który patrzy nań wzrokiem pogardy i nienawiści, wyprzeć mu się już nie wolno.

Oskarżyciel z urzędu obudził się własnym krzykiem.

Na biurku rozłożona gazeta przywiodła go do przytomności.

Co było w tych mękach straszniejszem — sen, czy jawa?

XVII.

Nazajutrz, o bardzo wczesnej godzinie, Lescuyer udał się do więzienia Dépot, pod pretekstem poszukiwań w miejscowem archiwum niezbędnych dla swojej pracy dokumentów. Rozumie się, że począwszy od naczelnika, aż do dozorcy, wszyscy byli tam na jego usługi. Przechodząc więziennym korytarzem, zapytał od niechcenia:

— Ale, ale, kolego... a ten człowiek?.. Jakże go zowią?.. no, ten zabójca z ulicy Cadet?..

— Forgeat? Jest tutaj, panie prokuratorze—odparł naczelnik pośpiesznie — pod numerem czwartym. Za parę dni dopiero przewiozą go do Mazas.

— Jakżeż on się zachowuje?

— Spokojnie. Bardzo pognębiony. Ten chyba śledztwa swemi zeznaniami nie utrudni; milczy, jak ryba... Do dozorcy ani jednem słowem od wczoraj się nie odezwał, nawet jeść

nie chce. Jeżeli pan życzy sobie go zobaczyć, to proszę, pójdziemy natychmiast.

Jakiś wyćwiczony służbista, na dany znak, miał właśnie otwierać celę niebezpiecznego więźnia, gdy Lescuyer, powstrzymawszy tę gotowość ruchem ręki, rzekł:

— Nie trzeba... ja tylko zajrzę przez okienko we drzwiach.

Tak nazwane okienko, jestto mały otwór wywiercony we drzwiach w tym celu, aby dozorujący mieli ciągle na oku przestępcę, który po większej części nie domyśla się nawet, że tąk ściśle bywa strzeżonym.

Od pierwszego spojrzenia ustały wszelkie wątpliwości... Niestety! Ten więzień był jego synem! Nie brakowało mu ani jednej z dziedzicznych cech rodu Lescuyer. Zwłaszcza te brwi zrośnięte, najeżone, surowy wyraz twarzy, głowa włosem kruczym, bujnym pokryta. Podobieństwo uderzające!..

Nieszczęśliwy ojciec, jakby jakąś niewidzialną siłą przeznaczenia do miejsca przykuty, nie mógł oderwać wzroku od tej postaci wynędzniałej, skulonej, czekającej, zda się, z ponurą apatyą kary, którą nań po długich moralnych katuszach wymierzyć miano.

Obok Krystyna Forgeat, na drugim końcu ławy, dwóch jego towarzyszy niedoli grało sobie w karty z osobliwym spokojem.

Zimne krople potu wystąpiły na czoło Lescuyer'a; zapomniał w tej chwili, gdzie się znajduje, kim jest, czy jego dziwna, nieodgadniona na pozór ciekawość nie zwraca uwagi otoczenia. Patrzył tak uparcie, bez przerwy, na tę ofiarę, przeznaczoną pod miecz katowski, pociągnięty jakimś prądem magnetycznym, głosem krwi! Nareszcie, opamiętawszy się cokolwiek, podziękował dozorcy w kilku bezładnych słowach i, odprowadzony aż do furtki z uniżoną grzecznością, wyszedł chwiejnym krokiem na ulicę. Dzięki ciemnościom, jakie zazwyczaj w tych ponurych przybytkach panują, nie dostrzeżono u pana prokuratora owego nerwowego podniecenia, ani rozpaczy, które mu z oblicza wyzierały.

W poblizkim pałacu Sprawiedliwości, gdzie z racyi swego urzędu, Lescuyer miał osobny, wspaniały rozmiarami gabinet, powróciła mu dopiero przytomność umysłu, i mógł się na zimno zastanowić, co w tem okropnem położeniu uczynić się dało.

Szanse ułaskawienia, a przynajmniej utrzymania przy życiu skazańca, były nader słabe. Morderstwo, w połączeniu z rabunkiem, dowodziło niezaprzeczenie premedytacyi, a popełnione z takiem bezprzykładnem zuchwalstwem, poruszyło żywo opinię publiczną, która mogła, przy procesie, wypaść na niekorzyść obwinio-

nego. Sędziowie przysięgli, często pobłażliwi dla zbrodniarza, uniesionego szałem namiętności, nie uwzględnią nigdy pobudek nizkich, a przedewszystkiem złodziejstwa.

Krystyna Forgeat zatem—konkluzya straszna, ale niewzruszenie logiczna — czeka śmierć na gilotynie!...

Napróżno Lescuyer, biorąc różne okoliczności pod rozwagę, wmawiał w siebie, że za czasów Rzeczypospolitej wyroki śmierci coraz rzadziej są ferowane, że pan Prezydent szeroko korzysta z przysługującego mu prawa łaski— oczywistość przestępstwa odbierała wszelką nadzieję.

Zdarzyły się wypadki dla kryminalistów pomyślne, w których przyznanie się winowajcy dobrowolne, jego żal szczery czy udany, fakta przytoczone przez świadków, wywołujące litość sędziów, znakomita adwokacka obrona, wpływ miały przeważny na sprawę, którą uważano już za straconą

Tak. Największą rolę grała w tem zazwyczaj obrona.

I przychodzili mu kolejno na pamięć koledzy-juryści, znani ze swojej swady i zdolności. Taki np. stary Péchaud, znakomity orator, zapalny, jak młodzieniec, który potrafi mówić bez powtarzania się i zmęczenia, trzy godziny z rzędu, roztkliwiać, albo porwać całe audyto-

ryum, i nie stawia ostatecznego wniosku dopóty, dopóki nie ujrzy łez w oczach sędziów i publiki. Istotnie, należy się zacnemu adwokatowi pierwszeństwo wyboru. A Péchaud, to przecież dawny przyjaciel prokuratora, a przytem mistrz niezrównany w wynajdywaniu wszędzie i zawsze okoliczności łagodzących.

Ale jakież tu okoliczności łagodzące wynaleźć można, aby groza krwawego aktu wydała się mniejszą? Nic nie usprawiedliwi zabójstwa człowieka bezbronnego, napaści i kradzieży. On sam, Lescuyer, po dwudziestu latach pracy sądowniczej, nie uciekałby się do żadnych kruczków, bo prawda jasną jest, jak słońce, i niczemu w ten sposób się nie zaradzi. Chybaby położyć nacisk główny na warunki fatalne, w jakich Forgeat wzrósł i wychowywał się od niemowlęctwa.

Sierota, dziecko nieprawe, prześladowany po śmierci matki okrutnie, po zwierzęcemu, następnie wypędzony z domu, bez dachu nad głową i umiejętności zapracowania na kawałek chleba, z sumieniem zagłuszonem przez zetknięcie się z wyrzutkami społeczeństwa, i pobyt w kolonii karnej, traci zwolna wszystkie ludzkie cechy, wynaturza w sobie systematycznie czystość duszy, i te dobre popędy, które Stwórca w niej w zaraniu jeszcze umieścił.

To wszystko godzi się powiedzieć i po-

winno, choćby gwoli obowiązującej każdego sędziego bezstronności.

Czy jednak ci najwyżsi augurowie rozpatrzą sprawę z tego punktu? Może pójdą śladem swych poprzedników, którym się wydawało, że usunięcie ze świata jednostki szkodliwej uratuje społeczeństwo od niechybnej zagłady, wyleczy jego zadawnione rany?

Wieleż to podobnych omyłek i grzechów naliczyć by się dało w długiej karyerze pana prokuratora!...

Stają mu teraz przed oczyma wszyscy nędzarze, drżący ze strachu, z na pół obłąkanym wzrokiem, których posłał na galery, albo na śmierć. W najgłębszem przekonaniu, że spełnia podniosłe zadanie zbawcy i opiekuna pokrzywdzonych, miażdżył piorunującem słowem, ciskał przekleństwa i potępienie nieszczęśliwej, zwyrodniałej, odtrąconej istocie, zdeptanemu pod swoją stopą robakowi.

A jeżeli Krystyn jest rzeczywiście jego własnym synem? Kto mu dał podłoże do tylu cierpień, do upadku moralnego, do zbrodni ostatecznie? Ojciec rodzony, przez swój egoizm i podłe tchórzowstwo.

Nie wolno topić dziecka, jak zbytecznego szczenięcia, w kałuży świata. Los srogo mści się za takie czyny!..

No, dalej, surowy panie prokuratorze, sędzio nieprzejednany, okrywaj się twoją czerwoną togą z gronostajami królewskimi, wdziej twój beret ze złotą obwódką! Na stanowisko! Spuść miecz prawa, wymierz najcelniejszy grot ze strzały twojej na głowę tego winowajcy! Nie heroiczna cnota Brutusa, lecz Anioł mściciel kieruje twojem ramieniem, gdy, niby nowożytny Abraam, dajesz na ofiarę swego syna; bo spokój państwa i bezpieczeństwo rodaków wymagają od ciebie, abyś został kłamcą i okrutnikiem!

Ten potępieniec żywot swój nieszczęsny zawdzięcza tobie; słusznem jest tedy uczestnictwo twoje w skazaniu go na śmierć hańbiącą. Niech płomienna wymowa prokuratora zohydzi zbrodnię w mniemaniu sędziów do tego stopnia, aby w wyroku ich nie zadrżała ani jedna struna uczucia i chrześcijańskiego miłosierdzia!

Potem nieomylna wyrocznia, głos sumienia orzecze, który z was dwóch splamił się większym występkiem.

. . . .

Od czasu bytności pana Lescuyer w więzieniu Dépôt, egzystencya jego była nie do zniesienia. Każdą godzinę dnia i nocy zatruwało wspomnienie biednego Krystyna. Czując się po-

niekąd odpowiedzialnym—przynajmniej we własnem rozumieniu—za złe, które się stało, przechodził tortury moralne. Ostrożnie i zręcznie wybadał sędziego śledczego, któremu powierzoną została głośna obecnie sprawa zabójcy Forgeat, i tą drogą doszły go smutne dzieje Pauliny i jej dziecka.

Silne zainteresowanie się tem poważnego prokuratora nikogo narazie nie dziwiło, boć dobrze wiadomo, że w Paryżu wszelkie kryminalne procesy budzą ogólną ciekawość, i są przedmiotem gorących dyskusyj w każdej sferze i warstwie ludności.

Otóż ów sędzia opowiadał chętnie wzruszonemu słuchaczowi, że pomimo zwykłych w takim razie podstępów i zastawiania na podsądnego sideł—cel, jak widzimy, uświęca zawsze środki — zbrodniarz trwał w swoim systemie obrony, nie zdając się marzyć nawet, aby to w czemkolwiek na dolę jego wpłynąć miało.

— Powtarzam panu—były słowa więźnia na liczne i szczegółowe pytania pana Courbemer—że przyszedłem do sklepu li tylko dla zastawienia kwitu na zegarek, i dopiero, kiedy żyd otworzył szkatułkę pełną złota, i zaczął się ze mnie naigrawać, ta szalona myśl morderstwa mię opanowała. O! ja wiem, że mi pan nie wierzy i na posiedzeniu również moim zeznaniom wierzyć nie zechcą. Mniejsza jednak o to.

Jak mnie skażą na śmierć, rozpaczać nie będę. Mam dosyć już tego marnego życia... Nie takie ono zabawne... Ale nie mogę przecież przedstawić się gorszym, niż jestem rzeczywiście, a panu mówię teraz szczerą prawdę...

Pan Courbemer, uczciwy człowiek w gruncie rzeczy, nawet poddający się wrażeniom i zamiłowany w obranym zawodzie, dzielił się często z kolegą Lescuyer swemi odrębnemi zapatrywaniami na przestępcę i jego przyszłe losy.

— Ponieważ was żywo ten proces zajmuje, panie prokuratorze, przyznam mu się otwarcie, że wysnułem już wszystkie nici, a do kłębka jeszcze daleko... Nic więcej z tego człowieka nie wydobędę. Za kilka dni, ukończywszy prowadzenie śledztwa, odeślę akta do urzędu prokuratorskiego. Przypuszczam, iż wobec gremium sędziów przysięgłych Forgeat przestanie twierdzić, jak dotąd, że zabił żyda, popchnięty przez złego ducha, albo jakąś żywiołową siłę... Swoją drogą, wszystko jest możebne w historyi kryminalistyki. Jeżeli ten chłopak wyprowadza mię w pole, to trzeba mu przyznać, że posiada szczególny dar naśladowania akcentów absolutnej szczerości... Mimo to, mam do niego słabostkę, niewytłomaczoną dla mnie samego, a tembardziej dla pana. Ostatnie ze-

znanie o nim, które wczoraj usłyszałem, jeszcze lepiej mię względem biedaka usposobiło...

— A co zawiera, co? — pytał Lescuyer, chwytając w lot każde słowo starego sędziego.

— O!—odparł ten ostatni—to świadectwo złożone przez pewną dziewczynę nizkiego pochodzenia, a może i złego życia, u której Forgeat spędził kilka godzin po dokonaniu zbrodni. Na pierwszą wieść o tym strasznym wypadku przyszła natychmiast udzielić informacyi, przemawiających wielce na jego korzyść. Jest to fakt oderwany, ze sprawą niemający żadnej wspólności, ale dowodzi, że nasz więzień nie stracił jeszcze szlachetnych instynktów, nie uległ zupełnemu zwyrodnieniu. Szanownemu koledze mogę śmiało powierzyć wszelką tajemnicę, więc jeśli jego wola, pójdziemy na górę odczytać ten dokument... To bardzo ciekawa rzecz, zapewniam pana...

I udali się obydwaj do pokoju sędziego, gdzie sekretarz, schylony nad pliką aktów, pilnie coś notował. Pan Courbemer, ofiarowawszy gościowi najwygodniejszy fotel przy biurku, dozwolił mu zagłębić się w czytaniu.

— Szczegóły niezwykłe, prawie nadzwyczajne, nieprawdaż? — odezwał się po długiej chwili.

— Istotnie. Znać, że ten człowiek musi mieć dobre serce... Ale ja panu zabieram zbyt

dużo czasu, drogi przyjacielu; dziękuję uprzejmie, i do widzenia—rzekł Lescuyer głosem drżącym ze wzruszenia.

W sieni wyjął pugilares z kieszeni i zapisał jakiś adres na wydartej kartce: „Ludwika Rameau, 22, ulica Vinaigriers.“

— Muszę bez zwłoki odszukać tę kobietę—szepnął do siebie—i rozmówić się z nią na cztery oczy.

. . .

Ach! jakże dzień wlecze się powoli i ciężko dla tych, których obarcza troska i niepokój! Wieczór tak leniwo się zbliża, tyle w sobie jeszcze przykrych niespodzianek mieścić może!..

O zmierzchu, do wytwornego gabinetu pana Lescuyer zaufany stary sługa wnosi wielką lampę, przysłoniętą ciemnym kloszem.

— Zapal kandelabry na kominku — odzywa się prokurator, mierząc pokój gorączkowymi krokami...—Ale, słuchaj, ta pani... osoba, do której cię posyłałem dzisiaj po południu, przyjdzie tu zapewne niedługo, przed dziewiątą. Wpuść ją do mnie zaraz.

Kiedy służący się oddalił, Lescuyer rozpoczyna znów niezmordowanie swoją wędrówkę dokoła stołu i symetrycznie poustawianych sprzętów i gracików wszelkiego rodzaju. Od dwóch miesięcy, t. j. od czasu uwięzienia Krystyna

Forgeat, biedny jego ojciec zupełnie niezdolnym jest do pracy. W szafach bibliotecznych stoją nieporuszone poważne szeregi ksiąg, niby żołnierze uszykowani do boju, na biurku leży stos korespondencyi i rękopisów, na które nie było dotąd odpowiedzi, nawet atrament w ciężkim, z brązu złoconego kałamarzu, wysechł do szczętu.

Jedna myśl, nie dająca mu wytchnienia, ani odpoczynku, opanowała teraz wyłącznie mądrego jurystę.

W jaki sposób, jakimi środkami uratować syna?

Ma wprawdzie obietnicę pana Péchaud— a wiadomo, że ten człowiek nigdy danego słowa nie cofa—iż będzie bronił przestępcę całym zasobem swojej wiedzy i dobrej woli, i jeżeli wnioski prokuratora wypadną na korzyść podsądnego, skończy się dlań kara na kilku latach galer, albo fortecy.

Ach! co za tryumf! wielka wygrana!...

Wyrodny ojciec ześle swoje nieszczęśliwe, upadłe dziecko na galery! A gdy je już wywiozą het, do Nowej-Kaledonii, można będzie mu osłodzić tę dolę drobnymi podarunkami, jak: pieniądze na tytoń, czystą bieliznę i trochę lepszy posiłek, bo niczego więcej galernikowi posiadać nie wolno.

Co się stanie z jego duszą, sercem, siłami przez ten długi okres czasu? Czy wyłączony

na zawsze z grona ludzi normalnych, nieposzlakowanych, zdoła stworzyć sobie później życie człowieka uczciwego, czy też dzielić musi los pariasów, do kresu swego przeznaczenia i egzystencyi?

Lescuyer odkupiłby przez to, po części chociażby, swoją winę, ale na całkowite zmazanie jej nie ma tu miejsca!

Drzwi uchylają się cicho, bez szelestu, i oznajmiona poprzednio *osoba* wchodzi nieśmiało do gabinetu.

Jest to młoda — najwyżej lat dwudziestu trzech kobieta, postawy zręcznej, z rysami twarzy ładnemi, ale na które już padł cień beznadziejnego smutku. Mimo później jesieni, ubrała się w suknię jasną, lekką — zapewne z braku innej—i kapelusz słomiany, zalotnie podpięty wiązanką polnych kwiatów, przyblakłych od częstego użycia. Widmo ubóstwa, a może i nędzy wyziera z tej niewieściej postaci.

Wodzi ona zalęknionym już od proga wzrokiem po tym wielkim a tak ponurym gabinecie, i spojrzenie jej w końcu zwraca się ku temu wysokiemu panu w żałobie, opartemu o marmurowy gzems kominka, który patrzy na nią oczami od łez wilgotnemi, i mówi, mówi wolno, jakby z największym wysiłkiem:

— Prosiłem panią do siebie, i dziękuję, żeś mi nie kazała czekać... Jestem jednym z sę-

dziów—tu mu się głos załamał—owego Krystyna Forgeat... ale niech się pani nie obawia... jeżeli chciałem z jej własnych ust usłyszeć powtórzenie zeznań, złożonych sędziemu śledczemu, to jedynie z tej przyczyny, że w tych zeznaniach znalazło się dużo szczegółów, które mogą przynieść pożytek dla tego nieszczęśliwego. Powinna pani nabrać do mnie zaufania, bo nietylko nie przemawiam w tej chwili z urzędu, ale pragnę, z tobą zarówno, wybawić człowieka, który cię tak żywo obchodzi, od śmierci, a gdyby się dało, i od wyroku na ciężkie roboty. Jakie mię do tego pobudki skłaniają, powiedzieć pani nie mogę, lecz proszę o zupełną szczerość i podanie do mojej wiadomości wszystkiego, co się między wami zdarzyło ostatniego wieczoru, spędzonego razem. Ponieważ pani okazujesz tyle współczucia temu skazańcowi, możesz wyjawieniem prawdy wiele dobrego dlań uczynić w tym wypadku.

Młoda kobieta, słuchając pana Lescuyer ze spuszczoną głową, rumieni się i blednie na przemiany, ściska kurczowo dłonie wychudłe i spracowane; wstyd i lęk mimowolny pali jej czoło; milczy, bo nie wie, od czego tę spowiedź zacząć.

Surowe rysy prokuratora łagodnieją na ten przejmujący widok, i przyjaznym tonem dodaje jej odwagi:

— Śmiało, moje dziecię, twoja dola nie

jest mi obcą; wiem, że jesteś godną pożałowania... jeśli nb. nie zataiłaś czego przed panem Courbemer.

To powątpiewanie oddziałało na przybyłą, jak ostra podnieta.

— O! przysięgam, panie prokuratorze, — przerwała głosem drżącym, ale z osobliwą energią — przysięgam, że w mojej rewelacyi, którą zapisano tam, w pałacu Sprawiedliwości, nie było ani jednego fałszu, i mogę ją dosłownie powtórzyć tutaj. To bardzo dla mnie upokarzająca hisorya... ba, cóż ja jednak znaczę?... Otóż, proszę pana, noszę nazwisko Ludwiki Rameau... jestem hafciarką... na jedwabiu i aksamicie—bo to bywało modne czas jakiś—ale panie z eleganckiego świata tak zmienne miewają gusta, że obecnie moja praca bardzo mało mi przynosi korzyści. Trzeba mi wyznać teraz, że od ośmnastego roku żyłam na wiarę z pewnym studentem medycyny (imię ma Albert, i został już doktorem). Kochaliśmy się szczerze, jak mąż i żona, i Bóg nam dał śliczną córeczkę, która liczy już trzy lata, i właśnie przywieźli mi ją ze wsi, gdyż na dalszą opłatę za utrzymanie zabrakło mi funduszu.

Egzaminy i praktyka w klinikach biednego mojego Alberta pochłonęła całą jego schedę, a nawet zaciągnęło się trochę długów... Zrobiono mu propozycyę pojechania do Pikardyi,

gdzie podobno jakiś stary lekarz życzył sobie przysposobić następcę. Tymczasem było to wierutne kłamstwo; oszukano nas. Ktoś inny zajął wakujące miejsce, i klijentela wszystka przeszła do niego; Albertowi zaś pozostało tylko szukać nowego zajęcia. Nie tracąc wcale animuszu, pocieszał mię nadzieją lepszej przyszłości.

— Moja droga Ludwiko—powtarzał często poczciwy chłopiec — niech ja dostanę dwieście franków na miesiąc, choćby przy szpitalu na prowincyi—zaraz się pobierzemy. Na początek to wystarczy, i małą będzie można mieć u siebie. Czekaliśmy cierpliwie, aż tu nagle trafia się, niby bajecznie korzystna posada lekarza na statku pasażerskim, który co parę miesięcy odbywa drogę do Ameryki Południowej.

Złudzony świetną obietnicą Albert się zgadza, i w pierwszej podróży... umiera w Rio-Janeiro, na żółtą febrę. Zostałam sama jedna, w żalu i rozpaczy... Patrząc na moją dziecinę, która nikła w oczach z braku dobrego odżywiania, serce mi się krajało; a tu roboty żadnej, jak zwykle podczas lata, a przyjaciółki doradzają wciąż: „O co ci idzie? Dlaczego się tak mordujesz? Urodziwa dziewczyna zawsze amatora znajdzie.“

Te podszepty wzbudzały we mnie zgrozę i wstręt. Przez pamięć na córkę i mego Alberta,

pracowałam ze wszystkich sił, opędzając się pokusom. Ja wiem, że wiele kobiet, bez rodziny i męzkiej podpory, kończy na tem... i rzucają na nie kamieniem potępienia. Ach! gdyby ludzie wiedzieli...

Ludwika zatrzymała się, gdyż długo tłumione łkanie ścisnęło jej krtań i głosu na razie wydobyć nie mogła.

Oparłszy głowę na fotelu, zasłuchany w to proste, a tak dziwnie smutne opowiadanie, Lescuyer zasłaniał dłonią twarz, aby ukryć przed młodą dziewczyną łzy, napływające mu do oczu. Wspomnienie Pauliny i jej upadłego syna powrotną falą bólu zalało mu serce.

— Niech mi pan wybaczy—ciągnęła dalej przybyła — że go nudzę tyloma szczegółami nie należącemi do sprawy... ale teraz, mimo wstydu, jakim mnie to okrywa, muszę przytoczyć szlachetny i miłosierny postępek Krystyna Forgeat.

— Mów odważnie, biedaczko. Czuję szczerość w twoich słowach. Wierzaj, że już zyskałaś sobie moją sympatyę.

— A więc powtórzę jeszcze, że przez pewien czas zorobki moje wystarczały na wyżywienie marne, ale dostateczne, zwłaszcza słabej dzieciny. Zazwyczaj, ku końcowi sierpnia dawano mi z magazynu ubrań gotowych jakąś sztukę do haftu. Tym razem dostał mi się

piękny atłas, wartujący najmniej kilkadziesiąt franków. Pewnego wieczoru... robotę już gotową miałam właśnie odnieść nazajutrz, za co należało się piętnaście franków... maleńka obudziła się raptownie, z wielkim krzykiem. Zrywam się szybko, biegnę do kołyski, a tymczasem lampa naftowa, trącona w tym gwałtownem poruszeniu, spada ze stołu na robotę. Dla mnie była to istna klęska. Zamiast otrzymać należność za całotygodniową pracę, musiałam zwrócić koszt atłasu szefowi, a moja portmonetka zawierała tylko trochę drobnej monety.

Wtedy, usypiając dziecko, zdecydowałam się na wszystko. Szaleństwo mną owładnęło zupełne... Pójdę żebrać na ulicę, albo się sprzedam, jak inne!...

Wprost dworca kolei Wschodniej jest wspaniała kawiarnia, gdzie gromadzi się wieczorami liczne towarzystwo panów i cały zastęp kobiet chciwych przygód i złota. Poszłam, włożywszy na siebie ciemną, najlepszą sukienkę, i usiadłam przy jednym ze stolików, na werandzie. Dokoła toczono takie rozmowy i żarty brudne, nieprzyzwoite, ohydne, że przychodziła mi już ochota uciec do domu, gdy jakiś młody, licho ubrany człowiek zapytał, czy może obok mnie zająć miejsce.

Onieśmielona, odpowiedziałam kiwnięciem głowy.

Mimo pewnego obłędu w oczach, wyraz twarzy nieznajomego miał jakąś cechę dobroci i łagodności. To natchnęło mię zaufaniem do niego, i w kilku słowach opowiedziałam mu moje smutne dzieje.

Zrazu nie uwierzył chyba, ale rzekł krótko:

— Chodźmy do ciebie — zobaczę, czy to prawda.

Dopiero widok ubogiego mieszkania i śpiącej dzieciny przekonał go o wszystkiem. Przypatrywał się w milczeniu ze spuszczoną głową, w końcu, wyjmując z kieszeni pełną garść złota, szepnął wzruszony:

— Ja również, gdy byłem małym chłopcem, miałem matkę, która mię bardzo, bardzo kochała!..

Spojrzałam na tego człowieka ze zdumieniem... Na stole leżały porozrzucane pieniądze, a lękałam się ich jeszcze dotknąć, ani za nie dziękować.. On zaś wziął zmięty kapelusz i zabierał się do wyjścia. Wtedy ze łzami wdzięczności porwałam go za rękę i do ust ją przysunęłam...

— Ach! nie dotykaj, nie całuj mojej ręki!— zawołał gwałtownie—gdybyś wiedziała?..

I przy tych słowach, kulejąc trochę, jednym skokiem wypadł na schody. Wzrok jego był straszny, ruchy niespokojne, jak u istoty złapanej na gorącym uczynku.

Dotąd jeszcze widzę całą scenę, i nigdy mi ona z pamięci nie wyjdzie. Ale może to pana prokuratora męczy?..

W ciężkich myślach pogrążony, Lescuyer nie odpowiedział nic, tylko dłonią dając znak, że gotów słuchać jeszcze, obwiniał się w duchu więcej, niż kiedykolwiek w życiu.

A więc ten Krystyn Forgeat, ten włóczęga, nędzarz, okazał się lepszym, ofiarniejszym dla przypadkowo spotkanej kobiety i obcego sobie dziecka, niż on, młodzieniec bogaty, szczęśliwy, swobodny, rozporządzający swoją osobą i majątkiem z uczciwego źródła pochodzącym, wychowany w surowych zasadach honoru i prawości...

— Następnego dnia—mówiła cichszym głosem Ludwika Rameau—po zapłaceniu, t. j. zwróceniu szkody, zrobionej przezemnie szefowi magazynu, i opędzeniu pilniejszych potrzeb małego gospodarstwa, pozostała mi się kwota kilkuset franków. Można będzie przez parę miesięcy wyżywić się i egzystować jako tako; nędza nas nie ogarnie"—myślałam sobie, błogosławiąc nieznanego dobroczyńcę. Aż tu wieczorem sąsiadki przynoszą mi urywek z Petit Journal, w którym zbrodnia na ulicy Cadet tak obszernie była podaną. Szczegółowy rysopis mordercy wprost mię przeraził... „człowiek blady, mizernie ubrany, z czarnemi, gęstemi brwiami, utykający na

jedną nogę, i ciskający pieniądze garściami"... Tak, rozrzutny, jak złodziej. To było to samo. Bez żadnej wątpliwości...

Opanował mię wielki wstręt do tej darowizny, zrobionej przez człowieka krwią zmazanego; zdawało mi się, że jestem poniekąd jego spólniczką, że mię te luidory parzą, jak ogień... i zaraz pobiegłam do kościoła Świętego Wawrzyńca, aby je wsunąć ukradkiem w puszkę dla ubogich.

Każde wspomnienie o tym Forgeat nabawiało mię śmiertelnej trwogi; co noc stawały przed mojemi oczyma jakieś okropne widziadła, które miały jego postawę i rysy, a wieszano je na latarniach, niby na postrach błądzącym grzesznikom.

W pewien czas jednak potem powróciły: zastanowienie i spokój. Rozważywszy szlachetny postępek biedaka, zaczęło mię nurtować sumienie. Przecież ja, na równi z innymi, nie powinnam potępiać tego, który mię w najkrytyczniejszej chwili uratował od zguby i zatracenia duszy. Wszak to jest najczarniejsza niewdzięczność!... Choćby cały świat nazwał go potworem, mnie nie wolno do tych głosów się dołączać. Przeciwnie, obowiązkiem moim jest złagodzenie możliwe doli mimowolnego zabójcy — gdyż Forgeat, niech mi pan zechce wierzyć, dopuścił się chyba tej zbrodni w napadzie szaleń-

stwa, z głodu prawdopodobnie—i kiedy nielitościwi sędziowie szperają w jego przeszłości, starając się odsłonić najgorsze strony charakteru, niepopełnione nawet przezeń winy, ja wbrew wszystkiemu, bez względu na wspomnienie, które mi czoło pali, bronić go do końca będę!.. Jestem prostą, nieogładzoną, ciemną kobietą, ale serca się nie pozbyłam, a ono mi tak czynić każe!..

Ludwika, jakby wyczerpana, umilkła. Nic już nie pozostało z tych bolesnych, upokarzających wyznań do dodania. Nagle, podniósłszy głowę, nie wierzy własnym oczom. Coś dziwnego się dzieje...

Oto poważny starzec, z twarzą zalaną łzami, wstaje, bierze ją w otwarte ramiona, po ojcowsku do piersi przyciska i na czole tkliwy pocałunek składa.

— Moje dziecko, moje biedne dziecko! — przemawia do niej łagodnie — pamiętaj, że od dnia dzisiejszego nie zaznacie nędzy, ani ty, ani twoja maleńka; jest bowiem na świecie człowiek, któremu odwaga i dobroć biednej dziewczyny wskazały drogę obowiązku, który, łamiąc swoją dumę i wstyd fałszywy, popełnioną winę publicznie wyjawi, aby temu nieszczęśnikowi życie ocalić!...

XIX.

W olbrzymiej sali posiedzeń sądów przysięgłych, rozświetlonej jarzącym blaskiem żyrandoli, na ścianie z obramowaniem drzewa dębowego, wisi wizerunek Chrystusa. Dłonie, męczeńsko przygwożdżone do krzyża, nie błogosławią udręczonej ludzkości, z krwawych ran nie spływa tajemniczy prąd pociechy i ukojenia dla winowajców, którzy jutro już może pójdą, śladem tego szczytnego przykładu, na śmierć hańbiącą!

Wszelka nadzieja uleciała z tego boskiego oblicza, braknie jej też i w sercach stawionych przed sądem nędzarzy; każdy z nich, przestąpiwszy te progi tragiczne, utracił wiarę i ufność w wybawienie i łaskę Odkupiciela!.. Czemuż zatem, w jakim celu umieszczono to upostaciowanie najwyższej z niesprawiedliwości, jakiej się dopuścił świat starożytny? Czy to ma być wyzywającem szyderstwem, czy też ostrzeżeniem dla surowych augurów, że często błądzą straszliwie, pod osłoną nieomylnej zasady prawa. A jest ich trzech, i od nich zależy życie człowieka...

W samym środku zasiada przewodniczący, starzec o grubych, pospolitych rysach, łysy, otyly, z chytrym uśmieszkiem i świdrującemi oczkami. To pan radca Durousseau, znany światowiec — nie opuszcza nigdy premiery w teatrze, ani pro-

szonego obiadu — posiada właściwy sobie sposób igrania, niby kot z myszą, z głową krymi nalisty, i uchodzi zą typ eleganckiego paryżanina. Kiedy on prezyduje, na rezerwowanych miejscach zbiera się tłum dam z wysokiej sfery, artystek, literatów, dziennikarzy. Przytem ten niepośledni znawca Kodeksu, mecenas sztuki, archeolog-dyletant, wosoły i łaskawy zwierzchnik ździwiłby się mocno, gdyby mu zrobiono nawiasową uwagę, iż grubą nieprzyzwoitością, co najmniej, jest przeplatanie wyroków śmierci dowcipami z zakresu erotyki, lub zakulisowych intryg i wydarzeń.

Dwaj asesorowie poboczni, to figury zazwyczaj nieme, bez wydatnych cech i indywidualności w jakimkolwiek kierunku. Niedbałym, znudzonym wzrokiem wodzą dokoła, zagłębieni w swoich obszernych fotelach; czerwoną plamą jaskrawo odbija purpura ich togi na posępnem tle całego audytorium.

Sprawa z ulicy Cadet, wprowadzona poprzedniego dnia na wokandę, nie pociągnęła publiczności ani dramatycznym węzłem sytuacyi, ani drastycznymi szczegółami—jednem słowem zawiodła pokładane w niej nadzieje wyjątkowo ciekawego widowiska. Akt oskarżenia, niemożebną grzeszący rozwlekłością, który został, wedle przyjętej reguły, odczytany przez pisarza w sposób tak monotonny, że większa

część słuchaczy zdrzemnęła się niedoczekawszy końca, i badanie przestępcy długie, suche, protokularne, osłabiło pierwsze wrażenie. Z resztą i osobistość owego Krystyna Forgeat zupełnie inaczej sobie wyobrażano.

Zabójca, co jest zdolny do napaści i rabunku w tak ruchliwej i ludnej stronie miasta, bywa, a przynajmniej powinien być prawdziwym, wpół-dzikim bandytą o atletycznych kształtach—silny i groźny, jak lew na pustyni. Tymczasem kulejący, chuderlawy, ze skromnie spuszczonemi oczyma chłopak, któremu napewno szczerze żal było tego co zrobił, wydał się tylko marnym w tej roli komparsem; to też dzieciństwo jego, dobre sprawowanie w kolonii karnej, lata nędzy i tułactwa, przytoczone jako okoliczności łagodzące, nie mogły w nikim zainteresowania i współczucia obudzić.

— Wszystko to mdłe i blade, jak lichy romans w operze — szepnęła do swego sąsiada piękna panna Lamour z „Variétés“, która celowała przyrodzonymi wdziękami w pornograficznych sztukach i balecie.

A jedna z pań lepszego towarzystwa, którą niezdrowa ciekawość owocu zakazanego przywiodła na salę posiedzeń, rzekła, tłumiąc ziewanie:

— Ten poczciwy prezes chciał nas wido-

Władysława Budzińsk

docznie zmistyfikować obietnicą sensacyjnych szczegółów procesu... Jego klient dzisiejszy, to najpospolitszy w świecie morderca... Już lepiej było przecież wybrać się na wystawę akwarelistów.

Napróżno p. Durousseau, przy pomocy zwykłych środków, pragnął podniecić chłodny nastrój publiczności.

Jego rozmowa z oskarżonym, prowadzona w stylu Ś. Inkwizycyi, podstępnemi pytaniami z mieszaniną płaskich dwuznaczników, przeszła bez echa.

Nudzono się piramidalnie przez cały czas badania.

Streszczając wrażenie ogólne, blizki przyjaciel przewodniczącego, pewien znany kompozytor, wyraził się ze smutkiem:

— Biedny Durousseau!... Niema co mówić... fiasco kompletne... Nic więcej, tylko niepotrzebna piła...

Dla tych zapewne powodów, nader ograniczona liczba osób zgromadziła się nazajutrz w tej samej sali, aby wysłuchać oskarżenia prokuratora Lescuyer, i obrony pana Péchaud. Z pośród przybyłych błyszczeli nieobecnością: młodzież i wytworne panie, reporterzy i różnolita gawiedź. Więc pan prezes, w nader złym humorze, między dwoma sennymi kolegami, kierował sprawą z czysto urzędowego stanowi-

ska, i nie zadał sobie nawet trudu, aby dokuczać, wedle chwalebnego zwyczaju, świadkom i interpelantom.

Od pierwszej chwili posiedzenia, wszyscy sądownicy mimowolnie zwrócili uwagę na osobliwe zachowanie się pana Lescuyer. Mściciel prawa ani razu nie żądał dla siebie głosu. Wyraz jego fizyonomii bardziej był ponury, niż kiedykolwiek. Zdawało się, że to kamienny posąg Komandora zakłócił swem nagłem zjawieniem bezpieczne schronienie audytoryum.

— Co się stało prokuratorowi—mówił półgłosem młody kandydat prawa w kółku umundurowanych panów. Nigdy on, co prawda, swobodą, ani sympatycznem obejściem się nie odznaczał, ale dziś, to coś nadzwyczajnego... patrzcie tylko... milczy jak grób, podobny do karawaniarza—czarny i posępny... Nawet okiem tu nie rzuci... Czyżby był chory?...

P. Bégasse, jeden z tych adwokatów, którym nie tyle idzie o wygraną sprawę, co o pokonanie przeciwnika, uśmiechnął się zjadliwie, i pogładziwszy swoją brodę fauna, odparł lekceważąco:

— Słuchaj, młodzieńcze, gdyby p. Lescuyer stanowił część integralną prześwietnego sądu, dziwiłbym się naiwności twego pytania, ta jego nieruchomość bowiem dowodzić może w takim razie tylko nieprzepartej potrzeby snu, ale któż

sypia stojący, przy tem ciągłem przelewaniu z pustego w próżne? Jednakże ponieważ zapowiadają nominacyę p. prokuratora, najdalej w przyszłym miesiącu, na radcę stanu, sądzę, że w skrytości ducha zaprawia się do nowych obowiązków... Patrz-no, zmienia teraz pozycyę!...

Istotnie, na dany przez przewodniczącego znak, aby wprowadzono świadka, Ludwikę Rameau, Lescuyer drgnął i utkwił wzrok w uchylające się podwoje sali.

Młoda kobieta weszła nieśmiałym krokiem, ciemno, ale bardzo staranie ubrana, i lubo widok tak licznego zgromadzenia i poważnych zwłaszcza sędziów nabawił ją zrazu trwogi, opanowała się szybko, jakby pod wpływem jakiejś niezłomnej woli. Stojąc przed kratkami opowiadała z prostotą, w której przeważał ton prawdy i szczerości, że Krystyn Forgeat, po spełnieniu zbrodni, natychmiast prawie wyświadczył tak wielkie dobrodziejstwo dwom opuszczonym i nieszczęśliwym istotom, że ulitował się nad ich niedolą z własnego natchnienia.

Ani głos mówiącej, ani treść jej słów nie wydawały się oskarżonemu obcemi, a jednak w pierwszej chwili trudno mu było uprzytomnić sobie czy na szkodę, czy też na korzyść jego składane są te zeznania. Przedtem już stawiło się paru towarzyszy, którzy nie zasłyszawszy nawet o samym fakcie, zakażoną pianą swoich

wyuzdanych języków obryzgali biednego przestępcę w haniebny sposób. Czegóż jeszcze chce od niego ta kobieta? Zkąd się tu wzięła? Pewno zamierza przekonywać sędziów o tem, co oni wreszcie doskonale już wiedzą. Po dwugodzinnem badaniu, Krystyn czuje się tak wyczerpanym i zgnębionym, że jak wyzwolenia od męki czeka tylko wyroku. Niech mu głowę zetną, byle prędzej!...

Nikt się chyba nie znajdzie, aby dać świadectwo jego uporczywym twierdzeniom, że wchodząc do sklepu Soldmayera, nie miał zamiaru zabijać go, a tembardziej obrabować. Powtarzał to tyle razy, w tylu miejscach, gotów był nawet przysiądz na to przed krzyżem, ale urągliwy gest pana presesa powstrzymał w porę te dobre chęci.

Nagle, do uszu skazańca dobiegły gorące i błagalne prośby Ludwiki Rameau, która w imię sprawiedliwości i miłosierdzia chrześcijańskiego kołatała do serc tych, co życie jego mieli w swoich rękach.

Doznał wrażenia, jakby mu zdjęto jakiś straszny ciężar z piersi, i opuściwszy głowę ku ziemi, wybuchnął wielkim płaczem. Całej siły woli potrzeba było użyć p. prokuratorowi, aby wobec tego objawu rozpaczy, stłumić własny żal i łzy.

Ten człowiek, mający dokonać za chwilę

rzeczy nadzwyczajnej, który bez względu na swoją przeszłość i wysokie w hierarchii urzędniczej stanowisko, dla uratowania niezaprzeczonego winowajcy, chciał poddać się sam karze najsroższej, bo oskarżeniu publicznemu, który przeżywał te uroczyste godziny w nieopisanej rozterce duchowej, uczuł naraz dziwną błogość i ukojenie.

O! jakież to szczęście! Więc syn jego, upadłszy tak nisko, posiadał jeszcze cechy człowieczeństwa!... Sumienie mocnym głosem domagało się rehabilitacyi, dusza przystępną była szlachetnym wzruszeniom!... A zatem prosto do celu! Niema nic straconego!...

Zeznania Ludwiki Rameau, popartej ojcowskiem wdaniem się pełnego pobłażliwości i taktu p. Péchaud, sympatycznie na audytorium oddziałały.

Zrobił się ruch znaczący między sędziami przysięgłymi; jowialnemu p. Durousseau nie udało się już wtrącić ani jednej zaczepnej uwagi. Niemniej, mimo tego pomyślnego w procesie zwrotu, słabe były szanse ocalenia zbrodniarza od kary śmierci. Przy badaniu odpowiadał nieźle; fakta zebrane przez dochodzenia, potwierdzały jego słowa, żal wydawał się szczerym, ale dowieść w tem wszystkiem zupełnego braku premedytacyi mógł tylko bardzo zdolny a przyjazny skazanemu obrońca.

— Jak pan sądzi, panie mecenasie—pytał wspomniany powyżej młody do posad aspirant, czy koniec uwieńczy dzieło?

— Hm! — mruknął p. Bégasse – chybaby stary Péchaud przewyższył sam siebie. Czekaj tylko trochę, zaraz on nas obdarzy melodramatycznym wywodem, i upusty łez u publiczności zaczną funkcyonować. Zabójca niema za sobą precendensów karnych, z wyjątkiem swego pobytu w Kolonii Plateau, co w gruncie rzeczy mogłoby mu posłużyć jako okoliczność łagodząca... Kto wie, jak tam z jego głową będzie? czy ją bez szwanku z tej imprezy wyniesie?... Bo to aż dwa przestępstwa naraz: morderstwo i kradzież... Przysięgli tego nie lubią, wiesz dobrze o tem, mój miły kolego. Naprzykład ten apoplektyk z drugiej ławki, to twardy orzech do zgryzienia. Jeżeli Péchaud dokaże tego cudu, aby mu wycisnąć z oczu choć jedną łzę krokodylą, to przypuszczam, że Krystynowi Forgeat wyznaczą z jakie dwadzieścia lat ciężkich robót... Powtarzam, że sprawa paskudna... Przytem Lescuyer, świętoszek a nieugięty jak stal, może wszystko popsuć. Już ja wolę nie wdawać się w proroctwa... Ale oto wielebny pan prokurator ze swego kurulnego krzesła powstaje.

Wyniosły, prosty, jak struna, z brwią groźnie ściągniętą, chłodny na pozór, lubo burza wrzała mu pod czaszką, Lescuyer, obyczajem wielu mówców, wsparł się sztywnymi palcami na zwoju kryminalnych aktów i dobitnie, głośno, rozpoczął w te słowa:

„Panowie obrońcy,
Panowie przysięgli!“

„Zadanie oskarżyciela publicznego nigdy może nie było łatwiejszem, jak w obecnej sprawie. Człowiek, którego mamy przed sobą, zabił drugiego człowieka w celach rabunku. Utrzymuje on, wbrew wszelkiemu prawdopodobieństwu, że zamiaru zbrodni nie żywił przedtem, że uległ tylko pokusie nagłej, silniejszej nad jego wolę. Przekonany jestem, iż temu twierdzeniu panowie wcale nie wierzycie. Epizod z życia obwinionego, przytoczony przez świadka, ową młodą kobietę, a który wywarł dodatnie na was wrażenie, mógłby w pewnym stopniu dowodzić, że w znieprawionej duszy Krystyna Forgeat nie wygasły jeszcze popędy i instynkty uczciwości. Na wzgląd też zasługują: jego nieszczęśliwe dzieciństwo, przebywanie długoletnie a demoralizujące, jak wiadomo, w atmosferze zabójczej zakładów karnych i fakt, że przez długi przeciąg czasu, mężnie i zwycięzko opierał się podszeptom nędzy.

Niebawem obrońca delikwenta, na mocy

tych warunków wyjątkowych, będzie się starał poruszyć serca wasze, mnie pozostaje tylko odwołanie się do waszego poczucia sprawiedliwości. Moim obowiązkiem jest utrzymywać do końca, że oskarżony był złodziejem i mordercą, i mówić jedno:

„Sędziowie, powinniście go potępić! On zasługuje na karę!...“ Tego przedewszystkiem wymaga idea poszanowania cudzej własności, bez której ludzie, wzięci zbiorowo, nie mogliby egzystować w spokoju, i rzecz stokroć ważniejsza, bezpieczeństwo życia jednostki.

Obowiązek ten spełniałem przez cały okres mojego urzędowania, czysty i niezachwiany w sumieniu, najpewniejszy zawsze, że jakkolwiek surowe, zdanie moje przyczyni się do pożytku i pomyślności społeczeństwa. Kiedy zbrodnia wydawała mi się dowiedzioną, żądałem dla niej, wedle niezbitych artykułów prawa, natychmiastowej ekspiacyi, jako odstraszającego dla innych przestępców przykładu.

Dziś jednakże staję przed wami w udręczeniu i męce. Nie wolno mi skazywać Krystyna Forgeat na zagładę! Co więcej błagam was o litość dla niego!...“

Wobec tego niesłychanego w dziejach sądownictwa przemówienia prokuratora, wszczął się tłumiony z początku, następnie coraz głośniejszy alarm między jurystami, a nawet pu-

blicznością. Jakiż to skandal! Świat się z posad wali!... Prezes Durousseau, jakby rażony piorunem, czuje, że wypada mu głos w tej chwili zabrać. Ale sytuacya jest osobliwą, a niewiadomo, co po za nią się kryje. Więc bełkocze jedynie, dla zachowania pozorów swojej władzy:

— Takie słowa? Tu, w tym przybytku prawa? Panie prokuratorze, racz nam dać jakieś wyjaśnienie, bardzo proszę...

W dalszym ciągu, tonem łagodnym, ale stanowczym, Lescuyer mówi:

„Zrozumiecie zaraz, panowie, zrozumiecie aż nadto prędko, i wybaczycie mi, mam nadzieję, moje postępowanie nieprawidłowe; względy wyższego stopnia stanowią jedyny drogowskaz dla mnie w tej chwili. Jutro zdejmę z siebie tę szkarłatną togę, symbol przywileju i nieomylności; jeżeli nie zrobiłem tego wcześniej, to z uwagi, że honor osobisty i przyrodzone atrybucye nakazują mi skorzystać po raz ostatni z prawa głosu w tem szanownem zgromadzeniu. Niema obawy skandalu, panowie. Podobna akcya już się nie powtórzy, i naśladowców chyba nie znajdzie, ale spodziewam się, że człowiek, który się świadomie i dobrowolnie przed wami obwini, zasługuje w pewnej mierze na szacunek i pobłażanie... A teraz, dodał, podniósłszy głos o skalę wyżej, spojrzcie na

tego kryminalistę, siedzącego na ławie oskarżonych, a potem na mnie, któremu powierzono straszliwą misyę dopominania się o jego głowę... ten człowiek, ujęty już w nierozerwalne okowy sprawiedliwości, to dziecko kobiety, którą ja niegdyś nikczemnie porzuciłem na pastwę nędzy i rozpaczy... ten Krystyn Forgeat... to moj syn, panowie...“

W grobowem milczeniu oczy wszystkich obecnie zwróciły się we wskazanym przez prokuratora kierunku. Istotnie, podobieństwo, na razie niezauważone, między tymi dwoma ludźmi było wprost uderzające; różnił ich tylko wiek i wybitna na starszym cecha kultury umysłowej. Za to jednakie u każdego znużenie życiem, ten sam smutek i beznadziejność!...

Forgeat zdumiony, nie wierząc własnym uszom, wstał nagle i pomimo, że go silne ręce żandarmów przytrzymywały, chciał wyrwać się i biedz ku temu starcowi w szkarłatach, który się mienił jego własnym ojcem. Trudna rola przypadła w tym nadzwyczajnym wypadku samemu przewodniczącemu. Co czynić? Zamknąć posiedzenie? Odebrać głos prokuratorowi? Czyż to słyszane rzeczy? Czyż to się kiedykolwiek i gdziekolwiek zdarzyło? Podnosząc się uroczyście z prezydyalnego miejsca, rzekł:

— Ponieważ pan prokurator czuje się chwilowo rozstrojonym...

Ale Lescuyer nie dopuścił dalszych komentarzy i nakazującym gestem zalecił mu milczenie.

— Niech pan prezes raczy mi wierzyć, że jestem daleki od pomieszania zmysłów; proszę patrzeć, tak jak ci panowie, w stronę przestępcy obwinionego o morderstwo. Oczywistości nikt nie odważy się zaprzeczyć tutaj. Matka nieszczęśliwego chłopca nazywała się Paulina Forgeat, biedna dziewczyna, ofiara chwilowej igraszki w latach młodocianych Krystyna Lescuyer, dziś prokuratora Rzeczypospolitej, dawniej sędziego kryminalnego w Caen. Dziecię, które nie prosiło o życie, dziecię nieślubnych rodziców, skazane bywa od urodzenia na wyeliminowanie z pod praw, przysługujących najmarniejszej nawet istocie. Ja, sprawca tej niedoli, za której konsenkwencye srogo jestem ukarany, pojmuję, że popełniłem czyn haniebny. Pragnę go odpokutować—aby mię inni naśladować nie chcieli.—Ale spowiedź publiczna nie wydaje mi się dostatecznem zadosyćuczynieniem. Od jutra jawnie uznaję Krystyna Forgeat za mego syna. Czy go poślecie na szubienicę, czy na galery, ja ojcem dlań zawsze pozostanę! Jego przestępstwo jest mojem dziełem, muszę przeto na moich barkach dźwigać brzemię hańby z nim razem! Czując się odpowiedzialnym za złe, które się stało, powinienem cierpieć, jak on, do

końca życia!... Bo wtedy, gdy z łaski losu wstępowałem szybko i bez trudu na coraz wyższe szczeble hierarchii społecznej, otoczony poszanowaniem i sympatyą ludzką... to, nieszczęsne dziecko... moje własne dziecko... po śmierci matki, jedynej swojej opiekunki, tułało się i poniewierało na bruku miejskim w zetknięciu z najgorszym elementem, ze zwyrodniałym motłochem ulicznym. Któż więc pozbawił je kultury moralnej, rodziny, przyszłości? Ja. Tylko ja!... Ponieważ uchyliłem się, z pobudek egoistycznych, od najprostszego obowiązku—co mówię, ponieważ nie poszedłem nawet za głosem instynktu rodzicielskiego, Forgeat marnował swoje młodociane lata, spaczył w zarodku niepośledni może charakter i na ostatku splamił się i zgubił tą ohydną zbrodnią!... O! jakżeż ta straszna prawda zaciążyła na mojem sumieniu, odkąd dowiedziałem się o egzystencyi i upadku tego człowieka!...

Ale Opatrzność, wszechmądra i wszystkowidząca, nie nadarmo przypomniała mi, że byłem bezlitośnym, okrutnym ojcem. Ona mię wspiera i prowadzi teraz, kiedy urągam prawu, aby iść za natchnieniem serca, kiedy błagam was o łaskę, zamiast o wymierzenie sprawiedliwości, kiedy usiłuję okrywającą mię purpurą zatrzeć ślady krwi przez mordercę przelanej kiedy wreszcie pod naciskiem żalu i skruchy

ukazuję się wam i wołam potężnym głosem: „Oto winowajca!!...“

Bez tchu prawie, z twarzą zalaną łzami, dłońmi skrzyżowanemi na piersiach, prokurator przerwał swoję mowę.

Całe zgromadzenie zawisłe u jego ust, czekało.

Pan Durousseau, wytrącony z równowagi, szukał nadaremnie w swej próżnej głowie sentencyi, nastrojowi chwili odpowiedniej, i zamilkł również, nie mogąc się oprzeć wzruszeniu.

Krystynem wstrząsały rozpaczne łkania.

— Czy będziecie mieli litość, panowie przysięgli — podjął znów z widocznym wysiłkiem Lescuyer—nad nami dwoma, ojcem i synem, biednymi skazańcami?... Czy nie nawiedzają was teraz wątpliwości, azali prawo, które wzbrania dochodzenia ojcowstwa, nie zasługuje na potępienie? Ach! te prawa okrutne! Wierzyłem w nie ślepo, szaleniec, przez życie całe! Domagałem się ich zastosowania z zapałem godnym lepszej sprawy!... A dziś, co? Tylko zaklinać, płakać i żebrać o iskrę miłosierdzia mi wolno. Za ustępstwo wasze nie mogę nic więcej dać w zamian, jak solenną w obliczu Boga obietnicę, że gdy mi uratujecie to wynaturzone dziecko, będę nad niem czuwał, zbudzę je z dusznego letargu, pojęcie honoru i moralności mu zaszczepię. Niech waszym wyrokiem kieruje

Ten ukrzyżowany boski męczennik, którego święta nauka rozbrajała najzawziętsze serca, wytrącała z rąk zapamiętałych i wściekłych kamienie, mające spaść na niewinne głowy! Po raz ostatni odzywam się z tego zaszczytnego miejsca, po raz ostatni błagam u was zmiłowania! Łaski! dla mnie! Łaski dla tego nędzarza!... W imię Chrystusa, co przebaczał złoczyńcom i wrogom swoim, w imię wzniosłej idei, dla której on poniósł mękę i śmierć, idei miłości, zwycięskiej, wielkiej, która zbawiła ludzkość, odrodziła świat!..”

W sali i audytorium nastała po tym głębokim krzyku duszy głucha, uroczysta cisza.

Oskarżyciel i oskarżony, obaj przejęci uczuciem lęku, a jednocześnie i jakiejś nieokreślonej nadziei, schowali twarze w dłonie, nieruchomi z bólu czy trwogi.

Niezadowolony z siebie i z ewentualnego rozwiązania procesu, przewodniczący robił sobie w duchu gorzkie wymówki za brak cywilnej odwagi. Należało przecież zatrzymać w porę fale lapidarnej wymowy prokuratora, położyć tamę zgorszeniu publicznemu. Co o tem powie ministeryum, jak na to zapatrywać się będzie prezydent Rzeczypospolitej?... A z drugiej strony jakżeż to trudno było otrząsnąć się na razie z tak silnego wrażenia? no i współczucia potrosze?... Tonem niepewnym, wahającym, jak

by dla zyskania czasu, przewodniczący odezwał się nareszcie.

— Wobec tego niespodzianego epizodu, jaki się w dniu dzisiejszym wydarzył... Izba uzna za stosowne, o ile sądzę, zawiesić posiedzenie, i na osobności rozważyć, czy sprawa nie powinna być na następną sesyę odłożona?

Ponieważ akolici pana Durousseau nie zamierzali temu wnioskowi oponować, adwokat Péchaud, doświadczony i wprawny taktyk, postanowił kuć żelazo na gorąco i wzruszenie ogólne wyzyskać na korzyść obwinionego.

W sposób prosty, przekonywający ośmielił niezdecydowanych sędziów. Nie można było— wedle jego zdania—odkładać rezolucyi procesu, bez uchybienia, nader poważnego, regulaminowi sądowemu. Wszak od ministeryum jedynie zależy podobnego rodzaju decyzya. Niech panowie przysięgli nie przerywają swoich obrad, i raczą wziąć pod uwagę okoliczności łagodzące.

Przewodniczący, chwytając się z całą skwapliwością tej deski ratunku, udzielił natychmiast głosu szanownemu obrońcy. Zamiast powtarzać szczegóły zbrodniczego faktu, których zebrana publiczność i gremium jurystów po tylekroć już słuchali, i własną swadę wykazać w całym blasku, poczciwy stary Péchaud, składając tę ofiarę na ołtarzu przyjaźni, posłużył się momentem psychologicznym, i nie dał ostygnąć

wysokiej temperaturze sympatycznego nastroju. Mowa jego, z głębi serca płynąca, treściwa a ognista, stawiła raz jeszcze przed wyobraźnią zgromadzenia obraz niedoli pariasa-syna i heroiczny postępek ojca, wzywającego litości dla jednej z tych nieszczęśliwych ofiar losu!...

Przysięgli, po krótkiej naradzie, na wszystkie pytania odpowiedzieli przecząco!

Bitwa została wygraną!... Krystyn Forgeat uniewinniony!...

Usłyszawszy, iż prezes odczytuje z powagą wyrok, darzący go wolnością, i straży każe się oddalić, biedny skazaniec doznał nagłego olśnienia. Zdumione, niedowierzające spojrzenie skierował ku temu człowiekowi, który nie wahał się, jak samarytanin, nazwać nędzarza synem swoim. Więc to nie jest sen?... Pozwolą mu wyjść z więzienia? Niezdolny dłużej zapanować nad sobą, krzyknął rozdzierającym głosem:

— Jak to? To wszystko prawda? Ja się nie łudzę? Jestem wolny?

. . . . . .

W jakiś czas potem, po dopełnieniu ostatnich formalności, kiedy publiczność usunęła się z sali, a prezydyum opuściło swoje miejsca, Krystyn spostrzegł nagle, że ktoś u podwoi cza-

Władysława Budzińska

tuje na niego. Zawstydzony, cofnął się z pewną obawą, o kilka kroków, nie poznając na razie swego zbawcy.

Wtedy Lescuyer położył mu obie dłonie na ramionach i drżącym ale łagodnym głosem jął mówić:

— Nie, mój synu, ty nie jesteś wolnym!... Na co się tobie przyda taka wolność, która na złe drogi prowadzi?... Odtąd należysz do mnie, ojca twego. Byłem względem ciebie wielkim winowajcą, ale usiłuję—nieprawdaż—błędy własne naprawić... Tak, należysz do mnie, jako dobrowolny więzień. Nigdy przeszłości wspominać nie będziemy. A jeżeli pragniesz zrzucić z siebie jarzmo występku, i szukać nowych, prostych ścieżek na gościńcu życia, oprzej się na mnie całą siłą, ja cię powiodę. Kiedy wyrzuty sumienia zbyt na tobie zaciążą, kiedy bolesne widma zabiorą ci spokój i odwagę, ja cię, nieszczęśliwe moje dziecko, przytulę do ojcowskiego łona ot, tak jak teraz, aby sen i ukojenie na twoją biedną głowę spłynęło!...

W pustym, ciemnym prawie korytarzu niecierpliwie czekał na wyjście dwóch zapóźnionych panów stary woźny pałacu Sprawiedliwości. Był to dawny żandarm, mało, rozumie się, wrażliwy, a pełen bałwochwalczego poszanowania dla wszelkiej magistratury, bez wyjątku, któremu umorzenie procesu zupełnie popsuło

humor. W jego płytkim mózgu plątało się obecnie nierozwikłane pytanie: „jakim sposobem sędziowie przysięgli mogli na tak niedorzeczny wyrok się zgodzić?...“ Ale któż jednak opisze zdumienie tego służbisty, gdy na własne zobaczył oczy, jak dostojny i czcigodny pan prokurator przyciskał do serca płaczącego gorącemi łzami, tylko co uniewinnionego zbrodniarza.

XX.

Stojący w porcie Havre olbrzymi parowiec ma właśnie podnieść kotwicę. Jaskrawe przeciwieństwo z chłodem i mgłą jesienną stanowią niezdarnie malowane na wielkich afiszach nazwy i widoki miast oceanu Spokojnego—Valparaiso, Sant-Jago, Arequipo, Gwajaquil—nazwy obce, dziwaczne, których samo brzmienie przywodzi na pamięć świergot cudnie upierzonych ptaków, i te wybrzeża podzwrotnikowe, z ich bajeczną roślinnością i żarem słonecznym.

Zbliża się uroczysta chwila odjazdu.

Dwa potworne kominy statku wyrzucają z siebie kłęby gęstego dymu, który żałobnym kirem ściele się między białymi masztami.

Włożywszy ręce w kieszenie długiego płaszcza, w czapce marynarskiej z galonem, kapi-

tan obojętnie przygląda się pożegnaniom podróżnych.

Niebawem podniosą mostek ruchomy, po którym wstępuje się z lądu na pokład, a sternik czeka tylko znaku, aby zwykłym rozkazem: „Naprzód!... zwolna“ puścić w ruch swoją machinę. Świst syreny odzywa się też jednocześnie, przeszywając powietrze ponurym głosem.

Zapewne wskutek niepogody platforma wyższa jest zupełnie pustą; wyjątek stanowi czterech jedynie pasażerów. Reszta odjeżdżających zdaleka, z debarkaderu śle swoim ukochanym, z którymi się nie wiedzieć na jak długo rozstaje, garstce krewnych lub przyjaciół, starej Europie wreszcie, ostatnie tęskne spojrzenie!...

Kim są ci czterej podróżni, owiani mgłą zimną, nie żegnani przez nikogo?

A więc powiedzmy odrazu. Człowiek w podeszłym wieku, oparty o balustradę, to ex-sędzia i prokurator, Lescuyer, który opuszcza swój kraj rodzinny na zawsze; nieopodal niego siedzą na ławeczce smutnego oblicza młodzieniec i zamyślona kobieta z małą dziewczynką na kolanach; tamci, to Krystyn Forgeat i Ludwika Rameau wraz dzieckiem. Tworzą oni grupę odosobnioną i dziwnie melancholijną.

Starzec ogarnia wilgotnym wzrokiem trzy wykolejone istoty, przygarnięte przez niego, i skazane z nim razem na wygnanie. Tak,

świadomy czy bezwiedny morderca, dziewczyna, która tylko dzięki ślepemu wypadkowi nie zatraciła czci swojej, dziecię nieprawe, cudze, to odtąd rodzina nieszczęśliwego rozbitka. Ale on teraz, wyszlachetniony cierpieniem, rozumie i odczuwa wszelkie niedole, gotów jest rozgrzeszyć wszelkie winy. Zabiera z sobą tę gromadkę, poświęcając resztę życia, aby jej na obczyźnie stworzyć nowe warunki egzystencyi, zatrzeć ślady i straszne wspomnienia młodości.

Te heroiczne zamiary powstały w umyśle Lescuyer'a bezpośrednio prawie po uwolnieniu syna z rąk sprawiedliwości. I skandaliczne posiedzenie i werdykt, przez sędziów przysięgłych pod wpływem wzruszenia wydany, surowo zganiły zarówno opinia publiczna, jak i cała sfera sądownicza. Człowiek tego pokroju i charakteru nie otrzymał od kolegów swoich ani jednego objawu sympatyi lub uznania, a przy wręczaniu dymisyi przyjęto go nadzwyczajnie chłodno i urzędowo. Stanowiło to dostateczną dlań wskazówkę, że społeczeństwo francuskie, złożone w trzech czwartych z obłudników i świętoszków, wielkości duszy ocenić nie jest w stanie. Jedyni tylko Donadieu i poczciwa Heloiza pospieszyli, nazajutrz po sławnej kompromitacyi prokuratora, z oznakami serdecznego współczucia i życzliwości.

Ale nawet ci starzy, wypróbowani przyja-

ciele—ludzie prości i pobłażliwi nad miarę często—nie odważyli się zapytać, może powodując się dyskrecyą, co Lescuyer zamyśla począć z tym ocalonym synem?

— I ich również—mówił sobie z goryczą biedny samotnik—dobrych niewątpliwie, widok Krystyna nabawiłby wstrętu i odrazy... Nigdy nie dopuściliby go do własnej rodziny i domu, nigdyby go polubić nie mogli... A zatem, pozostaje mi już chyba ucieczka z kraju, wyjście z fałszywego położenia w sposób dla mnie najprzykrzejszy, ale konieczny.

Od czasu procesu Forgeat mieszkał przy ojcu. Zawsze onieśmielony otoczeniem, wygodami życia, nagłym wreszcie przeskokiem z upadku i hańby do normalnego trybu i spokoju, przepędzał całe dnie milcząc pokornie lub wpatrując się w oblicze poważne i łagodne swego dobroczyńcy. Zwolna i jemu serce tajało w atmosferze błogiej, jaką dokoła siebie wyczuwał. Emigracya do Ameryki wydała mu się rzeczą pożądaną i zbawienną, i postanowienie to przyjął z wdzięcznością.

— O tak!... jedźmy jak najdalej!... Tam, gdzie nic o mnie nie wiedzą, gdzie nikogo moją nędzną osobą odstraszać nie będą, gdzie ojcowstwo twoje wstydu ci nie przyniesie... Jak najdalej, choćby na koniec świata!...

Lescuyer, te same mając względy na celu,

zrealizował cały swój majątek i gorączkowo robił przygotowania do podróży. Snuły mu się przytem jakieś nieziszczalne marzenia po głowie. Pragnął, aby syn jego, odrodzony i zrehabilitowany na tej obcej ziemi przez gorliwą pracę, ożenił się i utworzył rodzinę. Ale znów poważne skrupuły mąciły ten jaśniejszy widnokrąg myśli.

Czyż Krystynowi godziło się poślubić uczciwą kobietę, nie wyznawszy jej przedtem swojej winy?...

Nie! to byłoby absolutnem niepodobieństwem!...

I nagle stroskany ojciec przypomniał sobie ową Ludwikę Rameau, której przed opuszczeniem Francyi na zawsze chciał materyalną egzystencyę zabezpieczyć. Ta jedna, broniąc Krystyna kosztem własnego upokorzenia, żywiła dlań uczucie szczere, graniczące z przywiązaniem; była, jak on ubogą, wyłączoną z grupy ludzi swobodnych, bezkłopotliwych, nie miała dla swego dziecka ani opiekuńczego męskiego ramienia, ani nazwiska, ani uregulowanej pozycyi w ustroju społecznym. A gdyby tak tych dwoje ocalonych z rozbicia połączyć, w przyszłości? Dalekie to plany, ale tymczasem należy im grunt przysposobić...

Ludwika ze łzami rozczulenia zgodziła się towarzyszyć panu Lescuyer i jego synowi, a ten

ostatni, po raz piewszy od wyjścia z niewoli, uśmiechnął się blado lecz radośnie.

. . . . . .

Stojąc na pokładzie, otulony w ciemny płaszcz podróżny, Lescuyer patrzy na tłum marynarzy, robotników, gawiedzi miejskiej, uwijających się żywo po wybrzeżu portowem. Wszyscy są zajęci, ruchliwi, weseli, z blaskiem w oku, z piosenką na ustach. Jemu ból rozstania z ziemią rodzinną, stosunkami, sferą swoją, tradycyjnemi nawyknieniami, które są drugą naturą człowieka, zaciężył na duszy. Żegna to, co dlań było drogiem, po raz ostatni; a przecież wiadomo, że w starości tak trudno nałożyć się do nowych zwyczajów i warunków.

Ale oto statek zaczyna trzeszczeć i jęczyć; słup białej pary wysoko wzbija się w obłoki; łańcuchy podnoszonej kotwicy dzwonią złowrogo; wielka machina, kołysząc się lekko, robi pół obrotu i majestatycznie wypływa z zatoki na pełne morze

Wkrótce piękne brzegi Francyi staną się dostrzegalną zaledwie plamką na szarym nieboskłonie.. Alea jacta est!...

Starzec zwraca smętne spojrzenie na towarzyszy wygnania. Ci odjeżdżają bez żalu; nic już ich nie łączy z tą ojczyzną, w której tylko łez i cierpień zaznali!...

KONIEC.

BIBLIOTEKA
UMCS
LUBLIN

Biblioteka Uniwersytetu
MARII CURIE-SKŁODOWSKIEJ
w Lublinie

A 18248

BIBLIOTEKA U. M. C. Ś.

Do użytku tylko w obrębie
Biblioteki